

**Za tydzień
numer świąteczny!**

- Reportaże z Meksyku, Kuby, Francji i Szwajcarii
- Wkładka — niespodzianka!

Mniej niżbym chciała

Rozmowa z posłanką na Sejm PRL
Elżbietą Prusinowską

— Od wyborów minęło już kilka miesięcy. Jakie są pani pierwsze wrażenia z pracy w Sejmie?

— Dopiero minęła jesienna sesja Sejmu. O moich doświadczeniach mogę powiedzieć, że je dopiero zdobywam.

— Pamięta pani chyba, jak podczas redakcyjnej dyskusji przed wyborami profesor Henryk Rafalski przestrzegał, że może mieć pani kłopoty z rezerwacją miejsca w pociągu, a i w hotelu sejmowym na wielkie wygodę nie można liczyć??

— Pewnie, że pamiętam.

— No i co, sprawdziło się?

— Miejsca w pociągu na nas nie czekały. Jak jest tłok to trzeba postać. Żeby obsługa kolejowa na stacji i w pociągu była szczególnie uprzejma dla posłów też nie zauważyłam. Raz nawet zdarzyło mi się, że kierowca nie chciał mnie zabrać do autobusu, bo też miejsce nie było. Zresztą nie staram się z poselskich przywilejów korzystać. Chyba, że w interesie moich wyborców.

— Jakże to są przywileje?

— W rzeczywistości żadne. Tak samo stoję w kolejkach, jak inne kobiety. Raz tylko skorzystałam w Spółdzielni Lekarskiej w Łodzi, aby załatwić dla dziecka poradę lekarską, bo rzeczywiście nie mogłam czekać, a numerków było bardzo mało. No i mam wszystkie przejazdy bezpłatne, a to duże ułatwienie.

— Jak się mieszka w hotelu sejmowym?

— To jest stary hotel i nadzwyczajnych wygod tam nie ma. Pokoje są kilkuosobowe. Rozmieszczono nas już na stałe i nie można tego zmienić. Ja mieszkam w pokoju dwuosobowym. Ale inne posłanki i posłowie mieszkają w pokojach czterosobowych. A teraz zapowiedziano nam, że powstała konieczność dostawienia łóżek. Powstały różne grupy doradcze przy Sejmie i trzeba wszystkich pomieścić.

— Jak często jeździ pani do Warszawy?

— Spędzam tam około 3-5 dni w ciągu miesiąca. W lutym, choć nie by-

6

TAMARA ROSZAK

Pod dachami Paryża (Korespondencja z Francji)

(2)

Jest duszno. Nie można na noc zamknąć żaluzji ani drzwi balkonu. Przez całą otwartość wchodzi gwiazda, niby te same co zawsze — a paryskie. Nie zasypiam w świetnym francuskim łóżku — jak batuta, zbyt szerokim na sen. Siedem piętér pod mną mała rue Clodion — pełna zaparkowanych samochodów, a prostopadle do niej rue Desaix — też tylko kilka domów i już bulwar de Grenelle z jednej strony wypadający na prawy brzeg Sekwany przez most Bir Hakeim, a z drugiej pędzący ku dworcowi Montparnasse, i to ona — tak buczy.

Jest północ. Jest druga, czwarta, a szum nie zmienia swego natężenia. Buczy monotonnie jak telegraficzne słupy. W Paryżu

(obowiązkowa) sałata codzienna i ślimak — wjeżdżają teraz właśnie i buczą. Widać można się do tego przyzwyczaić, bo kiedy wreszcie granat nieba powoli zaczyna nabierać świetlistości i obrysowują się konturem finezyjne, kute balustrady osłaniające balkoniki głębokie na dwie stopy i skrzynek kwiatów — tylko ja stałam bezsenność oparta o złożoną we czworo białą lakierowaną drewnianą żaluzję — na tym parapetowym balkoniku wynikłym z konstrukcji dachu, lub dobudowanego z chytrłości albo rozsądku. Ale jak pięknie niegdyś dobudowywano! Z mojego siódmego piętra patrzę w okna przeciwnych siódmych piętér. Spią. Przyzwyczaili się do buczenia dochodzącego z bulwaru de Grenelle. Też nie pozamykali wielu okien.

pił i nie zapalił. Może jakiś imigrant i dopiero przystosowuje się do tempa? Pewnie zaraz zjedzą na dół i uruchomią dwa różne samochody sprzed domu. A może jedno pobiegnie do metra — tuż za rogiem.

Stacja metra Grenelle jest naziemna. Już przygotowuje się do przefrunienia Sekwany.

Przeurocze jest to moje

MIESZKANCO PRZY RUE CLODION

Kruszyna wciśnięta w dźwigary pochylonego dachu. Wszystkiego 28 metrów i pełny komfort z centralnym ogrzewaniem. 250 dolarów miesięcznie. Jeżeli ma się je gdzie zarobić (!) to tanio. Stawka mechanika samochodowego w firmie 6 dolarów za godzinę. Ale szef podpisuje umowę o pracę tylko na tydzień i za połowę ceny. Nikogo nie namawia do zgody. Żeby zapłacić to mieszkanie, trzeba mieć pracę na 10 dni i skądinąd pieniądze na jedzenie.

Za ścianą — mieszka małżeństwo z dwójkiem dzieci. To starsze ma cztery lata. Młodzi, ciemno-

12



Foto: Grzegorz Gałasiński

Róża cuchnących wiatrów

ANDRZEJ KUCHARCZYK

WISTOM JEST WSZĘDZIE.

Reklamy na elewacjach domów, drogowskazy prowadzące wprost do fabrycznej bramy. Wistom jest wszędzie. Wistomskie przedszkola, żłobki, wistomowski klub sportowy, przystań wioślarska, wistomskie osiedla mieszkaniowe, wistomowski dom kultury.

— Kiedyś — przypominają tomaszowianie — były nawet papierosy „Wistomy”. A koszule z fabrycznym znaczkiem spotkać można i dziś.

Mijamy dworzec PKP. Na następnym przystanku mam wysiąść, przejść tory kolejowe. Nie zabłądzę. Z daleka widać główną portiernię.

Złoty telefon. Po drugiej stronie linii człowiek, który zna odpowiedź na wszystkie moje pytania.

— Panie inżynierze, w 1979 roku Wistom odprowadzał 70 proc. wszystkich ścieków Tomaszowa około 75 tys. m. sześć na dobę. Do Pitycy trafiło 101 ton SO₄, 7,2 t zawiesin, 12 ton chloru 0,43 tony cynku 0,16 ton dwusiarczku. W tym samym roku poziom emisji gazowych i

pyłowych wyniósł odpowiednio 22.147 m. sześć i 6344 t. Jak jest obecnie?

— Niestety nie mogę panu podać żadnych danych.

— Dlaczego?

— Zabroniono nam.

— Kto?

— To nieistotne. A w ogóle skąd ma pan te cyfry!?

— To nieistotne....

AUTOBUS LINII „12”

kursuje na trasie Dworzec PKP Tomaszów Maz. — Dworzec PKP Piotrków Tryb. Trasę 25 km jaka dzieli oba miasta pokonujemy w pół godziny.

Ośrodek Badań i Kontroli Środowiska działa w ramach Urzędu Wojewódzkiego. Niestety nie mieści się w tym samym okazałym biurowcu. Nie bez problemów odnajduję mały, par-

7

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański, Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błaziejewski, Krzysztof

Drzewiecki, Bohdan Gadowski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panaszewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumerat: osoby fizyczne zamieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkające w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratorki. Wpłaty dokonuje się używając blankietów wpłaty na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch” 3. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnego — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 760. B-2.

W gospodarce naszej jest wiele zjawisk paradoksalnych. Największy paradoks chyba polega na tym, że mamy ponad 300 tysięcy wolnych miejsc pracy, a równocześnie zbędne zatrudnienie szacuje się na 2-4 mln osób. Wpływa to, rzecz prosta, na wydajność, hamuje rozwój sfery usług, powoduje dewaloryzację pracy. Każdego dnia nieobecnych w pracy jest 1,2 mln osób. A blisko 2 mln ludzi zmienia w ciągu roku pracę. Z Huty im. Lenina, która zatrudnia 34 tys. pracowników, aż 5 do 6 tys. odchodzi rocznie do innego zakładu. Gdyby udało nam się zmniejszyć tylko o jedną czwartą liczbę osób nieobecnych w pracy, to zasoby pracy wzrosłyby w kraju o ponad 300 tys., czyli o tyle, ile wynosi deficyt zatrudnienia. Niestety, wszelkie działania zmierzające do poprawy organizacji i dyscypliny są mało skuteczne i spotykają się z niewielkim odzewem.

Zacząć od kadry

„Proszę pokazać mi w Europie drugi kraj — mówił w dyskusji na XXV Plenum KC PZPR Kazimierz Miniur — w którym w godzinach przedpołudniowych można spotkać tylu ludzi, którzy na ulicach, w kawiarniach, dokonują zakupów itp. Ktoś tych ludzi zwalnia, ktoś nie dba o tę dyscyplinę. Niektórzy przełożeni chcą być dobrzy dla wszystkich. Z reguły nie jest się najlepszym dla tych, którzy najlepiej pracują, ale dla największych krzykaczy. Należy więc zacząć od dyscyplinowania kadry; od majstra, kierownika wydziału do dyrektora.” No, właśnie. Ale co to znaczy kadra kierownicza?

Według ostatniego spisu kadrowego z 1983 r. na stanowiskach kierowniczych zatrudnionych było 984 tys. osób. Jaką funkcję kierowniczą pełniła co czwarta osoba spośród ogółu pracowników na etatach nierobotniczych. W dodatku na jednego kierownika przypadało 2 specjalistów i 1 wykonawcę techniczny. Jest to więc ogromna liczba ludzi, od których w decydującym stopniu zależy poziom organizacji i dyscypliny pracy w Polsce.

Co zrobić, żeby ludzie pracowali wydajnie? Z teoretycznego punktu widzenia odpowiedź jest bardzo prosta. Trzeba tak zorganizować i wyznaczyć, żeby nie można było i nie opłaciło się pracować źle. Natomiast wszelkie apele i słowne ponaglenia mają niewielką wartość; a ponadto niepotrzebnie rozdrażniają robotników, którzy pod tym względem są najmniej winni.

Przegląd prasy

Lukasz Budny — autor raczej mniej znany, ale w sprawach Związku Literatów Polskich dobrze zorientowany — opublikował w „KULTURZE” (nr 11 z 12 marca 1986 roku) artykuł pod tytułem: „Półprawdy i prawdy o ZLP”. Miniony zjazd ZLP, jak poprzedzająca go kampania w tej organizacji, wywołały sporo różnych uwag i komentarzy. Lukasz Budny przedstawia się sądom wyrażonym na łamach „Polityki” przez KTT i Daniela Fassenata. Sygnalizowali oni zmianę kursu w ZLP i przejęcie wpływów przez „lewicę” i odsunięcie od tych wpływów pisarzy zorientowanych „centrystycznie”. Za nimi poglądy te powtórzyli dziennikarze pism zagranicznych akredytowanych w Warszawie, co doprowadziło do pewnych zniekształceń i zamierzonych przeinaczeń.

Wydawałoby się, że w końcu literaci mają prawo wybierać w demokratycznych wyborach kogo chcą, że w końcu ich organizacja ma przede wszystkim im służyć, że należenie lub nie należenie do ZLP jest sprawą pisarza, w końcu niewiele powinno z tego wynikać. A tymczasem nadaje się tym faktom określoną wyimowę polityczną, którą chętnie podchwytują dziennikarze zagraniczni, doszukując się nieustannie jakichś politycznych kontekstów i podtekstów.

„Konteksty te — pisze Lukasz Budny — oczywiście — istnieją i pewno stanowią przedmiot przemysłów władz,

Wciąż przede wszystkim brakuje nam — zależnej głównie od kadry kierowniczej — sprawnej organizacji pracy i silnie motywującego systemu wynagrodzeń. Jest to tym bardziej dziwne, że mamy w kraju zakłady, w których już samodzielnie stworzono właściwe mechanizmy stymulujące. Dlaczego zatem inni nie skorzystali z dobrych wzorów? Najprawdopodobniej dlatego, że nie odczuwają takiego przymusu — ani ekonomicznego, ani politycznego. Po co trudzić się i ryzykować, skoro można jakoś żyć.

Zofia Makowska, nauczycielka warszawskiego liceum ogólnokształcącego, z gorzycą mówiła na Plenum KC: „Nauczylimy się żądać, nie nauczyliśmy się pracować i wymagać. Jest to piękne i szlachetne uczucie dawać wiele z siebie innym. Nie nauczyliśmy się tego, ani konsekwencji, rzetelności i uczciwości i dlatego teraz borykamy się z tym, że nie możemy naszych warunków „Made in Poland” eksportować z dumą, że to zrobił polski robotnik, że to wytworzył polski przemysł, wykonał polski artysta. Dlaczego „polski” nie może znaczyć dobry, piękny, godny szacunku? Dlaczego naszym przedmiotem podziwu na świecie ma być ciagle tylko muzyka Chopina i poezja Mickiewicza?”. Innymi słowy: dlaczego nie możemy wybić się na nowoczesność?

Niektórzy sądzą, że wśród kadry kierowniczej jest za mało ludzi młodych i stąd bierze się niedostatek innowacyjności i energii. Jak to wygląda w rzeczywistości? Najmłodsi kierownicy (w wieku 29 lat i mniej) stanowią 10,2 proc. pracowników na stanowiskach kierowniczych, a najstarsi (55 lat i więcej) — 8,4 proc. W grupie trzydziestolatków jest 37 proc. kadry, a czterdziestolatków — 32 proc. Sytuacja nie przedstawia się więc źle. Najwięcej kierowników mieści się w przedziale wieku od 30 do 39 lat. Są to z reguły osoby najbardziej dynamiczne i pełne życia, a przy tym nieźle wykształcone i już doświadczone. Powinno to być demograficzna awangarda postępu.

Poważnym mankamentem naszego systemu kierowniczego jest krzyżowanie się kompetencji i brak jednoznacznych kryteriów oceny. Stan taki sprzyja zawsze asekurancjowi i wygodniejszemu, uniemożliwia identyfikację odpowiedzialnych. Za mało jest też konstruktywnej krytyki i walki poglądów. „Nie ma osiągnięcia ani zaniechania, sukcesu ani niepowodzenia” — powiedział w podsumowaniu obrad plenarnych I sekretarz KC PZPR Wojciech Jaruzelski — bez ludzi z imieniem i nazwiskiem, funkcje i adresami. Wszystkie uchwały muszą więc być rozpisane na konkretne zadania dla konkretnych ludzi.

E. L.

nie wolno wierzyc, iż w ośrodkach decyzyjnych obowiązują zasady dyktando myślenia, a wtedy — nie lekceważąc ani prawnych, ani lewych zagrożeń — dostrzec trzeba rozległość i mądrość literackiego centrum, które określiło i określa sytuację w Związku Literatów Polskich”.

Mam niekiedy takie wrażenie, że przecenia się to wszystko, co dzieje się w środowisku literackim. ZLP ma do spełnienia niewątpliwie bardzo ważną rolę i od tego, jak tę rolę wypełni, zależy byt pisarza i przyszłość literatury. A mimo tego, że doceniam tę rolę, to przecież mnie i każdego innego czytelnika interesuje przede wszystkim jej wartość artystyczną, jej filozofia, jej ranga intelektualna. Od faktu, czy ktoś jest prezesem czy nie wcale nie zależy wartość jego książek, a do ZLP mogą należeć ludzie różnych orientacji politycznych akceptujących konstytucyjne zasady PRL i Związek Literatów Polskich w jednolity sposób powinien troszczyć się o ich interesy.

Jeśli nawet uznamy, że literatura zajmuje centralne położenie we współczesnej kulturze, to występuje w niej tyle zagrożeń, że nie można całej uwagi koncentrować tylko na sprawach związanych z literaturą. Takie stanowisko w „KAMENIE” (nr 5 z 9 marca 1986 roku) reprezentuje Ireneusz J. Kamiński w artykule podwójnie zatytułowanym: „Co w kulturze rośnie? Mieć i być”. Przenosi on w sferę kultury filozoficzne pytanie: „jak żyć?” — i odpowiada na nie: „mieć i być”, choć nie bez wątpliwości, czy nie powinien powiedzieć: „mieć, aby być”. Tylko z tym „mieć” sprawa nie jest taka znowu prosta. Wiemy przecież, że przede wszystkim nie mamy, a kultura istnieć musi.

Otóż Ireneusz J. Kamiński rozwija w „Kamieniu” niezwykle ciekawe, choć mocno kontrowersyjne rozumowanie. Uważa on, że stworzony w Polsce model kultury odpowiadał potrzebom rewolucyjnych prze-

mian, kiedy odrzucono ustrój burżuazyjny i tworzono warunki kulturalnego awansu dla ludzi pracy z miast i wsi. Gdy ten awans się dokonał, gdy wzrosły potrzeby kulturalne społeczeństwa, nie dokonano niezbędnych zmian i mamy na przykład 14 tysięcy ludzi zawodowo uprawiających plastykę, a Związek Radziecki — kraj nieporównywalny z Polską co do wielkości terytorium i liczby ludności — ma ich 21 tysięcy. Zdaniem Ireneusza J. Kamińskiego w Polsce jest za dużo, szkół artystycznych i teatrów. W ogóle model kultury nie jest dopasowany do obecnych potrzeb. Stąd na przykład w ogóle nie rozumie się istoty rewolucji wideo i nikt dokładnie nie wie, ile w Polsce jest magnetowidów: 200 czy 400 tysięcy? Utrzymujemy więc wszystko tak jak było, choć pieniądze nie wystarczą nam na najpilniejsze potrzeby: „poligrafii i kanały komunikacji audio-wizualnej”. A zatem?

„A kto dziś podejmie decyzję zlikwidowania np. uczelni plastycznej, zamienienia jej na zespół szkół elektronicznych? Kto w trybie urzędowym, ze względu na potworny deficyt, zamknie kilka teatrów dramatycznych lub odda je w ajencję?” — pyta nie bez racji Ireneusz J. Kamiński. Mogę powtórzyć przekornie: no kto? Ale myślę, że nie trzeba natychmiast zamknąć szkół plastycznych, tylko może spowodować, aby ich absolwenci zaczęli chętniej uczyć w szkole, podobnie jak i absolwenci innych uczelni, na przykład muzycznych. Chyba tu przebiega obecnie front największego zagrożenia przyszłości kultury, a do szkół idą uczyć zupełnie surowi ludzie po maturze. O to zaczniemy się przede wszystkim martwić.

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Trudna miłość

Nie zgodziłbym się z postawą, dość często się ujawniającą, która niechętna jest roztrząsaniu prawd tzw. oczywistych, poddawaniu analizie tych treści, które się w owych prawdach zawierają. Taka postawa ma na swą obronę argument, że dana społeczność, jak np. naród, ma jakby wrodzone jednakowe odczuwanie pewnych wartości wyższych — sprawiedliwości, wolności, patriotyzmu, od jakichś prapoczątków aż po wieczne czasy. Weźmy jednak pod uwagę patriotyzm...

W dawno minionych młodych latach wzbudziło moje wątpliwości hasło powtarzane często przez rodaków w przedpowstaniowej Warszawie, że dla dobra Polski (czyli z motywu patriotycznego) w razie potrzeby powinni oddać życie wszyscy Polacy. Przyszło mi wówczas na myśl, że gdyby to patriotyzm wzywał nie potraktować dosłownie, to wyzwolonej Polski nie miałby kto doczekać. Słowem, założenie myślowe hasła było całkowicie absurdalne, a jednak należało je głosić z (udanym choćby) przekonaniem i zapalem, kto bowiem zaczynał na ten temat „mędrkować” spotkać się mógł z niechętnym lub nawet nieufnym odwruchem tych, co taką postać patriotyzmu uważali za jedyną i konieczną, a nawet ściśle mówiąc, ewentualne doczekanie się wolności bez poniesienia przez naród hekatomby ofiar uważałby za „niepatriotyczne”.

W obecnym czasie funkcjonuje również — co prawda odmiennie, lecz podobnie pozbawione głębszej refleksji pojmowanie patriotyzmu. Nie brak mianowicie ludzi, którzy uznają błędnie patriotyzm za całkowite przeciwieństwo internacjonalizmu, są to dla nich pojęcia jak gdyby wykluczające się wzajemnie. Piszę o tym ponieważ, jak wiadomo, takie właśnie nastawienie myślowe miał dziennikarz paryski „Le Monde”, który przeprowadzał niedawno wywiad z Wojciechem Jaruzelskim.

Zanim przypominę tym, co nie czytali przedruku wspomnianego wywiadu w polskiej prasie, treść odpowiedzi przywódcy naszej partii, pozwolę sobie na własny rachunek użyć argumentów bardziej może subiektywnych. Otóż myślę, że do nonsensownych konsekwencji myślowych musi doprowadzać wielu ludzi uśmianie przez nich pojęcia patriotyzmu z nacjonalizmem, polega to m. in. na przyjmowaniu za główny sprawdzian miłości ojczyzny nienawiści do „wrogów narodu”.

Błędem wyjściowym jest zresztą założenie, że wszyscy ludzie przynależni do nacji, która wydarzenia przeszłości ustawiła w konflikcie z naszym państwem i narodem, byli rzekomo zawsze i bez wyjątków naszymi wrogami, że niejako rodzą się oni z wrogością wobec nas. Stąd też im silniejsze są nasze nacjonalistyczne czyli wrogie nastawienia wobec owych nacji, tym jaśniejszym blaskiem zdaje się świecić nasz patriotyzm. Zresztą często emocja patriotyczna wyczerpuje się całkowicie w uczuciu nienawiści do innych i już nie starcza energii psychicznej do codziennej uporczywej pracy dla kraju, a nawet niejednemu czuje się jakby rozgrzeszony, mówiąc sobie w duchu: „Czego jeszcze ode mnie się wymaga? Czy nie wystarczy, że nienawidzę tych, tamtych i owych?”

Pomijam fakt, że nie jest to filozofia najodpowiedniejsza w epoce broni jądrowej, kiedy nakazem czasu, staje się wszędzie wychowanie w duchu przyjaźni i pokoju między narodami (z czym muszą lub będą musieli się liczyć politycy), ale jest przecież jeszcze inna kwestia. Otóż, internacjonalizm, traktowany jako dążność do respektowania cudzego patriotyzmu i szukania z nim wspólnego języka, staje się jakby sumą wzajemnie niesprzecznych patriotyzmów. Oczywiście, pod warunkiem, że nacjonalizm wyrzucimy za burtę.

Przypomnę lapidarnie i jakże przenikliwe sformułowanie użyte przed przewrotem hitlerowskim przez przywódcę Komunistycznej Partii Niemiec, Ernsta Thaelmanna: „Największym wrogiem każdego narodu jest jego własny nacjonalizm”. I rzeczywiście, rozpasany nacjonalizm niemiecki doprowadził do poparcia Hitlera przez większość Niemców i wzbudził wśród narodów świata nienawiść do Niemiec, stając się źródłem ich bezprzykładnej klęski, gdy tymczasem głoszący przez Thaelmanna internacjonalizm, oparty na klasowej solidarności, proletariatu, dawał Niemcom szansę zatrzymania się na drodze zbrodni i katastrofy. Właśnie więc internacjonalizm jest prawdziwym patriotyzmem, niesprzecznym z interesami żadnego narodu.

Ale wróćmy w podsumowaniu do odpowiedzi Wojciecha Jaruzelskiego, w której oświadczył m. in.: „Powieś wprost: nie widzę żadnej sprzeczności, aby być dobrym Polakiem czy też dobrym komunistą. Patriotyzm i internacjonalizm nie kłóczą się przeciwstawnie...” Właśnie dzięki socjalizmowi, a więc i internacjonalizmowi Polska ma od ponad 40 lat po raz pierwszy w swej 1000-letniej historii w pełni bezpieczne i przyjazne granice. Ma to dla nas wartość bezcenna...”

Moim zdaniem ci, którzy nie chcą tego zrozumieć mają nieczyste sumienie w sprawach pokoju i wojny.

JERZY KWIECIŃSKI

Od „Podwójnej buchalterii” do „Spotkań”

Jubileusz czterdziestolecia obchodzi jedna z najpopularniejszych scen łódzkich: Teatr Muzyczny. Wszystko zaczęło się jednak dużo wcześniej — do Łodzi zjechał z Wilna teatr „Lutnia” i rozpoczął działalność jeszcze jesienią 1945 roku, w budynku dzisiejszego Domu Kultury Milicjanta. W tym właśnie budynku przy ulicy Nawrot wstawił „Podwójną buchalterię” A. Gruna. Już w marcu 1946 odbyła się premiera „Króla wiozówców” pod nowym adresem przy ul. Piotrkowskiej, który przez długie lata był stałym adresem łódzkiej operetki. Datę tej właśnie premiery uznano za „datę graniczną” między wileńską a łódzką „Lutnią” i stąd marcowy jubileusz Muzycznego.

A jest jeszcze trzecia, jubileuszowa data: wystawienie, również w 1945 r. „Wesołej wdówki”. Klasyk operetki, która także uświetniła jubileusz teatru.

Było tych premier przez czterdzieści lat blisko 150, obejrzała spektakle operetkowe i musicalowe przeszło dziesięć milionów widzów... O powodzeniu „lekkiej muzy” wśród łodzian może świadczyć fakt, że zdarzają się i dwusetne spektakle jednego tytułu.

Wcale pokazywać budynek teatralny przy ul. Północnej często okazuje się za ciasny. Nie mówiąc już o ciasności zaplecza. Dlatego też, z okazji jubileuszu życzymy zespołowi Muzycznemu „dowodzonemu” z powodzeniem przez Rajmunda Ambroziaka upragnionej sceny obrotowej.

W sobotę 15 marca br. odbyła się w Teatrze Muzycznym jubileuszowa uroczystość z udziałem przedstawicieli władz politycznych i administracyjnych. Przemawiał członek BP KC PZPR, I sekretarz KL PZPR, Tadeusz Czechowicz.

Zasiadli przy stole teatru zostali udekorowani wysokimi odznaczeniami: Włodzimierz Michalski i Krystyna Nyc-Wronko — Krzyżem Oficerskim OOP, Wiesław Biliński, Barbara Michewicz-Szrajber, Włodzimierz Traczewski i Jadwiga Dominiak — Krzyżem Kawalerskim OOP. Duża grupa pracowników teatru została udekorowana Złotym, Srebrnym i Brązowym Krzyżem Zasługi, Odznaką Honorową m. Łodzi. Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury”. Teatr Muzyczny został wyróżniony Honorową Odznaką m. Łodzi. Wieczorem odbyła się premiera „Wesołej wdówki”. Ten sam spektakl otworzył w niedzielę, 16 marca Łódzkie Spotkania Operetkowe, które trwają do końca tygodnia. (Zamieszczamy na temat spotkań obszerniejszy materiał).

W foyer teatru oglądać można okolicznościową wystawę.

(AK)

Dyskutowany aktualnie projekt programu PZPR, to przede wszystkim swoisty katalog szans i zadań, możliwości oraz konieczności. Wysiłek podjęty przez partię sprowadza się do zamiaru nakreślenia perspektyw socjalizmu w Polsce. Z przedsięwzięciem tym nie sposób było dłużej zwlekać. Czas bowiem najwyższy, aby przełamywać skutki filozofii kryzysu, pora myśleć o przyszłości; jest szansa na to, aby przestać żyć z dnia na dzień, z roku na rok.

Ludzie zawsze pragnęli znać przyszłość. Czynie wiele, aby poznać swoje szanse, aby wiedzieć, co ich w życiu czeka, na co mogą liczyć, co jeszcze i na ile od nich zależy. Tak więc potrzeba spojrzeć dalej niż widzą do dziś oczy ludzi udręczonych codziennymi kłopotami i zmartwieniami wydaje się być nie tylko naturalna, ale — wręcz niezbędna.

Za myśl przewodnią projektu programu PZPR posłużyło stwierdzenie, iż marksizm-leninizm rozumie należy wyłączenie jako „żywą, nieustannie wzbogacaną ideologię, której uniwersalne zadania — urzeczywistnianie są z uwzględnieniem realnych warunków i doświadczeń poszczególnych narodów”. To prawda, że warunki społeczne są wciąż bardzo trudne, ciężkie. Co zaś się tyczy doświadczeń, to trudno byłoby ukryć, iż przeszłość „uzbroiła” nasze społeczeństwo w pancerz nieufności i sceptycyzmu. Z drugiej strony, co by nie mówić o zobojeźnieniu czy zmęczeniu ludzi, to jednak nie sposób udawać, że nie ma u nas troski o przyszłość. Najczęściej pytania: „Jak daleko?” lub „Co daleko?”, słyszy się przebijając wśród młodych. W tej też generacji upatruję głównych adresatów programu PZPR.

Program PZPR nakreśla perspektywę sięgając granic przełomu wieków i dalej — w wiek XXI. O tego typu wizję przyszłości socjalizmu w Polsce chodzilo w partii, gdy na IX Nadzwyczajnym Zjeździe przyjmowano uchwałę w sprawie konieczności opracowania programu PZPR. Wtedy wydawało się nam, delegatom realne zadanie, aby dorobek odpowiedniej komisji — projekt programu perspektywicznego PZPR — przedstawić na ogólnospołecznej dyskusji, a następnie był „przedmiotem obrad krajowej konferencji delegatów”. Czas pokazał, iż wykonanie uchwały będzie możliwe dopiero teraz, w pięć lat potem.

Nie zamierzam ustosunkowywać się do całości projektu programu strategii socjalizmu w Polsce. W jednej publikacji byłoby to niemożliwe. Zatrzymam się zatem dłużej nad jednym z fragmentów programu, nad zagadnieniami przyszłości kultury.

KULTURA — SPOSÓB I TREŚĆ ŻYCIA

O kulturze w projekcie programu pisze się we wstępie do rozdziału poświęconego kształtowaniu postaw i świadomości społecznej: „Budowa ustroju sprawiedliwej społeczności jest rezultatem planowych działań ludzkich. Wymaga zespolenia przemian ekonomicznych, polityki, świadomości (...) Stan świadomości może być bodźcem przyspieszenia socjalistycznego postępu, ale i hamulec”. Wszystko to jest oczywiście prawdziwe, tak prawdziwe, że aż banalne.

Co z powyższego truizmu wynika? Między innymi i to, że wszystkie sfery życia społecznego winny rozwijać się harmonijnie. Rzecz wydawałoby się oczywista — w teorii! Doświadczenie podpowiada przykłady odmiennie. Nasuwa się zatem pytanie o to, jakie winno się spełnić warunki, aby teraz: dziś (w kryzysie) i na przyszłość, kultura przestała być przysłowiową kulą u nogi Komisji Planowania i resortów odpowiedzialnych za finanse, płace, inwestycje? Kultura nie może być traktowana ani jako luksus, bo stanie się elitarna, ani jako margines życia społecznego, bo ludzie biedni ciałem i duchem, to prawdziwi nędznicy... No dobrze, powie ktoś uparty: a jak się ma... no skądinąd słuszny postulat do następującego fragmentu dokumentu:

„...w drugiej połowie lat osiemdziesiątych odbudowany będzie poziom dochodu narodowego i spożycia z końca lat 70. przy jakościowej poprawie struktury i szerszym wykorzystaniu jakościowych czynników wzrostu...”.

W istocie — poziom rozwoju gospodarczego determinuje bardzo wiele zjawisk sfery nadbudowy, ale ekonomika nie jest jedynym czynnikiem naszego: być albo nie być. Od ludzi wszak zależy wciąż niemało. Zatem nie może być nikomu obojętne, jakiej jest i jakie będzie nasze społeczeństwo, jacy będą ludzie, jak ukształtowani, wykształceni, o jakich poglądach, zainteresowaniach i potrzebach? W ten sposób dotykamy sfery wartości, a więc i kultury, o której F. Znaniecki pisał: „Świat kultury jest światem wartości, wartości zaś są pierwotnym faktem ludzkiego doświadczenia, niesprowadzalnym do żadnych kategorii przyrodniczych”. Świat kultury ujmowany jako świat wartości to pewna perspektywa w spojrzeniu na nas samych i nasze otoczenie, to także szansa na to, aby — jak czytamy w programie — świadomość stała się „bodźcem przyspieszenia socjalistycznego postępu”.

Co zatem uczynić, aby szansy tej nie zmarnować? Jakże są realne warunki i faktyczne możliwości kultury w dziele kształtowania postaw i poglądów postępowych, racjonalnych i prospołecznych? Na pytania tego typu projekt programu odpowiedź nie udziela. Może więc należałoby potraktować je jako tezy do dyskusji nad dokumentem KC? Jeśli tak, to zrazu zgłaszam pierwszą propozycję, a mianowicie konieczność upowszechnienia w społeczeństwie oraz w kręgach władzy myślenia o kulturze tak jak to zapisane zostało w uchwale Nadzwyczajnego Zjazdu:

„Kultura — oświata i nauka stanowią równocześnie cel i siłę rozwojową socjalizmu. Kultura bowiem jest sposobem, a zarazem treścią życia narodu, określa wartości motywujące działalność ludzką”.

Od kultury więc zależy bardzo wiele: od kultury politycznej — kierunki i głębokość przemian demokratycznych, od kultury bycia — stosunki społeczne, od kultury pracy — wydajność i organizacja produkcji, od kultury ogólnej — aspiracje i ambicje społeczne, et cetera, et cetera. Nie widzę więc przesady w stwierdzeniu, że kultura to sposób i zarazem treść życia!

NIE CZEKAJĄC NA LEPSZE CZASY

Jedną z naczelnych tez projektu programu jest stwierdzenie, iż podstawową zasadą polityki partii pozostaje urzeczywistnienie powszechnego prawa do kultury. Wbrew pozorom za-

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Kultura — warunek przyspieszenia

danie to, zarówno dziś jak i w najbliższej przyszłości nie będzie łatwe do spełnienia. Od kąd kultura została poddana trudnej próbie mechanizmu rynkowego, to istniejące już wcześniej dysproporcje w zakresie jej dostępności jeszcze bardziej pogłębiły się. Kultura stała się droga, a tym samym dla wielu niedostępna. Istnieje wciąż znaczne zróżnicowanie w dziedzinie kultury także pomiędzy poszczególnymi regionami kraju. Określenie „provincia” w sensie znacznego upośledzenia w możliwościach zaspokojenia potrzeb kulturalnych, jest właściwe nie tylko dla wielu małych miejscowości oddalonych od centrów kultury, ale w równej mierze pasuje do licznych enklaw środowiskowo-warstwowych, wielkich aglomeracji, gdzie niepokojąco zanika aspiracje i potrzeby wyższego rzędu. W szeregu grupach społecznych budżety rodzinne limitują w praktyce poważnie owe postulatowe szanse na „powszechne prawo do kultury”.

W programie PZPR znajdujemy potwierdzenie potrzeby zmiany aktualnych niekorzystnych zjawisk i zahamowania niekorzystnych tendencji:

„Partia dąży do zapewnienia równości w dostępie do dóbr kultury wszystkim środowiskom społecznym oraz do rozwoju aspiracji i aktywności kulturalnej ludzi pracy. Za jedno z podstawowych zadań w dziedzinie kultury partia uważa realizację szerokiego programu wychowania estetycznego młodej generacji — dzieci i młodzieży szkolnej. Jest to droga wzrostu potrzeb i aspiracji artystycznych społeczeństwa...”.

Miarą rozwoju kultury społeczeństwa jest wzrost oddziaływania kultury na wszystkie jego grupy i aktywne uczestnictwo mas w jej tworzeniu i odbiorze. Chodzi przede wszystkim o szerszy dostęp do kultury środowisk robotniczych i chłopskich, dzieci oraz młodzieży. Celowi temu powinno służyć zapewnianie w programie polepszenie materialnych warunków tworzenia i upowszechnienia kultury. Trzeba jednak zastrzec, iż istnieją na tym odcinku naszego życia społecznego poważne zaniedbania i niemałe trudności (baza poligraficzna, przemysł muzyczny, kinematografia, biblioteki, teatry).

Zaniedbania w kulturze sięgają lat siedemdziesiątych. Już w uchwale Nadzwyczajnego Zjazdu konstатовano: „Należy przerwać spadek nakładów na kulturę (...) i zapewnić ich stały wzrost”. Postulowano wówczas podniesienie ich z 0,6 proc. dochodu narodowego do 2 proc. Przypomnijmy zaś, że w 1970 roku wynosiły one około 1 proc. dochodu narodowego, zaś w połowie siódmej dekady — 1,6 proc., a pięć lat póź-

niej — 1,4 proc. Było to wówczas, a pozostaje i dziś wciąż za mało w stosunku do optymalnych potrzeb. Przypomnijmy jedynie, iż produkcja książek w Polsce pokrywa dziś jedynie 60 proc. zapotrzebowania społecznego (wg raportu NRR).

W kontekście powyższych uwag napawają pewnym optymizmem sformułowania projektu programu PZPR, o polepszeniu bazy materialnej kultury, jak i o tym, iż „dążyć trzeba do podwojenia do końca wieku liczby wydawanych książek”, itp.

O wiele mniej optymizmu znalazłem w materiale wydziału kultury KŁ PZPR, który został sporządzony z uwag, nadesłanych przez POP środowiska kultury. Oto dwa fragmenty tego opracowania:

„(...) W programie nie określono w sposób wyraźny skali zaniedbań, które wymagają systematycznego i ciągłego odrabiania, poczynając od kulturalnej bazy, a skończywszy na dostępie

powszechnemu do dóbr światowej kultury. To przecież stanowi punkt wyjścia do nakreślenia celów doraźnych, tych najpilniejszych oraz perspektywicznych”.

I drugi cytat:

„Słuszne decyzje związane z powołaniem i funkcjonowaniem Funduszu Rozwoju Kultury faktycznie nie gwarantują zwiększenia nakładów na kulturę. (...) Nieporozumieniem jest fakt zwalniania przez Ministerstwo Płacy, Pracy i Spraw Socjalnych i Ministerstwo Finansów najbardziej dochodowych (czytaj: największych) przedsiębiorstw z obowiązku wpłacania określonych kwot na Fundusz, co w konsekwencji wpływa na jego zubożenie i zahamowanie”.

Dodam jedynie do tego, iż według raportu Narodowej Rady Kultury istnieje konieczność zwiększenia odpisów na FRK z 13,6 proc. w 1985 roku do 15 proc. w roku bieżącym. Jak tego dokonać?

W krytycznej ocenie projektu programu PZPR, dokonanej przez organizację partyjną Łodzi, znalazło się i takie stwierdzenie: „Ujęcie kultury tak jak to jest w programie, tj. ograniczając ją jedynie do sfery książek i środków audiowizualnych, głównie TV, jest chyba znacznym zubożeniem punktu widzenia, złożoności kultury jako całości”. Uwaga ta jest jak sądzę słuszna, a dowodem na trafności cytowanych sformułowań jest następujący fragment programu: „zasadniczo wzrosną zasięg i ranga aktywnego uczestnictwa kulturalnego w faktycznym modelu konsumpcji, w rozwoju osobowości ludzi, w spędzeniu czasu wolnego — w socjalistycznym sposobie życia”.

Sformułowanie zaczerpnięte z projektu programu budzi mój sprzeciw i pewne obawy, o zbyt wąskie i w gruncie rzeczy instrumentalne i utylitarne pojmowanie kultury przede wszystkim jako „modelu konsumpcji”, sposobu „spędzenia czasu wolnego”.

TRADYCJE — PREFERENCJE — ZADANIA

Kultura polska powstaje w warunkach równouprawnienia rozmaitych nurtów ideowo-artystycznych i światopoglądowych. Owa różnorodność i wzajemne przenikanie odmiennych

prądów kulturowych dawały w przeszłości pozytywne efekty. Coraz mocniej i powszechniej przekonujemy się do słuszności kontynuowania tej tradycji. Tego typu deklarację odnajdujemy także w programie PZPR, gdy czytamy:

— o potrzebie „rozwoju bogatych tradycji kultury polskiej”,

— o otwarciu „na wszystkie autentyczne humanistyczne wartości, powstające z różnych inspiracji światopoglądowych”,

— o pozyskiwaniu „do realizacji celów polityki kulturalnej wybitnych przedstawicieli środowisk twórczych, opieraniu się na ich wiedzy i doświadczeniu”,

— o popieraniu rozwoju — „zwłaszcza młodych talentów artystycznych, ruchu amatorskiego, twórczości ludowej i folkloru, kultywowanie regionalnych tradycji kulturowych”,

— czy też o zapewnieniu „wolności twórczych i swobody poszukiwań — partia nie ingeruje w procesy twórcze, nie wybiera określonych stylów artystycznych. Odrzucając instrumentalne traktowanie sztuki, opowiada się za możliwie najszerszym — zakresem swobód twórczych w ramach socjalistycznego humanizmu i patriotyzmu”.

Wszystko to jednak bynajmniej nie oznacza, iż partia miałaby rezygnować z prawa do uzasadnionych preferencji ideowo-artystycznych. Jak głosi zapis IX Zjazdu: „PZPR będzie sprzyjać powstawaniu takich dzieł sztuki, które współtworzą socjalistyczną świadomość społeczeństwa polskiego, kontynuują działalność kulturotwórczą polskiej lewicy, odważnie i krytycznie podejmują problematykę historyczną i współczesną z punktu widzenia ideałów socjalizmu”.

Sądzę, iż teza ta pozostaje wciąż aktualna. Potwierdzeniem tego są odpowiednie fragmenty programu PZPR, a mianowicie te, gdzie mówi się m.in. o:

— wspieraniu „twórczości bliskiej problemom ludzi pracy, czerpiącej z ich klasowych doświadczeń i mądrości, odważnie i krytycznie podejmującej problematykę historyczną i współczesną z punktu widzenia ideałów socjalizmu”.

Wszystko to, co oczywiste, przy jednoczesnym zwalczaniu „antysocjalistycznych treści kultury, jej wykorzystywania przeciwko interesom państwa i społeczeństwa; wszystkiego, co zaprzecza wartościom humanistycznym, poczuciu godności narodowej” jest logiczne i zasadne.

Natomiast niezbyt jasne wydaje się być sformułowanie mówiące o potrzebie rozwoju bogatych tradycji polskiej kultury, w którym to jednocześnie zastrzega się, że „partia będzie tworzyć warunki ich kontynuowania poprzez powstawanie i upowszechnianie dzieł na miarę znaczenia socjalistycznego okresu oczyszczonej historii”. Jest w tym i antydialektyka i megalomania. Biorąc, po pierwsze — nie bardzo jasne i nie dość precyzyjne jest określenie: „na miarę znaczenia” itd. Domyślam się, że nie chodzi tu o modny w dekadzie gierkowskiej tzw. selektywny stosunek do historii, bowiem, wydaje się, że dla każdego jest już dziś oczywiste, iż dzieje należy badać, a wiedzę o nich upowszechniać w całości. Każdy okres historyczny, nawet ten najtrudniejszy z punktu widzenia nauki i potrzeb edukacyjno-wychowawczych, badany i upowszechniany w ujęciu marksistowskim, przyczynia się do tego, że pełniej poznajemy siebie i świat, a tym samym lepiej rozumiemy współczesność i przyszłość.

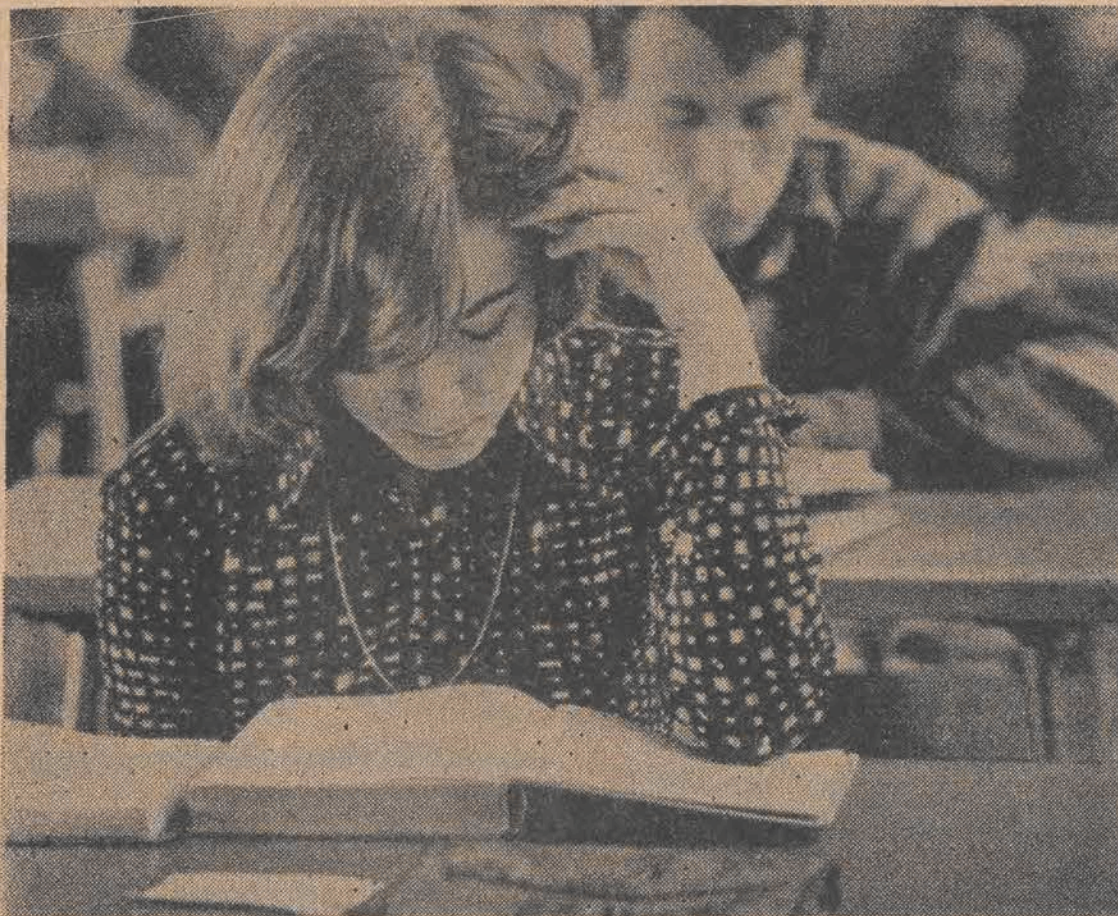
Po drugie — należałoby zapytać o to, jakież to są owe „dzieła na miarę znaczenia socjalistycznego okresu historii”? Rozumiabym, gdyby chodziło o jasno sprecyzowane preferencje dla dzieł o wartościach ponadczasowych, uniwersalnych, cennych również i dziś, i na przyszłość, wreszcie — o utwory artystyczne powstające współcześnie i podejmujące ważne, cenne dla teraźniejszości i przyszłości problemy. Tylko, że tego rodzaju pojmowanie powyższego sformułowania nie narzuca się od razu.

Przy sposobności rozważań o znaczeniu poszczególnych okresów historii można przytoczyć myśl F. Engelsa o tym, iż „każdy stopień (w rozwoju społeczeństwa — przyp. aut.) jest konieczny, a więc usprawiedliwiony w czasie i warunkach, którym zawiązała swe pochodzenie; staje się on jednak przestarzały i nieusprawiedliwiony wobec innych, wyższych warunków, które rozwijają się stopniowo w jego własnym łonie”. Tak więc podobnie jak ludzkie poznanie, kultura, „tak też i historia nie może osiągnąć ostatecznego kresu w jakimś doskonałym stanie idealnym ludzkości. Doskonałe społeczeństwo, doskonałe państwo są to rzeczy, które istnieć mogą tylko w wyobraźni”.

Po trzecie — w analizowanym tu sformułowaniu zaczerpniętym z projektu programu kryje się niebezpieczeństwo holdowania szczególnego rodzaju utylitaryzmu, który w praktyce mógłby oznaczać preferowanie jedynie tych dzieł, które uzasadniają słuszność bieżącej polityki, a więc — kultury apologetycznej, dworskiej.

Wszystkie powyższe uwagi nie pozostają w opozycji do mego głębokiego przekonania o potrzebie odmiennego, bardziej nowoczesnego, racjonalnego spojrzenia na metodyczne nauczanie historii, w tym historii literatury i kultury. Potrzeba nam innej, właśnie „na miarę socjalistycznego okresu oczyszczonej historii”, wymagała współczesności i przyszłości analizy całej spuścizny kulturowej od romantyzmu po socrealizm.

Na koniec — będę uparty (ktoś może zarzucić, że drobiazgowy, a niech tam) i przypomnę, iż w tej części programu, gdzie pisze się o oświacie zakłada się, że nakłady na nią do roku 1990 powinny przekroczyć 5 procent, a na naukę, w tym samym okresie — 3 proc. dochodu narodowego. Nie jest to wcale dużo, to fakt. Kulturze jednakże nie obiecuje się nic, nawet tyle, co proponował IX Zjazd, czyli owe 2 proc. dochodu narodowego. Szkoda!



1.

Monopolem — na równi z coca-cola i generałem MacArthur — straszyliśmy się nawzajem przed laty na zebraniach i w pochodach. Wszystko było proste wtedy: monopole tam, na Zachodzie, były szczytowym wykwitem burżuazji imperialistycznej, stosunków społecznych; u nas — w ustroju doktrynalnie czystym — poza oswojonymi: Spirytusowym, Tytoniowym, Zapałczanym i Loteryjnym, inne niemoralne monopole istnieć nie miały prawa. Zresztą wszystkim zaprzysięgliśmy krwawą łaźnię po zwycięstwie wszechświatowej rewolucji.

No i co? Minęło trzydzieści parę lat — MacArthur spokojnie umarł na emeryturze, na coca-cola narzekamy, że się ostatnio popsowała (a w ogóle sprzedają ją w stanie ciepłym, co jest występkiem przeciw globalnym obyczajom). A monopole? Zabieramy się za zwalczanie ich we własnym domu.

Nie oznacza to przecież, że zmieniliśmy ustrój — wprost przeciwnie: od tamtych ciekawych skądinąd czasów nasz ustrój okrzepł. Za to narzędzia walki we wciąż podzielonym świecie stały się bardziej finezyjne, odwołujące się raczej do sfery intelektu niż emocji. No i bardzo dobrze...

Ale co z tymi monopolami? Okazało się że praktyki monopolistyczne, czyli tendencje do koncentracji, zdobywania wyłączności, narzucania swej woli innym, arbitralnego ustalania cen i maksymalizacji zysków kosztami innych, są typowymi właściwościami homo oeconomicus — niezależnie od ustroju ani doktryny. No i u nas, przy okazji niejako zaprowadzania porządków w gospodarce, odkryto zniechęca, że kwitną sobie w najlepsze owe obrzydliwe praktyki. Każdy uważny czytelnik „Życia Gospodarczego” czy paru innych pism gotów jest przytoczyć dziesiątki przykładów, często absurdalnych, i zawsze wyrządzających ewidentne szkody społeczne.

2.

Po Hilarym Mincu i jego pilnych, a bezkrytycznych następach odziedziczyliśmy gospodarkę wysoce scentralizowaną, zbiorowoczną i sztywno szierarchizowaną — a ponadto głęboko rozkojarzoną w wyniku kryzysów i woluntarystycznych koncepcji rozwoju. Na takiej pożywie naturalne tendencje monopolistyczne rozwijały się szczególnie bujnie. I nie ma co oburzać się na domniemaną niemoralność takich praktyk — w istniejących wtedy warunkach one były po prostu skuteczne, a często jedynie możliwe, ze względu na narzucone przez Ceptrum, polityczne i ekonomiczne warunki gospodarowania majątkiem narodowym, że o przemocy, zakulisowych wpływach politycznych czy szantażach różnych partycularnych branżowych nie wspomnę.

W warunkach reformy praktyki monopolistyczne są sprzeczne z samą filozofią nowego modelu gospodarowania, skierowanego na celowe zaspokajanie potrzeb społecznych. Jądro tej filozofii stanowi idea samorządności, samodzielności i samofinansowania się socjalistycznego przedsiębiorstwa, które z innymi, równie autonomicznymi jednostkami, na się kontaktować wyłącznie za pośrednictwem mechanizmów rynkowych. Sądzi się bowiem, że tylko przepływy gry rynkowej, gry w miarę swobodnej i uczciwej, mogą zagwarantować realizację społecznych celów reformy.

Przeto jedną z konsekwencji tego mniemania jest przymusowa obrona samorządności i samodzielności przedsiębiorstwa — nawet przed nim samym, gdyby mu na przykład przyszła ochota własnowolnie zrezygnować ze swoich „esów” na rzecz „wspólnego kotła” albo organu założycielskiego. Idzie bowiem o to, aby nie doznał uszczerbku interes społeczny — interes obywateli i konsumentów, że o interesach państwa i imponderabiliach ustrojowych nie wspomnę.

3.

Instrumentem obrony przeciw praktykom monopolistycznym w gospodarce winny być same mechanizmy gry ekonomicznej, czyniące praktyki owe nieopłacalnymi. Ale, jak się wydaje, nie jest to łatwe zaprojektowanie takiego systemu, wobec istniejących realnie wielce skomplikowanych struktur zarządzania i wytworzenia. „Eksperymentalnie to możecie swoją ideę przebadać na myszku” — poradził mi przyjaźniły ekspert-teoretyk ekonomiki makrosystemów. Przyznał w ten sposób pośrednio, że projekt ucieleśnienia idei „czystej gry ekonomicznej” przekracza wyobraźnię i możliwości intelektualne fachowców.

No i nie ma chyba takiej potrzeby. Mamy bowiem do dyspozycji inny regulator — mianowicie prawo. A prawa ostatnio ustanawiamy łatwo i chętnie. Z punktu widzenia ekonomiki społecznej, czyli kosztów i rozmiarów zaangażowania sił działających w życiu publicznym, regulacja stosunków ekonomicznych przy pomocy ustaw jest tańsza o tyle, o ile skuteczna jest powściągająca działanie prawa. Można bowiem liczyć, że część podmiotów, gotowych np. do praktyk monopolistycznych, zleknie się sankcji i od praktyk tych odstąpi bez zewnętrznego przymusu. Gdyby stosownego prawa nie było, zapewne próbowałby wszyscy...

Kwestię tedy postanowiono załatwić ustawą. Sam pomysł i bogata argumentacja „za” są dziełami reformy, tyle że co nieco przenoszonymi. Projekt systemu antymonopolowego, będący częścią prawnych regulacji reformy gospodarczej, urodził się aż z czterdziestoletnim opóźnieniem; zabierano się do niego, jak do pośmiertnego żetu. Nie tylko dlatego, jak sądzić, że nasza praktyka gospodarcza była dotąd (i nadal jest, jak wskazują poczynania niektórych resortów, np. hutnictwa) wybitnie bromonopolowa. Także dlatego, że wiara w skuteczność prawnych barier przeciw monopolom nie jest zbyt wielka, jak się wydaje.

Godzi się też zauważyć, że monopolistyczne tendencje zdradzają nie tylko podmioty gospodarujące, czyli przedsiębiorstwa. Na równi z

nimi, a może nawet silniej w obecnej chwili, monopolowe rozwiązania gospodarcze stosuje (lub usiłuje forsować) administracja gospodarcza, rząd i jego organów nie wyłączając. Przeto, co tu ukrywać, rządowy projekt ustawy o przeciwdziałaniu praktykom monopolistycznym w gospodarce narodowej można — bez ziewu — traktować jako objaw rozdrożenia jaźni.

Mimo wszelkich złych skojarzeń najdalej jestem od wyłącznie negatywnego oceniania tego stanu rzeczy. Jeżeli gotów jestem przyjąć, że jakieś przedsiębiorstwo czy korporacja gotowa jest realizować przede wszystkim własne, egoistyczne cele, to przecież nie sposób uwierzyć, aby rząd działał wbrew interesom społecznym. Gdybym zwątpił w szczerą intencję i celów administracji, sprzeniewierzyłbym się w ten sposób koniecznie w życiu publicznym standardom zaufania. Zresztą funkcjonowanie w schizofrenicznym świecie, gdzie należałoby podejrzewać wszystkich o brak poszanowania dla interesu wspólnoty, byłoby niemożliwe dla przyzwoitego obywatela.

4.

Zapamiętałem dokładnie, co premier Zbigniew Messner powiedział podczas pierwszej konferencji prasowej w Urzędzie Rady Ministrów.

Sejmowe raporty i refleksje

Antymonopolowa krucjata

TOMASZ SAS

trów, w dzień po wygłoszeniu sejmowego exposé. Na jedno z pytań, czy rząd nie dąży do nadmiernej koncentracji kompetencji w swych rękach, premier odpowiedział, że najchętniej rząd pozbawiłby się wszelkich kompetencji gospodarczych. Ingerencje centralistyczne wynikają nie z filozofii działania rządu, ale są dyktowane koniecznościami ekonomicznymi. Istotą działania rządu jest bowiem służyć zaspokajaniu celów społecznych. Nie ulega wątpliwości, że część tych ingerencji będzie miała charakter monopolistyczny, sprzeczny z istotą reformy gospodarczej.

Powstają tu dwie kwestie: czy niektórych celów społecznych nie można zaspokajać przy pomocy mechanizmów reformy, oraz czy praktyki monopolistyczne zawsze, a priori są szkodliwe społecznie?

Chciałbym znać definitywną i jednoznaczną odpowiedź na te kwestie. Tymczasem posłużmy się hipotezami, przynajmniej dla rozważenia pierwszej kwestii. Jeżeli wprowadzają się istotne ograniczenia reformy (w tym również o wyrażenie monopolowym charakterze), reklamując ich konieczność niemożnością zrealizowania w inny sposób istotnych zamierzeń społecznych, np. ochrony poziomu życia, zabezpieczenia socjalnych itp., to tym samym milcząco przyznaje się, że cele te są nie do obrony podczas pełnego działania mechanizmów reformy. Przynajmniej czasowo, albowiem tak w każdym przypadku argumentuje się na rzecz ograniczeń, zakładając, że w miarę upływu czasu mechanizmy reformy doprowadzą do zgromadzenia zasobów, pozwalających na bezkonfliktowe prowadzenie polityki pełnego zabezpieczenia socjalnego między innymi. Można wobec tego w sposób mniej, czy bardziej spekulacyjny prognozować, jak długo potrwać to czy inne blokada na trasie wielkiego pochodu reformy gospodarczej. Nieuprawnionym czarnowidzstwem byłoby mniemanie, że owe prowizoryczne ograniczenia mogłyby się jednak utrwalić...

Co do drugiej kwestii też, jak sądzić, nie można wyrokować w sposób prawomocny — wydaje się bowiem, że przynajmniej niektóre monopole czy takie praktyki są społecznie korzystne, aczkolwiek sprzeniewierają się doktrynie reformatorskiej. Monopolem niewątpliwym jest na przykład prawo państwa do ustalania cen urzędowych na artykuły pierwszej potrzeby, a przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie zakwestionuje tego prawa tylko w imię doktrynalnej czystości idei reformy...

Wydaje się, że zarówno w pierwszej, jak i drugiej kwestii niezbędne jest podejście nieskonwencjonalizowane, nie skrepowane dogmatami i definicjami, a za to po prostu skutecznego. Koszmarna bzdura byłaby taka reforma za wszelką cenę, której koszty społeczne byłyby większe niż koszty braku reformy w ogóle.

5.

Zongluje tutaj nieumiarowanie słowami „monopol”, „praktyki monopolistyczne” — byłby więc czas najwyższy określić, co one właściwie znaczą. Z punktu widzenia bowiem projektowanej ustawy definicja nie jest okolicznością bez znaczenia — ergo: praktyka monopolistyczna jest w zasadzie tylko to, czym — zwalczając — zajmuje się ustawa. Wygodny ten chwyt dostarcza zarazem alibi rządowi, albowiem ustawa dotyczy wyłącznie jednostek gospodarczych, ich zrzeszeń i innych związków, nie obejmując zupełnie monopolistycznych praktyk rządu.

No i bardzo dobrze — musimy się bowiem zgodzić z założeniem, że rząd wie lepiej, co jest dobre, a co nie. A ponieważ na razie znajduje-

my się w fazie dyskusji, możemy pozwolić sobie, prowizorycznie i hipotetycznie, przynajmniej, na zważenie w tę intelektualną omnipotencję rządu... Ale nie rozwijajmy dalej tej dygresji.

Monopol to nie tylko organizacja gospodarcza, koncentrująca dominującą część lub całość produkcji bądź obrotu jakiegoś konkretnego artykułu, branży czy wszystkiego na określonym terytorium. Monopol to nie tylko prawo, ustanowione na rzecz państwa lub jakiejś organizacji czy przedsiębiorstwa — prawo do wyłączności produkcji i handlu lub świadczenia usług (nawet tak specyficznych jak zaspokajanie namiętności do hazardu, czym zajmuje się państwowy monopol loteryjny...).

Monopol to przede wszystkim sposób działania. Jego osnową musi być egoistyczna intencja czyli wyraźna wola działania w zamierze pogwałcenia czy zlekceważenia interesu społecznego w sferze gospodarki, po to, by osiągnąć nienależne korzyści. I nie zawsze chodzi o dodatkowy zysk — istotnym celem monopolu w naszym kraju na przykład jest święty spokój — najmniejszy wysiłek, żadnych innowacji, fałszerstwa statystyczne...

Innymi słowy monopolista można zostać wyłącznie z własnej woli. I nie należy tego myśleć np. z pozycji wyłącznego producenta czegoś tam, skoro jest to efekt najczęściej gigantomańskiej polityki inwestycyjnej. Np. postanowiono zbudować jedną wielką fabrykę żarówek, zamiast czterech średnich czy dziesięciu małych. Państwo samo wykreowało w ten sposób

dziesiątki potencjalnych monopolistów. Ale staną się nimi dopiero wtedy, gdy zaczną realizować swoją politykę, sprzeczną z interesami państwa.

Jak się wydaje, twórcy projektu ustawy uważają, że jedynym miejscem działania monopolu jest rynek, bowiem w preambule piszą tak: „do celu ochrony krajowego rynku oraz jego uczestników przed praktykami monopolistycznymi jednostek gospodarczych...”. Niech i tak będzie; przyjrzyjmy się zatem owym propozycjom przeciwdziałania.

6.

Mam przed sobą druk sejmowy nr 36, zawierający właśnie projekt tej ustawy. Jest on ogęsto upstrzony znakami zapytania i wykrzyknikami, sygnalizującymi wątpliwości, które nasunęły się posłom już w trakcie pierwszego czytania na posiedzeniu 30 stycznia 1986 r., a także moimi własnymi uwagami. Nie sposób, jak sądzić, zrehabilitować wszystkich wątpliwości, ale niektórymi wypadnie zająć się szczegółowo.

Według projektu ustawy praktyki monopolistyczne dzielą się na groźniejsze i łagodniejsze. Te pierwsze są zakazane z mocy prawa — niezależnie od faktycznie wywieranych skutków gospodarczych i społecznych. Te drugie podlegają ocenie co do skutków i mogą być zakazane przez organ antymonopolowy, ale nie muszą...

Zakazane bezwzględnie są:

— narzucanie bez uzasadnionego powodu uciążliwych warunków umów, przynoszące nienależne korzyści; typową praktyką tego rodzaju jest upowszechnione ostatnio wymuszanie odstąpienia od odbioru jakościowego dostarczanych towarów lub usług;

— uzależnianie zawarcia umowy od przyjęcia lub spełnienia innego świadczenia, z przedmiotem umowy nie związanej; to po prostu znana od lat sprzedaż wiązana...

— nakładanie na stronę umowy obowiązku wyłącznego zakupu, sprzedaży czy zawierania innych umów tylko z jednym określonym partnerem; ostatnio spotkałem się z klasycznym przypadkiem tego rodzaju monopolizacji — Włókiennicza Spółdzielnia Pracy „Polkana” w Łasku produkowała kapy i narzuty, większość sprzedając na eksport za pośrednictwem kilku central i organizacji handlowych. Nagle w ubiegłym roku jeden z partnerów, mianowicie CHZ „Coopexim”, uzyskał wyłączność na obrót kapami w eksporcie, ale za to nie potrafił ich sprzedać i spółdzielnia została z towarami wartości 100 milionów złotych w magazynie...

— zawieranie porozumień dotyczących podziału rynku, ustalania wielkości produkcji lub sprzedaży, eliminowania z rynku jednostek, które do porozumienia nie przystąpiły.

Ponadto zakazane bezwzględnie byłoby porozumienie, co do specjalizacji produkcji lub wspólnej sprzedaży, gdyby prowadziło do istotnego ograniczenia konkurencji i nie przynosiło korzyści gospodarczych.

Grupa „łagodniejszych” praktyk monopolistycznych według projektu ustawy to:

— pobieranie rażąco wysokich cen;

— ograniczanie produkcji skupu lub zbytu prowadzące do podwyższenia ceny danego towaru;

— porozumienia specjalizacyjne;

Osobno potraktowaną w projekcie ustawy praktyką monopolistyczną jest łączenie jednostek gospodarczych. Zamiar połączenia musi być w każdym przypadku zgłoszony organowi antymonopolowemu. Organ ten ma dwa miesiące na wniesienie sprzeciwu, przy czym projekt ustawy określa sytuację, gdy wniesienia tego

sprzeciwu jest obowiązkiem — gdyby mogło ono spowodować ograniczenie konkurencji i gdyby nie przynosiło wymiernych korzyści gospodarczych, polegających na obniżeniu kosztów, poprawie jakości i zwiększeniu innowacyjności łączących się jednostek.

Można zatem wyobrazić sobie hipotetyczną sytuację, gdy zezwolenie organu antymonopolowego potrzebne będzie do zawarcia... związku małżeńskiego. Gdy np. właściciel szklarni zechce ożenić się ze spadkobierczynią buki z kwiatami, to stworzą nową jednostkę gospodarczą zajmującą się produkcją i sprzedażą detaliczną. Można sądzić, że dla rynku połączenie nie będzie korzystne, ze względu na możliwą obniżkę cen dzięki wyeliminowaniu gangsterskich pośredników, ale formalnie będzie wymagało zezwolenia...

Projektodawca przewidział takie sytuacje, dając Radzie Ministrów delegację do określenia — w trybie rozporządzenia — rodzajów jednostek zwolnionych od obowiązku zgłaszania połączenia, ale w tym przypadku bardziej bać się należy, iżby z tej szansy nie skorzystały wielkie i silne firmy, działające w szczególnie ważnych dla gospodarki narodowej obszarach, a skutki ich łączenia się byłyby rzeczywiście szkodliwe dla rynku i konsumentów.

7.

Rada Ministrów uzyskała w tym projekcie dwa istotne uprawnienia do ograniczania siły i skuteczności prawa antymonopolowego. Właśnie ustalanie, kto jest zwolniony z obowiązku zgłaszania zamiaru połączenia i prawo do wyłączenia stosowania całej ustawy wobec określonej dziedziny działalności gospodarczej ze względu na szczególny interes gospodarki narodowej.

Właśnie na obydwie te ograniczenia zwrócili szczególną uwagę posłowie zabierający głos podczas pierwszego czytania projektu ustawy. Przez pierwsze z nich zapewne zechcą przeciwnie się wielkie lobbies gospodarcze — górnictwo, hutnictwo, energetyka, organizacje handlowe, a drugie może zdezawuować projektowaną ustawę w ogóle...

Gdy chodzi o kwestię łączenia jednostek gospodarczych, to chyba można podjąć trud ustawowego zdefiniowania tych podmiotów, które byłyby wolne od obowiązku zgłaszania zamiaru połączenia. Zgadza się bowiem z opiniami posłów, że przyznanie Radzie Ministrów prawa dowolnego oceniania, kto może się łączyć swobodnie, byłoby nazbyt szerokim i niekontrolowanym przywilejem. Wprawdzie, jak już wspomniałem, rządowi należy okazywać pewne zaufanie, co do szczerości jego intencji i woli działania w interesie społecznym, ale bez przesady, pozwalającej na uleganie partycularnym pokusom...

Istnieje też sposób na wyeliminowanie dowolności prawa rządu do wyłączania całych dziedzin gospodarki spod działania ustawy — sposób na poddanie takich procedur kontroli społecznej, a przynajmniej kontroli Sejmu.

Otóż z punktu widzenia prawa, wyłączenie stosowania ustawy antymonopolowej do jakiejś konkretnej dziedziny gospodarki jest niczym innym, jak ustanowieniem monopolu — jako prawa do wyłączności lub swobody praktyk monopolistycznych. Powinno tedy dokonywać się to w drodze ustawy. To znaczy, że gdyby rząd chciał wyłączyć jakąś część systemu gospodarczego państwa spod działania prawa przeciwmopolowego, musiałby wnieść do Sejmu projekt ustawy o ustanowieniu państwowego monopolu w stosunku do jakiejś gałęzi gospodarki czy sposobu działania.

I to właśnie byłaby — jak sądzić — właściwa bariera przeciw odradaniu się woluntarystycznych praktyk administracji w sferze gospodarki narodowej. Nie absolutyzowałaby ona bowiem wszechmocy samego prawa antymonopolowego, ale pozwalałaby na krytyczne podejście do zamiarów rządu, przeciwnie nie wykluczając z góry ich celowości, przydatności i sensowności.

8.

Istota skuteczności prawa antymonopolowego obraca się też wokół wymyślonego w projekcie ustawy organu antymonopolowego. Organem tym byłby Pełnomocnik Rządu do Spraw Przeciwdziałania Praktykom Monopolistycznym. Autorzy projektu nie mają zamiaru powoływać specjalnego nowego organu administracji — chcą powierzyć te obowiązki już istniejącemu strukturze organizacyjnej, najprawdopodobniej w resorcie handlu wewnętrznego i usług. Z powodów tylko oszczędnościowych jest to rozwiązanie godne uwagi. Ale gdy zważy się społeczne skutki takiego rozwiązania, może okazać się, że byłoby to błąd, przekreślający w ogóle sens stanowienia praw przeciw monopolom.

Nie ulega wątpliwości, że rząd i administracja w ogóle w jakiś sposób uwikłane są w powstawanie praktyk monopolistycznych w gospodarce. Byłoby przeto błędem danie rządowi prawa do rozstrzygania spraw, w których byłby — może nie stroną w sensie ściśle prawnym — ale na pewno siłą sprawczą zakazanych i ściganych praktyk.

Jedynym wyjściem jest ustanowienie organu niezależnego zupełnie od rządu. Niekoniecznie musi to być organ nowy; obowiązki takie można powierzyć na przykład strukturze Najwyższej Izby Kontroli, podległej Sejmowi. Jednocześnie można rozbudować uprawnienia państwowego arbitra gospodarczego — w kierunku stworzenia autonomicznego systemu sądownictwa gospodarczego; należy też wyposażyć w prawo skargi antymonopolowej nie tylko jednostki gospodarcze i organy administracji, czy organizacje konsumenckie, ale i obywateli (najlepiej za pośrednictwem prokuratury).

Mam wiele obaw i wątpliwości co do przyszłości skuteczności prawa antymonopolowego, gdyby projekt ustawy miał się ostać w stanie bliskim proponowanemu przez rząd. Nie są nam bowiem potrzebne żadne papierowe tvgrysy.

terowy barak, który Ośrodek dzieli z Gminną Spółdzielnią. Moją rozmówczynią jest pani W. I ona zna odpowiedzi na wszystkie moje pytania.

Proszę o podanie danych dotyczących całkowitej emisji ścieków z terenu Tomaszowa.

— Dane mówiące o ilości ścieków są objęte tajemnicą. Zresztą nie ma danych całłościowych.

— A czy są dane o ilości ścieków przemysłowych?

— Jak już mówiłam to tajemnica.

— Cóż, trudno. Jakie związki chemiczne odprowadzane wraz ze ściekami do Pilicy stanowią największe zagrożenie?

— Skład ścieków objęty jest tajemnicą.

Przez cały czas na twarzy pani W. lekki ironiczny uśmiech. Dowiedziałem się także, że tajemnicą objęte są informacje dotyczące głównych grup zanieczyszczeń, dane zbiorcze dotyczące emisji pyłowych i gazowych, ich składu. Z podobnych powodów nie udostępnia się także liczb obrazujących rozkład poszczególnych klas czystości wód na różnych odcinkach biegu rzeki. O Wistomie dowiedziałem się tylko tego, że nie dotrzymuje zaleceń wodno-dobowych opartych na pozwoleniu wodno-prawnym dla wód powierzchniowych. Pani W. potwierdziła wysnute na tej podstawie przypuszczenie, że wistomowska oczyszczalnia źle pracuje, i że zanotowano przekroczenia dopuszczalnych norm.

— Jakże są to przekroczenia i czego dotyczą?

— Nie mogę odpowiedzieć, to informacja objęta tajemnicą służbową.

Nie dowiedziałem się też, dlaczego jest to tajemnica.

Na dokumencie, jaki udostępniono mi w jednej z tomaszowskich instytucji

BRAK ADNOTACJI „ŚCISLE TAJNE”

„tajne” czy nawet „poufne”. Nie ma nawet wskazówki „do użytku wewnętrznego”. Jest natomiast podana rozstrzelonym drukiem nazwa instytucji, która dokument opracowała: OSRODEK BADAŃ I KONTROLI ŚRODOWISKA, URZĄD WOJEWÓDZKI w Piotrkowie Trybunalskim.

Dokument nosi nazwę: „Ocena przebiegów działań przez zakłady pracy i instytucje na rzecz ochrony środowiska i zmniejszenia uciążliwości dla miasta, ludzi, otoczenia”. Zawiera w sobie odpowiedzi na większość pytań, które bezskutecznie zadawałem. Są w nim informacje, których tak pieczołowicie strzegła pani W.

„Ogółem na terenie Tomaszowa zlokalizowanych jest ca 40 zakładów i obiektów przemysłowych stanowiących źródła zanieczyszczenia, które emitują do powietrza atmosferycznego (dane za 1982 rok) ca 22 tys. ton substancji gazowych (głównie dwutlenek siarki, dwusiarczek węgla, siarkowodor i pył nieszkodliwy) co stanowi 51,5 proc. wielkości emisji z terenu całego miasta i 39 proc. z terenu województwa. Ca 8 tys. ton pyłów co stanowi 77 proc. emisji z terenu miasta i 42 proc. z terenu województwa”.

Jak przedstawia się sytuacja odnośnie ścieków przemysłowych?

— „Tomaszowski przemysł wytwarza ok. 55 tys. m sześć. na dobę, łącznie z terenu miasta odprowadzanych jest do wód powierzchniowych ca 80 tys. m sześć. ścieków, co stanowi 50 proc. ogólnej ilości odprowadzanej w województwie”.

„Wistom” przedstawia się w świetle tego dokumentu niezwykle korzystnie. Wprawdzie emituje do powietrza atmosferycznego ca 43 proc. zanieczyszczeń z terenu miasta, w tym bardzo szkodliwy dla zdrowia dwusiarczek węgla i siarkowodor, odprowadza do wód powierzchniowych 77 proc. wszystkich ścieków z terenu miasta” to jednak „z obowiązków w zakresie ochrony środowiska wywiązuje się dobrze”.

Po raz drugi sięgnąłem po słuchawkę złotego telefonu.

SPOTKALIŚMY SIĘ.

Usiedliśmy naprzeciw siebie w przestronnym pokoju Zapaliliśmy pierwsze papierosy. Gdy kończyliśmy rozmowę powietrze, mimo otwartych okien było niebieskie od dymu, kontury twarzy rozplywały się w oparach nikotyny. Gdy na początku rozmowy przedstawiłem „akt oskarżenia” nie przypuszczałem, iż wyślepiające go pytania dadzą podstawy do oskarżeń skierowanych pod zupełnie innym adresem.

Opracowywanie danych dotyczących zanieczyszczenia środowiska trwa latami, a ujęcie ich w kompleksowej pracy czas ten pomnaża. Wiele dziedzin mających kolosalne znaczenie przy udzielaniu odpowiedzi na pytania szczegółowe, dotyczące wpływu konkretnych zanieczyszczeń na konkretne, rozpatrywane w mikroskali środowiska nie doczekało się wyczerpujących opracowań. Tomaszów miał być jednym z niewielu wyjątków.

Szkodliwość dwusiarczku węgla. Ze takowa istnieje nikt nie waży. Jednak niewiele powie, dzieć można o mechanizmach wpływie na układ nerwowy. Wiadomo tylko, że taki jest. Ale jaki? Konkretnie! Albo inna sprawa. Ilość

czyli stężenie tego gazu. Kilka lat temu podano informację, że osiągnięcia naszego lekkoatletycznego wundertimu, rekordy świata jakie padały na spalskiej bieżni były wynikiem wpływu dwusiarczku. Z notatki opublikowanej w „Głosie Robotniczym” wynikało, a potwierdziły to ponoć badania, iż CS₂ w małych dawkach, a także występują w Spale działa jak środek dopingujący.

Rok 1970. Wistom emituje do atmosfery 450 kg/h CS₂ i 175 kg/h H₂S. Odprowadza do Pilicy zanieczyszczenia, które jeszcze w 1974 roku ograniczały możliwość organizowania w Tomaszowie kąpielisk. Przez następne lata obraz prawie się nie zmienił. Rok 1979. Ścieki z Wistomu — 75 tys. m³ na dobę. Mimo redukcji przekraczano od dwu do pięciu razy dopuszczalne normy dla wód o II klasie czystości. Ilość cynku była 50 razy wyższa.

Rok 1979. Pobity zostaje swoisty rekord. Zanotowano dwudziestokrotne przekroczenie NDS dla CS₂, rok później podobny rekord padł w przypadku H₂S — dziesięciokrotne przekroczenie.

Róża cuchnących wiatrów

Fabryka z truciciela staje się mordercą. Wszystkie zestawienia na to wskazują. Także i te najbardziej wstrząsające, bo dotyczące umieralności noworodków, dotyczące niedorozwoju umysłowego u dzieci.

WINIEN JEST WISTOM!

— Jak można w ten sposób stawiać sprawę. To, że na danym terenie śmiertelność noworodków jest większa może być równie dobrze uzależniona od zaplecza szpitalnego, stanu służby zdrowia, wreszcie od możliwości komunikacyjnych.

Druga sprawa. Czy można wydawać tego typu oceny w oderwaniu od poziomu produkcji? W tym kontekście wychodzi na to, że przez te lata nie robiliśmy dokładnie nic. Ze dopiero tak drastyczne zarzuty zmusiły nas do podjęcia jakiegokolwiek kroków. To absurd! Wystarczy policzyć inwestycje.

Woda. Wistom posiada obecnie jedną z największych i najnowocześniejszych oczyszczalni ścieków w Polsce działającą w oparciu o licencję Lurgi. Przekroczeń nie notuje się. Cynku, który praktycznie dyskwalifikował wodę z Pilicy dla celów gospodarczych nie sposób wykręcić przy użyciu dostępnych w kraju urządzeń pomiarowych. Zakładowa oczyszczalnia przyjmuje także sporą część miejskich ścieków komunalnych. Owe przekroczenia, na jakie powoływała się pani W. z Piotrkowa dotyczyły zawiesin biologicznych. Żadna tajemnica.

W kilka tygodni po rozmowie z wistomowskimi specjalistami odbyłem rozmowę z szefem zakładu produkującego wodę dla Łodzi. Jako największą trudność i przeszkodę w produkcji podał on wysoki stopień zawiesin w... Zalewie Sulejowski.

Powietrze. Rekordy już nie padają. W 1982 roku zanotowano najwyższe przekroczenie — 3, w 1983 — 2. To jeżeli chodzi o H₂S. Aby obraz był pełny dodać należy, iż próby, w których zanotowano przekroczenia stanowiły analogicznie 9,1 i 8,8 proc. wszystkich. W ostatnich latach nie notuje się wyższych niż 2 przekroczeń CS₂, a i one stanowią minimalny procent.

Tylko na oczyszczalni wydaliliśmy prawie pół miliarda złotych. Podłączenie wszystkich oddziałów do centralnej wentylacji, a co za tym idzie radykalne zmniejszenie emisji wiąże się z kwotą prawie miliarda zł. A jak dotychczas wszystkie wydatki ponosimy sami. Jedynie 17 mln. z 40 przewidzianych na instalację do regeneracji cynku refundować nam będzie wojewódzka ochrona środowiska.

Nie wiem, dlaczego nikt o tym głośno nie mówi, ale przy okazji wspomniania o dewastacji i degradacji obszarów leśnych, a nasz zakład jest uważany za taki właśnie, nie wspomina się o węglu. Dostajemy węgiel coraz gorszy. Zresztą nie tylko my. I w zasadzie wszelkie nowe rozwiązania techniczne, które powinny spowodować ograniczenia emisji SO₂ służą tylko do tego, by niwelować nadmierne zanieczyszczenia kaloria. Bo gorszy węgiel, to nie tylko mniejsza kaloryczność i idące za tym bardzo szybko zużywanie się kotłowni, obniżanie ich sprawności, to także wyższe zasilanie.

Nie wiem czy zdaje pan sobie sprawę z tego, iż już teraz zauważalne są u nas emisje z elektrowni ciepłowni bełchatowskiej. Idą na nasze konto.

WISTOM SIĘ BRONI.

Jest zbyt dużym zakładem, by pozwolić sobie na bezczynność. Do listy zrealizowanych inwestycji moi rozmówcy dorzucają kolejne.

— Własnej konstrukcji, opracowana przez zakładowych specjalistów instalacja do regeneracji gazów odlotowych. Efekt? Niktę ilości ben-

zyny, rozpuszczalników w emisjach. Odzysk ton benzyny. Opracowanie metod neutralizacji cynku. Własne rozwiązania automatyzujące pracę oczyszczalni, podnoszące jej niezawodność. Jesteśmy parasolem, pod który chowają się inni. Mit o szkodliwości Wistomu jest dla wielu lepszym zabezpieczeniem przed karami niż nowoczesne urządzenia oczyszczające.

Dyrektor tomaszowskich szkół specjalnych Roman Sowik mieszka na peryferiach miasta

W MAŁYM DREWNIANYM DOMKU.

Już na wstępie podaje mi kartkę zapisaną szeregiem cyfr.

— Żebyśmy o tym nie zapomnieli — oznajmia — uwzględniłem tu jedynie dzieci z miast. Tak jak pan prosił.

Na pytanie o wpływ Wistomu na liczbę dzieci upośledzonych wzrusza ramionami.

— Trudno mówić o naukowych wnioskach, bo takowych nie ma. Ale na podstawie moich doświadczeń nie mogę podpisać się pod stwierdzeniem wskazującym na istniejącą jakoby zależność. Badałem środowiska z jakich wywodzą się dzieci, miejsca pracy rodziców itp. Było dużo dzieci z Kaczki, ale to trochę bardziej skomplikowana sprawa.

— Był kiedyś w tej sprawie raport PAN.

— Uczeń sporządzający ten raport uwzględnił jedynie liczbę dzieci. Nikt natomiast nie przeprowadził badań z samymi dziećmi. A w czasie, który obejmuje raport w szkole specjalnej znajdowało się bardzo dużo normalnych dzieciaków. Trafiały do mnie nawet takie, których jedynym odstępstwem od normy była zwiększona liczba błędów ortograficznych. Nie było wtedy Poradni Wychowawczo-Zawodowej, nie były prowadzone badania. Do szkoły specjalnej kierowali sami nauczyciele.

— Wistom w ostatnich latach zrobił wiele dla ograniczenia emisji dwusiarczku. Jeżeli między ilością tego gazu a upośledzaniem umysłowym istnieje bezpośredni związek, to powinien pan zanotować go w postaci zmniejszenia liczby dzieci uczęszczających do podległych panu placówek.

— Od kilku lat nie ma specjalnych różnic. Ale jest za to coś innego. Proszę zwrócić uwagę na niestychany wzrost liczebności grup od klasy IV wzwyż.

Porównuję dane z kartki. W klasie I — 9 dzieci, w II tyle samo, w III jedynie 8, za to w IV już 14, klasa V jest najliczniejsza — 23 dzieci.

— Mechanizm doprowadzający do takiego rozkładu liczb można przedstawić następująco. Dziecko otrzymuje opinię z Poradni: inteligencja w normie, opóźnienie rozwoju selekcji słuchowej, wzrokowej o 2—3 lata. Opóźniony rozwój cech grafomotorycznych. Konieczne zajęcia wyrównawcze. Poradnia kieruje dziecko do normalnej szkoły. Zalecane zajęcia nie są przeprowadzone. Po 2—3 latach różnice w rozwoju są tak duże, iż nie może być mowy o normalnym kształceniu. Powód? Brak specjalistów. Daje się on bardziej we znaki niż dwusiarczek.

Podsumowuję dane z kartki. Ogółem w szkołach podstawowych Tomaszowa uczyło się w 1985 roku 9500 uczniów. Do szkół specjalnych uczęszczało 158.

Wskaźnik procentowy dla miasta 1,66.

PABIANICE

nr telefonu 15-58-83 — Wydział Oświaty i Wychowania. Rozmawiam z panem inspektorem Wasilewskim (imię niestety nie zostało w trakcie rozmowy wymienione). Po długotrwałych tłumaczeniach, iż tego typu dane nie są objęte ani tajemnicą państwową, ani resortową, ani służbową mój rozmówca rezygnuje z zamiaru odprawienia mnie z kwitkiem. Nie żąda nawet podania z wyszczególnionymi danymi personalnymi.

Notuję liczby. Dzieci ogółem — 7954. Uczęszczających do szkół specjalnych — 139.

Wskaźnik procentowy dla Pabianic — 1,75.

Spreparowałem swego rodzaju korespondencyjny

POJEDYNEK ORDYNATORÓW

oddziałów noworodków szpitali miejskich w Tomaszowie i Pabianicach. Zadawałem te same pytania. Notowałem liczby po przeciwnych stronach linii dzielącej kartki notatnika.

Tomaszów. Dr Wągródzka:

— W roku 1980 na 2.108 dzieci zanotowaliśmy 1 proc. z waga urodzeniową do 1500 gram. Zgony stanowiły 0,5 procenta.

Pabianice. Dr Bartkow:

— Rok 1980. Ogółem 1325 urodzeń. 1,1 waga urodzeniowa do 1500 gram. Zgony 1,1 procent.

Tomaszów:

— Rok 1981 był ciężki. Urodzeń 2066. Wcześniaki — zostane przy takim określeniu dla niskiej wagi urodzeniowej 1,4, zgony 1,6 procent.

Pabianice:

— Rok 1981. Urodziło się nam 1325 dzieciaków. Do 1500 gram — 0,7 proc., zgony 0,6 procent.

Tomaszów:

— 1982 rok. Ogółem dzieci 2386. Wcześniaki 0,9, zgony 1,5 proc.

Pabianice:

— 1982. Ogółem dzieci 1652. Wcześniaki 1,4 proc., zgony 0,6 proc.

Tomaszów:

— 1983. Liczba ogólna urodzeń 2095. Wcześniaki 0,69 proc., zgony 0,69 proc.

Pabianice:

— 1983. Urodzeń 1671. Wcześniaki 1,25, zgony 0,8 proc.

Tomaszów:

— 1984 r. Ogółem urodzeń 2007. Wcześniaki 0,5 proc., zgony 1,04 proc.

Pabianice:

— 1984. Urodzeń 1714. Wcześniaki 1,35, zgony 1,34 proc.

Zbieżność. Różnice mieszczą się w granicach porównywalności. Potwierdza się smutna prawda, jaka stała się udziałem dwóch województw — piotrkowskiego i łódzkiego. Zamykają one krajową listę sporządzoną według procentu umieralności noworodków. Województwo piotrkowskie znajduje się na 49 miejscu.

Obrazu miasta, jaki jawi się w szczegółowej informacji Prokuratury Rejonowej nie można rozjaśnić i nie można ukryć. Uświadomienie sobie rozmiarów zagrożenia powinno poruszyć tomaszowskie społeczeństwo, które być może nie wie, że w Tomaszowie przypada 27,5 litra alkoholu na głowę — przeczytałem w „Dzienniku Łódzkim”.

PIJE SIĘ WSZĘDZIE.

Na parterze reprezentacyjnego lokalu miasta „Pod Niedźwiedziem” i w cuchnących mocem budach z piwem. Latem pije się na łąkach, nad brzegiem Pilicy, Wolbórki, Czarnej, pije się leżąc na plaży i siedząc na ławkach w rezerwacie Niebieskie Źródła. Zimą pije się w bramach, w piwnicach, parkach.

Tomaszowskie parki mają złą sławę. Od wczesnych godzin wieczornych są starannie omijane przez wracających do domów tomaszowian. Na ławkach grupki zdrowo podpiętych młodzieniaszków. Między stopami butelki z winem. Pretekst zawsze się znajdzie. Wystarczy „złe spojrzenie”, „nieodpowiedni” wygląd, by w ślad za wyzwiskami poleciała opróżniona butelka.

Godzina 15. Centrum miasta. Lokal „Tomaszowianka”. Przed wejściem dwóch młodych ludzi prowadzi rozmowę. Padają słowa coraz głośniejsze, coraz bardziej wulgarnie. Kończą się argumenty. Dochodzi do bójk. Jeden z młodych ludzi pada na jezdnię. Pisk opon. Kierowca białego fiata zatrzymuje samochód kilka centymetrów od głowy leżącego.

Wokół codzienna krzątanina. Kobiety niosą siatki z zakupami, odprowadzają dzieci do domów, stateczne rodziny oddalają się godnym krokiem.

Długa kolejka do stoiska monopolowego. Przed sklepem oczekują spragnieni. Nie trzeba daleko odchodzić. Na Placu Kościuszki stałe miejsce picia — Arkady. „Pod Arkadami” — galeria. Przy wejściu dużych rozmiarów afisz: KANTOR — KANTOR — KANTOR.

— Teraz to jest spokojnie. Kiedyś, jeszcze kilka lat temu strach było wieczorem wyjść z domu. Włoczyły się, panie, całe bandy. Bili się — ci z Polnej z tymi z Niskiej. Nieraz szli przez całe miasto. Ulica na ulicę. Szli z nożami, deskami. Patki jakieś mieli porobione. Ludzie uciekali do domów.

Spożycie alkoholu w Tomaszowie wzrosło w 1984 roku o 16 procent w porównaniu z rokiem 1983. Wstępne obliczenia za miniony rok wskazują na dalszy wzrost spożycia. Nic nie wskazuje na to, by liczby zmieniły się, by rzeka wódki przestała płynąć.

Przejeżdżamy pod mostem. Górą biegnie trasa szybkiego ruchu Warszawa — Katowice. Nawet z tej odległości kominy Wistomu są doskonale widoczne.

ANDRZEJ KUCHARCZYK

„Zapomnieliśmy od niego miarę, mierząc Polskę miotą i piłą. Towarzysze! Głęboko podziwiamy nad trumną Andrzeja Struga...”

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

Dymisja rządu Ignacego Daszyńskiego stanowiła dla Andrzeja Struga początek stopniowego wycofywania się z obozu pilsudczykowski. Jeszcze wierzył komendantowi, ale — jak to określił Władysław Sumpłowicz — „w nojowej Polsce Strug przedkładał się poza nawiasem kół rządowych. Pozostał sobą, gdy inni się przeobrażali...”

Pierwszy raz wystąpił z atakiem na obóz rządowy w 1920 roku, protestując przeciwko internowaniu w Jabłonie jako „elementu niepewnego”, grupy oficerów i żołnierzy polskich pochodzenia żydowskiego. Wystąpił tu Andrzej Strug jako zdecydowany przeciwnik dyskryminacji rasowej oraz rzecznik praw ludzkich i obywatelskich.

W MASOŃSKIEJ ŁOŻY

W 1920 roku, podobno za wiedzą i zgodą Józefa Piłsudskiego utworzono Wielką Lożę Narodową. Jej „Suwerenem, Komandorem Rady Najwyższej i Wielkim Mistrzem 33 Stopnia” został Andrzej Strug. Tym co przyciągnęło go do wolnomularstwa była podstawowa zasada filozofii masonskiej — kult wolności człowieka. Dla Struga była to sprawa najważniejsza i dlatego starał się, aby ruch, którym kierował miał charakter apolityczny. Nie było to proste. Od początku znalazło się w Łoży wielu wpływowych byłych legionistów, którzy przyjmowali określone postawy wobec niesionych przez życie zjawisk i procesów.

Kult wolności człowieka automatycznie niekiedy zakładał wrogi stosunek do wszelkiej tyranii. Po przewrocie majowym, w warunkach narastającej dyktatury próbował Andrzej Strug ratować idee Łoży. Usunął z niej wielu zwolenników sanacji, czym na dobre popsuł swoje stosunki z Piłsudskim i wreszcie po wypadkach brzeskich zrezygnował z kierowania wolnomularstwem. Wierny zasadom nie chciał dalej firmować swoją osobą ruchu, który coraz bardziej musiałby iść na pasku dyktatora.

BRONIĄC DEMOKRACJĘ

W 1921 roku stanął Andrzej Strug na czele Związku Literatów w Warszawie. Obowiązki swe wykonywał z pełnym oddaniem, szczególnie angażując się w boje z działającą przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych cenzurą, broniąc przede wszystkim młodych, nieodznaczonych pisarzy.

W sprawach dla siebie zasadniczych nie uznawał kompromisu. Tym się kierując odwołał, mimo protestów prawicowych pisarzy, doroczne walne zebranie członków Oddziału Warszawskiego Związku Literatów wyznaczone na 16 grudnia 1922 roku, a w to miejsce zorganizował wiec pisarzy dla zaprzestania przeciw tym, z których inicjatywy zamordowano prezydenta Rzeczypospolitej.

Przewrót majowy — a dokładniej to, co po nim zaczęło dziać się w Polsce — stanowiło dla Andrzeja Struga nieprzyjemny wstrząs. Razem z PPS poparł przewrót sądząc, iż ma on rzeczywiste na celu udrożnienie panujących stosunków. Razem z partią także przeszedł w 1927 roku do pełnej opozycji wobec

rządu, a w wyborach 1928 r. tych wyborach, które przyniosły porażkę sanacji i samego Piłsudskiego, wybrany został senatorem z listy PPS.

Jego działalność parlamentarna przypadła na bardzo trudny okres. Kadencja, brutalnie skrócona, trwała zaledwie dwa lata. Rozpoczął ją najazd policji na obradujących posłów, a zakończyło — rozwiązanie Sejmu i Senatu, a następnie sprawa brzeska.

W tym krótkim i trudnym okresie Andrzej Strug, jako członek komisji oświaty w Senacie walczył z całym poświęceniem o szanse studiowania dla młodzieży robotniczej i chłopskiej, prawa do bezpłat-

niego lecnictwa i świadczeń społecznych. Ogromne wrażenie — także na jego przeciwnikach politycznych wywarła replika na wymierzony w lewicę atak marszałka Senatu Juliana Szymańskiego, twierdzącego, że cała jej działalność utrudniała i utrudnia odbudowę niepodległości.

„Nie pamiętają o prawach policjanci aresztujący bez powodu komunistów i socjalistów — replikował Strug — nie pamiętali też ministrowie, którzy w 1923 roku kazali strzelać do pokojowej manifestacji robotników krakowskich...”

A po procesie, po wyrokach skazujących powiedział:

„Po co ta poniżająca komedia sądowa... Po co to blagierstwo o konstytucji, o demokracji, o narodzie... Oni nie wierzą w człowieka, wierzą tylko w gwałt, w więzienia, kule i armaty...”

W jednym ze skonstruowanych artykułów na temat Brześcia pisał: „sprawa ta niebawem zaciągnie na sumieniu całego narodu. Naród polski musi poznać całą prawdę w publicznym dochodzeniu — w świetle jawności... Sumienie społeczeństwa będzie się domagało sprawiedliwości. Albowiem każdemu człowiekowi, godnemu tego imienia zarówno ciężki niezawiniona krzywda, jak i bezkarności zbrodnic. Żądaj ochrony cześć Państwa Polskiego zhańbiona w oczach własnych obywateli i w obliczu opinii szerokiego świata...”

Dramatyczny rok 1930 scharakteryzował Andrzej Strug następująco: „Sytuacja staje się tragiczniejsza... Wytwarza się jakieś ponure i zaciekle getto, w którym coraz głębiej pogrzeba się komendant...”

Chciał przeciwdziałać klęsce idei legionowych 11 sierpnia 1930 roku, otwierając zjazd legionowej lewicy, której to organizacji władze sanacyjne zresztą nie zalegalizowały — mówił:

„Zebranie nasze wyrosło z tęsknoty do urzeczywistnienia celów naszej młodzieży. Wiele złudzeń padło. Oni pomagają być dla nas wielkim zawodem. Rozpoczął się odwrót nasz od tych, co się spręgli z dzisiejszą rzeczywistością...”

Polska jest nasza. Zasługą legionowa jest nasza... My jesteśmy przedstawicielami ideologii legionowej i musimy być z tego, że tak jak dawniej odszliśmy od czoła i wiary, tak dzisiaj odwróciliśmy się od czoła i wiary, idziemy dalej, wierni naszym sztandarom...”

W 1933 roku ukazała się Księga Jubileuszowa PPS 1892 — 1922. W napisanym do niej wstępie zawarł Andrzej Strug myśli następujące:

„...dzieje przemijają i nie wracają, ale odwaga, har i siła wytrwania, które znamiennymi działaczami rewolucyjnego, walczącego o socjalizm w najokropniejszej epoce caratu muszą być wzorem dla młodego pokolenia. Czasy są zmienne, czasy mogą być różne i kto wie, czy, aby stawić im czoła, nie trzeba będzie obejrzeć się wstecz i sięgnąć w przeszłość...”

Także w 1933 roku odrzucił godność członka Polskiej Akademii Literatury. Nie chciał — jak to oświadczył — jako przeciwnik rządu, należeć do akademii, przez ten rząd finansowanej.

Uchwalenie konstytucji kwietniowej 1935 roku, narastanie elementów faszystacji życia pań-

PRZECIW FASZYZMOWI

12 grudnia 1932 roku, w warunkach trwającego ciężkiego kryzysu, Andrzej Strug wygłosił w Łodzi odczyt „Między wczoraj a jutrem”. Odczyt był ostrym atakiem na system kapitalistyczny. Kapitał — stwierdził Strug — nie daje już ludności pracy, nie może wyżyć swoich niewolników... Jeszcze nie przyszedł do tego bankruta komornik naszych czasów, nie wyrzucił go z jego olbrzymich twierdz — banków i towarzystw akcyjnych. Ale on musi się wynieść, zgon jego musi nastąpić — i to na po-

stawie, mnożące się ekscesy bojówek nacjonalistycznych — wszystko to spowodowało, że Andrzej Strug stanął na czele Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Utworzenie ligi nastąpiło z jego inicjatywy. Podkreślał, że „konieczna jest walka ze zdziczeniem moralnym, jakie szerzy faszyzm. Faszyzm deprawuje ludzi”

W tym samym roku wybrano Andrzeja Struga prezesem Oddziału Warszawskiego Związku Literatów. Dodać tu trzeba, że po przewrocie majowym, w 1927 roku zrzekł się funkcji prezesa Związku Literatów na znak protestu i dla zadokumentowania trudnej sytuacji środowiska literackiego.

Jako prezes warszawskiego oddziału otwierał w 1933 roku akademię w dziesiątą rocznicę śmierci Stefana Żeromskiego. Scharakteryzował czas pomajowy jako czas pełnego rozjęcia się interesów władzy i ludu i stwierdził, że proletariatu nie będzie czekał na nowego Cezarego Barykę, z proletariatu bowiem już wychodzą przywódcy, którzy pokierują nim, aby odmienili swój los.

W 1936 roku wystosował Andrzej Strug pismo do ministra sprawiedliwości. Przedstawiając przerażającą dokumentację dokonanych przez policję zabójstw i pacyfikacji, zwrócił się w imieniu Zarządu Głównego Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela o:

1. przeprowadzenie możliwie najszybszego i najbardziej energicznego dochodzenia,

2. zarządzenie ekshumacji i sekcji zwłok zabitych, których odłama liczba przekracza 40 osób,

3. przesłuchanie poszkodowanych znajdujących się przy życiu i świadków w warunkach zabezpieczających swobodę ich zeznań, przy zupełnym ich wyeliminowaniu spod ewentualnego wpływu i nacisku miejscowych czynników administracyjnych,

4. wyłączenie w stosunku do osób, względem których dochodzenie zbiera dotychczasowych donoszących „konsekwenesji karnych”

Z jego inicjatywy odbyło się w 1936 roku wiele zebrań ostrzegających przed groźbą faszystów i piętnujących dyktaturę w Polsce.

„Jest przedwiośnie — mówił 3 stycznia 1936 roku — roje- rzymy, że będzie się walczyć o pełną amnestię, że będzie się staczać walki z faszyzmem, że poczyna się budzić w społeczeństwach odruch sumienia, tęsknoty do wolności, do czynnego przeciwstawienia się fałszowi i lewajacej kulturze barbarzyństwa, wierzymy, że Berezę Kartuska stanie się niemożliwością. Wierzymy, że społeczeństwo naprawdę budzi się, że dynamika wydarzeń kieruje nas do walki o prawa — aż do zwycięstwa”.

Zdecydowanie przeciwstawiał się rasizmowi. W kwietniu 1936 roku w odezwie Ligi stwierdził:

„W Polsce wzbiera fala nienawiści rasowej. Jej podstawą duchową jest wzajemna obcość Polaka i Żyda pracowicie i umiennie kulturowana przez kler obu wyznań i wychowanie. W czasach normalnych życie ściera najostrejsze obawy antagonizmów. W okresie przewlekłego kryzysu wzrasta się konkurencja i budzą się instynkty antyspołeczne. Potęgująca się rozpacz szuka przyczyny klęsk.

Uświadamiony proletariatu widzi przyczynę w gospodarczej kapitalistycznej i walczy o inny ustrój. Klasy pośrednie natomiast, nie mniej od proletariatu gnębione przez kryzys, nie mają tej ideologii i stają się żerem wszelkiego zgnachostwa i szalbierstwa politycznego. Wroga podsuwają im klasy postępujące, pragnące zdławić narastający ruch rewolucyjny. Kierują one rozpacz na nieszkodliwe dla siebie tory. W Polsce tę rolę spełnia antysemityzm”.

Nie był Andrzej Strug komunistą i miał wiele uwag krytycznych pod adresem Komunistycznej Partii Polski. Ale szczególnie w ostatnim okresie swego życia, gdy narastała

groźba faszystów, widział potrzebę współpracy z komunistami i podejmował tę współpracę. „Nie jestem i nie będę chyba komunistą — mówił do Juliusza Burgina — ale zgadzam się z wami, gdy prowadzicie waszą walkę. Sanacja to faszyzm, a faszyzm to rzecz nieludzka, będziemy razem czynili naszą powinność”.

11 grudnia 1937 roku wyruszył kondukt żałobny z ulicy Topolowej na powązkowski cmentarz. Wyruszył w swą ostatnią drogę wspinały Człowiek i wielki Polak, bojownik rewolucji, żołnierz Legionów, kawaler Virtuti Militari, wielki patriota bez reszły oddany sprawom ludu i Ojczyzny. A był postacią tak piękną, że hołd oddawała mu nawet część jego przeciwników. Szanowali go, bo jak pisała Wanda Wasilewska:

„...rzucił zawsze Andrzej Strug na szalę swoje nazwisko w każdej słusznej sprawie. Nic co się dzieje nie jest mu obce i nie, co dla kogokolwiek jest ważne nie zostanie przez niego zlekceważone. Nie pójdziesz nigdy Andrzeju Strugu na żaden kompromis, nawet na ten najłatwiejszy — kompromis z samym sobą. Nie zaprze się niczego, ze swoich prawd, zawsze życiem swoim da prawdę świadectwo. Pewność niezłomna, honor nieugięty, wytrwanie i wiara — to jest Andrzej Strug”.

„Polak w każdym calu — pisał Marcell Handelsman — z wyglądu, z psychiki, z umiłowania i temperamentu, był gorącym patriotą — nie słowa lecz czyn i sprawa Polski była dlań czymś, co nie wymagało nigdy dowodzenia. A przy tym, może właśnie, jako prawy następca Polaków pokolenia poprzedniego, miał jak rzadko kto głębokie a wyrozumowane poczucie solidarności między- narodowej. Nie frązes między- narodowy i nie mędrkowanie, lecz szczera łączność ze światem pracy w Polsce i poza Polską stanowiła część istotną jego psychiki”.

Odszedł Andrzej Strug, pozostała pamięć. Pozostały zapisane w niej jego czyny i jego przemyslenia. Jedno z nich w szczególny sposób poucza i ostrzega:

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

POZOSTAŁA PAMIĘĆ

11 grudnia 1937 roku wyruszył kondukt żałobny z ulicy Topolowej na powązkowski cmentarz. Wyruszył w swą ostatnią drogę wspinały Człowiek i wielki Polak, bojownik rewolucji, żołnierz Legionów, kawaler Virtuti Militari, wielki patriota bez reszły oddany sprawom ludu i Ojczyzny. A był postacią tak piękną, że hołd oddawała mu nawet część jego przeciwników. Szanowali go, bo jak pisała Wanda Wasilewska:

„...rzucił zawsze Andrzej Strug na szalę swoje nazwisko w każdej słusznej sprawie. Nic co się dzieje nie jest mu obce i nie, co dla kogokolwiek jest ważne nie zostanie przez niego zlekceważone. Nie pójdziesz nigdy Andrzeju Strugu na żaden kompromis, nawet na ten najłatwiejszy — kompromis z samym sobą. Nie zaprze się niczego, ze swoich prawd, zawsze życiem swoim da prawdę świadectwo. Pewność niezłomna, honor nieugięty, wytrwanie i wiara — to jest Andrzej Strug”.

„Polak w każdym calu — pisał Marcell Handelsman — z wyglądu, z psychiki, z umiłowania i temperamentu, był gorącym patriotą — nie słowa lecz czyn i sprawa Polski była dlań czymś, co nie wymagało nigdy dowodzenia. A przy tym, może właśnie, jako prawy następca Polaków pokolenia poprzedniego, miał jak rzadko kto głębokie a wyrozumowane poczucie solidarności między- narodowej. Nie frązes między- narodowy i nie mędrkowanie, lecz szczera łączność ze światem pracy w Polsce i poza Polską stanowiła część istotną jego psychiki”.

Odszedł Andrzej Strug, pozostała pamięć. Pozostały zapisane w niej jego czyny i jego przemyslenia. Jedno z nich w szczególny sposób poucza i ostrzega:

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

„Można przełać morze krwi dla szczęścia ludzkości i pokonać pokonem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wystąpić się ciemnoty, gwałtu, chamskiego i brudu i tysiąca absurdów, które wejdą ze zwycięską przez pręg nowogowu i rozprzeczają się tam na dobre i na długo, jeżeli nie odrzodzi się dusza w człowieku”.

ZENON J. MICHALSKI

to sesji sejmowej, to pracowali komisje. Nasza komisja rozważała problemy związane z modelem opieki społecznej.

— **Jaka to jest komisja?**
— Jest to Komisja Polityki Społecznej, Zdrowia i Kultury Fizycznej. Poza tym mamy jeszcze spotkania klubów poselskich i podkomisji.

— **Czy pani sama wybrała sobie te komisje?**

— Myślałam o dwu komisjach, których problematyka pokrywałaby się z moją pracą zawodową: mogłaby to być komisja rolnictwa albo właśnie ta, do której mnie przydzielono.

— **Posel nie może sobie wybrać komisji?**

— W zasadzie przydziela się posłów zgodnie z kwalifikacjami zawodowymi, wiedzą lub doświadczeniem. Jeśli jednak komuś taki przydział nie odpowiada, to mógł prosić o zmianę komisji.

— Jakimi jeszcze sprawami zajmowała się komisja, do której pani należy?

— Dyskutowaliśmy nad projektem ustawy o inwalidach i ludziach niepełnosprawnych. Wyznaczyliśmy szpitale, gdzie zażywalibyśmy się z działalnością ośrodków rehabilitacji. Zaszokowała mnie tu przede wszystkim wiadomość, że placu specjalistów od rehabilitacji jest tak niski, że w najbliższej przyszłości nie będzie miał kto przywracać ludziom sprawności. Strach nawet o tym myśleć.

— **Jeśli ma pani jakąś sprawę, która nie mieści się w porządku obrad komisji, a pani zdaniem jest ważna i powinna pani ją podnieść, co może pani zrobić?**

— Na każdym posiedzeniu są omawiane również sprawy bieżące, wtedy można o tym mówić.

— **Czy ma pani taką sprawę?**

— Owszem, mam. W Województwie Ośrodku Postępu Rolniczego w Bratoszewicach

Te punkty widzenia bardzo często nie pokrywają się ze sobą, szukamy więc takich rozwiązań, które mieściłyby się w ramach istniejących możliwości. Poza tym powinniśmy być na posiedzeniach sesji Rady Narodowej Miasta Łodzi oraz rad dzielnicowych, jak też na posiedzeniach komisji rad narodowych. Ja na przykład mam przypisany kontakt z radą na Bałutach.

— **Była pani już na takim posiedzeniu?**

— Z przykrością i zażenowaniem muszę się przyznać, że nie. Ale to nie wynika ze złej woli. Po prostu na wszystko nie starcza mi czasu. A wiem, że taki kontakt jest mi bardzo potrzebny, bo dostarcza sporo wiedzy. Poszerza punkt widzenia na różne sprawy. Muszę więc znaleźć czas na takie spotkania.

— **Liga Kobiół Polskich zorganizowała niedawno spotkanie posłanek z kobietami radnymi. Bardzo to było pożyteczne.**

— **Praca zawodowa jeszcze pani nie przeszkadza?**

„Jest we mnie tamta wieś”

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

„Oglądam z tęsknotą ostatnie chaty ze strzechami kwitnącymi grzywami już małopodopodobnymi (...).
Trwają jeszcze chaty pamięci podparte buntem wrośniętym w ziemię dragami chłopskiego przywiązania.

Wiersz, z którego pochodzą te fragmenty, powstał w lipcu 1982 roku. Czy już wtedy Tadeusz Michalski — nauczyciel języka polskiego w Zasadniczej Szkole Rolniczej i Wieczorowym Technikum Rolniczym w Przedborzu — nosił się z zamiarem poświęcenia swego czasu wolnego na zbieranie przedmiotów kultury materialnej, tego sam nie wie. A jeśli nawet tak, to sprytnie pokierował zainteresowaniami swoich uczniów, bo dziś są świeżo przekonani, że organizacja „Izby ludowej” to ich inicjatywa.

Mówi Marysia Pekała:

— **Izba nasza powstała półtora roku temu. Pomysł zrodził się wśród nas, kiedy na lekcję o historii rolnictwa przyniesiliśmy stare narzędzia i przedmioty gospodarstwa domowego. A potem zaczęło się planowe zbieranie.**

— **Czy pamiętacie wasze pierwsze znalezisko?**

— **Tak, to była pochodząca z XVII wieku matryca do wycinania opłatków. Znaleźliśmy ją na wysypisku, wśród śmieci i gruzu po starym domu.**

— **Ile macie eksponatów?**

— **Prawie tysiąc — mówi Teresa Chwastek — ale ich liczba stale rośnie, bo nie ma tygodnia, żeby ktoś czegoś nie przyniósł. Część skarbów eksponowana jest w Izbie, a część zebrana w prowizorycznym magazynku, bo nie wszystkie mieści się na wystawie. Ile tego jest dokładnie będziemy mogli powiedzieć po zakończeniu księgowania i inwentaryzacji etnograficznej. Notujemy skąd dany przedmiot pochodzi, od kogo otrzymaliśmy, ile ma lat, do czego służył, jak się nazywa w miejscowej gwarze. Ta inwentaryzacja spowoduje, że nasza kolekcja będzie miała wartość muzealną, a nie graciarni. Każdy z tych przedmiotów jest też konserwowany.**

Jest to ogromne bogactwo kultury. Są też i dżudy z żelaza, a obok najprzeróżniejszych sprzętów domowych i narzędzi rolniczych, a nawet kompletne stroje kobiece, krosno i duża kolekcja rzeźb.

— **Który z tych eksponatów jest dla was najcenniejszy, zdobyty z największym trudem, z największymi przygodami?**

— **O, takich jest wiele, ale moim zdaniem — odpowiada Grażyna Młynarczyk — największym skarbem jest „księżniczka” do wyrobu masła. Ta nasza nie jest, jak te współczesne zrobione z deszczulek, a wydlubana w jednym pniu drzewa, pochodzi z XVIII wieku.**

— **Gdzie ją znaleźliście?**

— **We wsi Taras koło Przedborza. Właściciele nie chcieli jej oddać do Izby. Musieliśmy im kupić nową i dopłacić 3 tysiące złotych.**

— **Sporo!**

— **Tak, ale dzięki temu mamy eksponat, którego nie mają nawet w Muzeum Okręgowym w Piotrkowie Trybunalskim. Ludzie nie wiedzą, jakie skarby kultury posiadają i często słyszymy „A weź sobie, to przecie śmiecie, tylko za wadzą!”** Są jednak również tacy, którzy za te „śmiecie” znalezione przez nas na strychach, czy czasami dosłownie na śmietniku, każą sobie płacić.

— **To przez tych miastowych pseudokolekcjonerów, co to szperają, placą i zabierają do miejskich betoników, nie interesując się przeszłością „skarbu” — dorzuca Grzesiek Mytyśiak.**

Rozglądam się po Izbie, przyglądam eksponatom. Ciekawa kolekcja. Wiele z tych przedmiotów, gdyby nie młodzież, już dawno zginęło gdzieś na śmietnikach, wyrzucone po wybudowaniu nowego domu czy zakupie mebli na wysoki polysk. Moją uwagę zwraca krosno...

— **Na chodzie?**

— **Tak...**

Sprawdzam. Faktycznie, można tkać. Jest nawet kawałek „dopiero co utkanej tkaniny”, jest osnowa i wątek, a obok przygotowana kolorowa włóczka. Dziewczeta informują, że to dar Spółdzielni Tkackiej „Wrzeczono” w Przedborzu.

— **Utrzymujecie z nimi kontakty?**

— **Oczywiście — mówi Anka Kałużńska — Nosimy się z zamiarem zorganizowania zespołu folklorystycznego i „Wrzeczono” zaproponowało nam pomoc w wykonaniu strojów. I to uruchomiło drugi nurt naszej pracy — poszukiwanie dawnych strojów, często już ich fragmentów, żeby przy pomocy etnografów z Uniwersytetu Łódzkiego dokładnie opracować dawny strój przedborski.**

— **No dobrze, ale żeby zespół wystąpił potrzebny jest repertuar folklorystyczny.**

— **Mamy tego świadomość — dodaje Anka Filipkowska — Jeździmy po okolicznych wsiach i nagrywamy piosenki, a także opowieści najstarszych ludzi pamiętających dawne zwyczaje i obrzędy naszego regionu. Np. w Górach Mokrych często spotykamy się z panią Zofią Wilk, a w Przedborzu z panią Marią Wyciskiewicz i bednarzem Zenonem Skorubskim. W Wojciechowie kilka razy odwiedzaliśmy już pana Jana Łojazę, jednego z nielicznych mężczyzn zajmujących się pisaniem bajek.**

— **Ludzie są zadowoleni z waszych wizyt?**

— **Cieszą się, że zainteresowaliśmy się tym my, młodzie, bo ich dzieci najczęściej chcą być już po miastowemu...**

Pasja etnograficzna Tadeusza Michalskiego doprowadziła do tego, że w „Izbie ludowej” nie tylko uratowano setki przedmiotów kultury materialnej. Przede wszystkim utrzymuje się kontakt młodzieży z twórcami kultury ludowej. Dzięki temu „Izba ludowa” żyje. Odbijają się tu liczne spotkania i wieczornice. Więcej — młodzież przedborskiej szkoły rolniczej była inicjatorem konkursu na rzeźbę ludową Polski Środkowej w Czterdziestolecie Polski Ludowej. Nieprofesjonalna placówka muzealna, a amatorzy przeprowadzili ten konkurs. Jego zakończenie połączyli ze spotkaniem z twórcami ludowymi. Zjechało się ich wielu, z kilku województw Polski centralnej. Był też Wojciech Siemion, znany aktor i kolekcjoner sztuki ludowej. Był gościem, ale i recytował wiersze poetów chłopskich oraz wiersz Tadeusza Michalskiego pt. „Ballada o świntku z Józowie”, poświęcony laureatowi konkursu Józefowi Zganiaczowi z Fałkowa.

To było wiosną 1985 roku. Kilkanaście dni temu doniosłem mi o nowej inicjatywie „Izby ludowej” w Przedborzu — „Spotkaniu poetów województwa piotrkowskiego”. Oczywiście pojechałem. Niestety samych poetów niewielu się zjawilo. Zawiedli ci najbardziej znani, ale mimo to impreza udała się, była prawdziwie ludowa, może dlatego, że kameralna. Swoje wiersze recytowali: Katarzyna Balcerak z Kraszewic, Helena Baran z Wojciechowa, Tadeusz Krasoń z Ręczna, Stanisław Nagadź z Wielgomłynna, Jerzy Kisson-Jaszczyński z Piotrkowa i Tadeusz Michalski z Przedborza.

Poezja to trzeci nurt działania Tadeusza Michalskiego. Na swoim koncie ma już ponad 80 wierszy wydrukowanych w 7 gazetach oraz liczne nagrody w konkursach ogólnopolskich. Dominuje tematyka krajoznawstwa wiejskiego i kultury ludowej. I tu zacytuje uwagi o jego wierszach przekazywane w opinii konsultanta literackiego Zarządu Głównego Stowarzyszenia Twórców Ludowych dr Anny Brzozowskiej-Krajki.

„Autor w swych utworach bardzo mocno tkwi w tradycji kulturowej wsi, co wiąże się zapewne z jego zamiłowaniem zbierackim z zakresu kultury materialnej rodzinnych stron. Stara się przy tym dla swych spostrzeżeń i refleksji odnaleźć własny styl poetycki, m.in. poprzez warstwę językową (wykorzystanie neologizmów, prowincjonalizmów), jak też warstwę przedstawieniową (dość oryginalna metaforyka nadająca swoiste piętno konstruowanym obrazom). Utwory Tadeusza Michalskiego posiadają więc swój indywidualny klimat, prowokują do odczytywania ich w sposób pogłębiony, wraz z kryjącą się w nich drugą warstwą sensów stanowiących ich istotę. Są więc tym samym interesującą lekturą, w której jak w zwierciadle odbija się tradycyjne życie wsi wraz z jej wierzeniami, zachowaniami zwyczajowymi, sposobem myślenia, wiążącym się z kultem „dla ziemi — rodzicielki i karmicielki...”.

Tadeusz Michalski pisze językiem literackim, ale od pewnego czasu pojawiają się też próby stosowania gwary, głównie fonetyki gwarowej.

„Moja dusza zaczyna się u progu
chłopskiej chaty
zawisa nad pulapem
mojego dzieciństwa...”

Tadeusz Michalski potrafił połączyć obowiązki dydaktyczne nauczyciela z wielką pasją etnograficzną, którą udało mu się zarazić swoich uczniów. A ci na dzień obcują z kulturą ludową, czytając wiersze swego profesora, częściej sięgają po tomiki poezji. I nie dziwnego, że spośród młodzieży Zasadniczej Szkoły Rolniczej i Wieczorowego Technikum Rolniczego w Przedborzu, rekrutują się też laureaci Festiwalu Poezji Marii Konopnickiej organizowanego w sąsiednich Górach Mokrych. Tak, tak, ta niewielka, wcale nie gminna wieś, jest organizatorem festiwalu ogólnopolskiego nie tylko poezji Marii Konopnickiej. Także konkursu na przyspiwkę ludową. I w tamtych działaniach także nie brakuje Tadeusza Michalskiego. Może dlatego, że jak pisze w jednym z wierszy:

„Jest we mnie tamta wieś
zagościńców i ścieżek wiodących
w świat podwójny...”



Foto. Zbigniew Korzeniowski

Mniej niżbym chciała

— **Były takie przypadki?**

— **Tak, około dwudziestu posłów zmieniło komisje.**

— **Jak pracuje sejmowa komisja? W telewizji i w prasie przedstawia się głównie sesje plenarne. Obywatel na ogół zupełnie albo prawie zupełnie nie wie, co dzieje się w komisjach.**

— **Tak, to prawda, że obywatel najchętniej ogląda lub czyta doniesienia z plenarnych sesji Sejmu. A tymczasem największą pracą dokonuje się w komisjach sejmowych. Tu mówią o wszystkich i nieraz bardzo ostro formułuje się zdania i sądy. Tak było na przykład, kiedy rozpatrywaliśmy projekt waloryzacji emerytalnej rent. Było nawet kilka wystąpienia wręcz wrzaskających. Warto, aby ludzie o tym wiedzieli. Podniesiono sprawę tak zwanego starego portfela. Zwrócono uwagę na sprawę dzieci kalekich, które nigdy nie będą zdolne do pracy, a które przecież też z czegoś muszą żyć. Dziś są dziećmi, ale za kilka lat staną się dośrodkami ludzimi i co wtedy? Aż dziw, że do tej pory nikt o tym nie pomyślał.**

— **Czy pani też zabierała głos?**

— **Na pierwszym posiedzeniu nie zabrałam głosu. Ale na drugim — już tak. Pytałam o renty dla rolników. Wiem przecież, że spotkam się z rolnikami, a oni mnie o to spytają. Muszę więc dokładnie wiedzieć, jak ten problem wygląda. Zresztą na każdym spotkaniu padają teraz pytania o renty i emerytury. Ludzie mało na ten temat wiedzą.**

— **Pisze o tym prasa, mówi się o tym w radiu i telewizji.**

— **To prawda. Ale mimo wszystko mechanizm obliczania rent i emerytur do waloryzacji jest dość skomplikowany. Sama, żeby go dobrze pojąć, musiałam kilkakrotnie studiować materiały. A i to, na spotkaniach musiałam korzystać z pomocy specjalistów ZUS. Zresztą na spotkaniu z rolnikami też będę chciała zapewnić sobie taką pomoc.**

— **Miała pani tremę zabierając głos na posiedzeniu komisji?**

— **Tak, ale na szczęście nie taka paraliżująca. Muszę powiedzieć, że pytania posłów zadawane na posiedzeniu komisji są rzeczowe, często uzasadnione zebranymi przykładami, bardzo konkretne.**

— **Czy wszyscy członkowie komisji są jednakowo aktywni?**

— **Nie. Różnie to wygląda. Bywa. Są tacy, którzy po prostu chcą jakoś zaakcentować swoją obecność są tacy, którzy uważają, że jeśli nie mają nic istotnego do powiedzenia, to lepiej nie zabierać czasu.**

— **Kto bierze udział w obradach komisji sejmowej poza jej członkami?**

— **W zależności od tematu przedstawiciele odpowiednich ministerstw. Wysłuchaliśmy na przykład informacji przewodniczącego Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki Bolesława Kapitana. W czasie obrad nad projektem waloryzacji rent i emerytur obecni byli między innymi minister pracy, płac i spraw społecznych, a także przedstawiciele różnych organizacji społecznych, a więc OPZZ, Związku Emerytów i Rencistów, Związku Inwalidów.**

wspólnie z Instytutem Wzornictwa Przemysłowego z Warszawy, zrobiliśmy wystawę odzieży ochronnej dla rolników. Były to wspaniałe wzory, ładne i funkcjonalne. Niektóre z propozycji odzieży roboczej można nosić nie tylko do roboty. Teraz często rolnicy pytają mnie, co się z tymi wzorami stało. Chocę więc takie pytanie zadać na posiedzeniu komisji. Bo nie wiemy, czy przemysł przyjął je w ogóle do produkcji. Jeśli nie, to dlaczego? Czy z powodu kosztów, czy też z braku tkanin lub z innych powodów? A może przemysł w ogóle nie wie, że coś takiego istnieje. Myślę, że rolnicy chętnie kupowaliby taką odzież, gdyby była w sklepach „GŚ”.

— **A jak to było z protestem posłów przeciwko podwyżce czynszu za mieszkania własnościowe?**

— **Sprawę tę rozważała nasza komisja wspólnie z Komisją Ustawodawczą. Odesłaliśmy tę sprawę do rozpatrzenia przez Trybunał Konstytucyjny. Sama również zetknęłam się z tym problemem. W czasie dyżurów poselskich odwiedzali mnie starsi ludzie, którzy wykupili sobie mieszkania oszczędzając latami i teraz poczuli się skrzywdzeni.**

— **Z czym przychodzą ludzie na dyżury poselskie?**

— **Z różnymi, trudnymi sprawami. Najczęściej jest interwencja w sprawach mieszkaniowych. Są sprawy związane z eksmisją jednego z małżonków, którzy są już po rozwodzie. Są też sprawy dotyczące konfliktów powstających w miejscu pracy. Bywa tak, że najpierw przychodzi jedna strona. Ja wysłuchuję, zapoznaje się z jej argumentami. Później przychodzi druga strona ze swoim argumentami. I każda ze stron ma swoje racje. Trzeba to wszystko rozważyć, przemysleć. Poszukać sposobu rozwiązania takiej sprawy. Nie jest to łatwe.**

— **Co udało się pani już załatwić?**

— **Mniej niżbym chciała. Młodej rolniczej pomagałam załatwić na naczelnika zgodę na budowę domu na jej ziemi. Wystarczyło tylko moje pismo, choć przedtem naczelnik zgody nie wyrażał. Pomogłam jednej rodzinie załatwić mieszkanie rolnicze. Sprawy mieszkaniowe są najtrudniejsze. W wydziale lokalowym powiedzieli mi, że mają 600 pilnych spraw wymagających załatwienia, a do dyspozycji otrzymali 29 mieszkań. I jak tu pomóc?**

— **Jaka posel ma pomoc ze strony administracji?**

— **Mamy w Łodzi zespół poselski. Na posiedzeniu tego zespołu przychodzi dyrektorzy wydziałów Urzędu Miasta Łodzi i składają informacje o stanie różnych dziedzin gospodarki w województwie. Na przykład niedawno rozmawialiśmy o komunikacji.**

— **Administracja przedstawia swój punkt widzenia?**

— **Oczywiście. My przedstawiamy wówczas nasz punkt widzenia, który wynika z naszych doświadczeń, a przede wszystkim uwag naszych wyborców.**

— **Nawiązując pani do „redakcyjnej dyskusji” w „Odgłosach”, kiedy ktoś powiedział, że posel powinien być urlopowni. Myślę, że to nie byłoby dobre rozwiązanie. Pewnie, że mam mniej czasu na pracę zawodową, niż było to dawniej. Ale nie chcę z niej zrezygnować. Ona daje mi szerokie kontakty z ludźmi, pozwala poznawać ich punkt widzenia. Nie mogę zrezygnować z pracy w Województwie Ośrodku Postępu Rolniczego w Bratoszewicach. Muszę mieć szerokie i różnorodne kontakty z ludźmi, bez nich jako posel nie dam rady.**

— **Co mówią w domu na pani posłowanie?**

— **Muszę się godzić. Jak już do Warszawy na dwa lub więcej dni, to im wcześniej i więcej gotuję. Dzwonię do domu, aby wiedzieć, co tam się dzieje. Szybko wracam do rodziny. Z Warszawy do Łodzi nie jest daleko. Ale dzieci nie lubią, kiedy muszę jechać do Warszawy.**

— **Wysłuchala już pani kilku przemówień na sesjach plenarnych. Co pani o nich sądzi? Dla nas wyborców czasem są po prostu nudzące, mało ciekawe. I proszę mi powiedzieć, jak to jest z tym zabieraniem głosu w Sejmie? Mówi każdy, kto chce, czy się wyznacza mówców?**

— **Mało jeszcze wiem o Sejmie, a pani zadaje mi takie pytania. Ale spróbuję odpowiedzieć na podstawie tego, co już wiem.**

Również nie jestem zachwycona niektórymi wystąpieniami, bo wiele w nich ogólników. Nie wiem, do kogo to jest adresowane. Gdybym zabierała głos na sesji plenarnej, to inaczej bym konstruowała swoje przemówienie. Poradziłabym się ludzi doświadczonej, przedyskutowałabym przedtem, skonsultowałabym. Chciałabym, aby ludzie słuchali tego, co mówię. Do nich przecież mówię.

W zasadzie klub ustala, kto w jego imieniu będzie mówił. Ale, jak ktoś chce wystąpić poza tym, musi się zgłosić w klubie i to ustalić.

— **Czego się pani obawia w swoim dalszym posłowaniu?**

— **Czego się obawiam? Różne mam obawy. Że się szybko zmęczę i mogę nie wytrzymać tego tempa. Ale to nie jest najgorsze. Boję się, abym nie zaczęła jednakowo rozumieć i rządowych argumentów i argumentów wyborców, żeby w pewnym momencie nie stwierdziła przypadkiem, że właściwie nie się nie da zrobić, że by mi nie było wszystko jedno. Ale myślę, że dam sobie z tym radę. Po prostu będę tak postępowala, aby nie robić niczego wbrew swojej woli.**

— **Czy uważa pani, że kobiety są potrzebne w Sejmie?**

— **Oczywiście. Jest tyle problemów wokół nas, na które trzeba spojrzeć oczyma kobiet, bronić ich punktu widzenia i ich interesu, że często sobie nie zdajemy z tego sprawy. I dlatego warto temu poświęcić swój czas.**

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Kazimierz Arendt

Jarmołowy chorał na kurdesz z kulawką

Jerzemu Jarmołowskiemu

wesołości znaleźć
bez ciebie mistrzu trudno
choć inni mi taskawi
i wdzięczni wszelako
nad powinności nasze
z rozkoszą pijaka
cień mój dla nich
z uwielbieniem przedkładam
czasem żony sarkają
gdy zapuszczamy
w nasz wiersz codzienny
głową pełną winą

gdy z beczki życzliwie nam leci
lub pełno go z omszałej flaszki
pijmy bo jutro już może
wieczór uciech nasz ostatni

bo któś to wie
jak się te sprawy w górze mają
więc póty daj miody przednie
nie dbajmy o kulawki szklane i zdobne

gdy puszcza wyrzucić z balkonu
lub chodźmy boso nogi na Księży Młynie
naszym starym zwracając
do stawu z rozkoszą pomóc

cóż to mistrzu Jarmole
czemu ten wstyd niespodziany
skoro wino w piwniczkach
w mroku dojrzewając leży

no i co nam to że już mrok
żemmy wiezieniem własnych żon
gdy słowa ich gromią pustozem i pieką
my przecież swoje wino mamy

toć i one panny białogłowe
może tylko w słowach rozpustne
bo któś to tam wie mistrzu
jak się te sprawy w górze mają

kac się trafi czasem i owszem
tak bywa po kurdeszach gdy biesiada wedle
obyczaju

przy bładym świecie nad ranem
wracają do domu poeci pijani
tu chałupy drewniane
tam dwory ospałe

a droga gdzie nasza do nich
mój mistrzu Jarmole

przeło tylko już czasem cicho śpiewamy
swe pieśni frywolne by nikt nam nie spłoszył
kompanii z kurdeszem wesolym
co w złoty barok obrasta

albo chodź mistrzu Jarmole jak dawniej z
Cezarym
pójdziemy szlakiem popróbować trunków smaki
Burgundzkie będziemy może przedkładać
nad łyż Lakrimy z Alikante

Reńskiego z Bacharaku już pełna głowa
potem popróbowujemy czyż lepsze nad
Erewnskie

a jakież to było z rodzinnego Wilna
bo Smirnow pomnę był z Lwowa

znowu przy Lombardzkim
będziemy wodzić nasze ulubione spory
a ty jak w krzyżówce odgadniesz
ile wbiła obręczy na Starki antyki

ochędożyć naprędce bimbru lub konwie
Węgrzyna

potem popróbować pieczystego
by nie przestać celować w tym kunszcie
przebiec raz jeszcze duszkiem z kielicha
kwaterekowego

lub pomniż ten półmisk bigosu hultajskiego
i gdy zym winem nas polono
gardło u nas wprawne do tykania
mocne głowy składają jeszcze krótkie do
wypitki kuranty

co tam Bore jako Sanguszko Radziwiłł
czy krajeży Malachowski z Bąkowej Góry
teraz my swoje wino wychwalamy
co w balonie kolorowo pstryka

być może bez nas zrachują ten poczet
być może
półki co niechaj znowu wesołość rządzi
między doboszami mój Panie Bracie

bo miłszy nam chłód
co po przepieciu z dzbana
nad wiatrów powiew w upały
ulubionym a warzonym jest miodem

czy tak twoją upewniony próbą
mędrzy mam być z przestrogi
nie twóżyć już i nie błądzić
po innych szklankach kurdeszem z kulawką

w kupym to wiesz
pełno wapnia i siarki
niezmyślnie skuteczna broń
na pijanego smoka z bajki

cóż to i waści serce lichowite
moje też miesiać jak pękło
ech teraz pożegnaj przyjdzie nam
i oddać komu umiłowano szlaki

wieć żal mi mistrzu Jarmole
były przecież wesołe niegdyś
płynące z ulubionego chłodu
a pustoszące dziś nasze winne gaje

tobie więc swój bachiczny oddaję chorał
przecież znasz białogłową moją
wyszła z naszego ulubionego baroku
pamiętasz to było tamtego roku

powiedz tylko czemu mój Jarmole
bóg nie dał do serba okienka
przez które zaścianem
jaka ta moja tosielka

Na mapie historiograficznej współczesnej Polski twórczość historyczna i metodologiczna Andrzeja Feliksa Grabskiego, niedawno jeszcze historyka wojującego między Łodzią a Warszawą, dzisiaj połączonego wielostronnymi wiekami z łódzkim środowiskiem naukowym i społecznym, zajmuje miejsce szczególne. Twórcza, oryginalna i otwarta intelektualnie osobowość autora, znajduje kolejną konkretyzację naukową w ostatniej z książek zatytułowanej „Kształty historii”. Efektowny tytuł jest adekwatny do efektownych i znaczących wyników badawczych w zakresie nowatorskiej refleksji metodologicznej i historiograficznej, by nie rzec historiograficznej, która dzieła zaplanowała na współczesną myśl interpretacyjną w dziedzinie szeroko pojmowanych badań historycznych.

Wbrew pozorom nie jest to książka hermetyczna merytorycznie, terminologicznie czy językowo. Autor pisze jasno, że

spektywicznych posiada znaczenie szczególne. Poczuć odpowiedzialności historyka jako badacza łączy się nierozdzielnie z poczuć odpowiedzialności za funkcjonowanie treści historycznych w świadomości współczesnych, za dokonywanie takich wyborów przedmiotu badań które mogą hamować lub przyspieszać nie tylko rozumienie, nie spuścić historycznej, ale zarazem wprowadzać do obiegu naukowego i społecznego treści ułatwiające orientację w złożonościach czasu współczesnego, i czasów, które nadejdą. O wartości twórczości historycznej — bo tak tylko można nazwać teksty wychodzące spod pióra A. F. Grabskiego — nie decyduje li tylko jej obfitość, płodność piśmiennicza, ani imponująca liczba publikacji. Jej walorem — jakże rzadko docenianym i niewymierzalnym — jest autentyczna pasja badawcza autora, skojarzona z szerokim zakresem wiedzy wykraczającej poza tradycyjny warsztat historyka, a przede wszystkim system wartości, zorientowany na przekształcenie zastanego

Beera. Najcenniejszą, bo najbardziej nowatorską i oryginalną częścią pracy, zamykającą książkę, są „Propozycje i alternatywy”. Ta subiektywna ocena recenzentki — być może — uzasadniona jest sformulowaniem nowych postulatów metodologicznych, ważnych z punktu widzenia rozwoju historii jako nauki. Idea pojmowania dzieł we wszystkich ich przejawach, ujmowanie historii jako integralnie rozumianego procesu, bez dzielenia jej na male polatka tematyczne czy chronologiczne (choć badania warsztatowe są równie cenne co nieuchronne) stanowi walor, przesądzający o losach badań historycznych ważnych dla przyszłości. Chronologiczną funkcję poznawczą spełnia również studium o dylematach psychohistorii. Posiada ono funkcje inspirujące całokształt myślenia historycznego w kategoriach poszerzających znaczenie postulatów historii integralnej, aczkolwiek w wymiarze nader dyskusyjnym, biorąc pod uwagę szkody, jakie wasko ujmowana psychohistoria poczyniła w niektórych kierunkach badań światowych, a także brak pożytków naukowych w polskiej nauce historycznej, która dość długo opierała konieczności uwzględniania kategorii psychologicznych w badaniach historycznych. Całość książki zamykają nader interesujące rozważania o koncepcji historii globalnej Fernanda Braudela.

Książkę poprzedza przedmowa autora stanowiąca wykładnię konieczności modernizacji metodologicznej i historiograficznej badań nad procesem dziejowym, w skali polskiej na tle przemian dokonujących się w tym zakresie w skali światowej. Przedmowa, podobnie jak cała książka, wymyka się możliwościom streszczenia. Te książki trzeba przeczytać. Więcej — przemyśleć. Sądzę, że wielu czytelnikom rozświetli ona tajemnice historii jako nauki, innym przyniesie sporo satysfakcji jako propozycja intelektualna, jeszcze innym pozwoli zrozumieć pewną dysharmonię, która tkwi między historią jako nauką a historią potoczną. Słowem dzięki. Wydawnictwo Łódzkie trafiła na rynek czytelnicy nowa książka o trwałych wartościach naukowych przynosząca tym splendor i autorowi, i Łódzkiemu środowisku naukowemu, i łódzkiej oficynie wydawniczej.

Dlatego też nie zakończył swych uwag tradycyjnym ubolewaniem, ani nad niskim nakładem (1700 egz.) ani też nad jakością papieru. Tworząc okładkę i zgrabnie zaprojektowaną obwolutę są i tak niemałym sukcesem edytorским.

**ALINA
BARSZCZEWSKA-
KRUPA**

Andrzej Feliks Grabski.
Kształty historii. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1985, ss. 590 + streszcz. ros., franc. oraz indeks nazwisk w oprac. H. Michalska.

bohaterskich zmagani. Jej narracja jest powolna jak czas przeciekający pomiędzy opłotkami, niekiedy nawet przesadnie rozwlekła, nie ma w sobie niczego, co czytającego mogłoby zmusić do lektury „Jednym tchem”. Jednakże jest to powieść cenna, bowiem ukazuje stan polskiej wsi znajdującej się w pobliżu miasta skazanego przez okupanta na zagładę. Jest — w sposób ledwie dostateczny — zaznaczony patriotyzm i poczucie wspólnoty z tymi, którzy chwycili za broń.

Jest także — poprowadzony niezwykle delikatnie — wątek miłosny. Właściwie nie jest to jeszcze ów wszystko niszczący płomień, jaki ogarnia dwa serca, ale właściwie odległe przecucie, zapowiedź zbliżającego się pierwszego uczucia, któremu na imię miłość.

Wydawca, zachęcając przyszłych czytelników do sięgnięcia po „Wakacje pod lunami”, tak m.in. napisał: „Z jednej strony — dzięki wartkiej akcji i dramatycznym wydarzeniom — jest to godna uwagi książka dla młodego czytelnika, z drugiej zaś — i dorośli znajdą tu ciekawe obserwacje psychologiczne oraz materiał do refleksji”.

**EUGENIUSZ
IWANICKI**

Ryszard Doroba: Wakacje pod lunami. MON 1985. Str. 312. Cena 110 zł.

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

POCZTA GOŁĘBIA

Ludwik Adam Dmuszewski, redaktor „Kurier Warszawskiego” w pomysłowy sposób fabrykował różne rzekome dokumenty historyczne, ogłaszając je w redagowanym przez siebie czasopiśmie. Tak też w 10 numerze „Kuriera Warszawskiego” z 1827 r. ogłosił wyjętek z listu niejakiego Łukasza Szmita z Łomży do mieszkającego w Warszawie Jana Olszycy. List pochodził jakoby z 1755 r., choć wszystko wskazuje na to, że zrodził się w głowie redaktora Dmuszewskiego na krótko przed publikacją prasową.

Donoszę ci, kochany przyjacielu, że pod Łomżą w dobrach podkomorskich, syn ekonomu zakochał się w córce kowala — rodem z Prus, mieszkającego w Wiźnie. Ekonom słać nie w żaden sposób nie chciał zezwolić, aby jego syn ożenił się z kowalcówką, a że chłopak często wykradał się do Wizny, aby widywać się z kochanką, przeto zamknięto go w spichlerzu, gdzie musiał pracować, co trwało przez kilka tygodni. Lecz znalazł sposób dowiadzywania się o swej kochance. Prosił ze łzami matki, aby mu jako jedyną pociechę przyniosła parę gołębi z młodymi z Wizny od kowalcówki. Matka uskuteczniła to żądanie. Młodzieniec jedno gołębie zostawił przy sobie w dymniku spichlerza, a drugie odesłał do Wizny. Stare gołębie co dzień dwa razy odlatały spod Łomży do Wizny dla karmienia jednego ze swych dzieci, a wracając do drugiego. Młodzieniec zawsze karteć czyli bilecik do swej kochanki uwiązywał do szyi gołębia i odbierał dwa razy codziennie odpowiedź, przez co się pocieszał w swym więzieniu i zawsze zapewniał kowalcówkę, że ją nigdy nie opuści. Podkomorzy, dziejąc tej wsi, wielki amator myślistwa, dowiedział się o tej korespondencji, a przekonany o stałej miłości ekonomowicza, zniechęcił ojca, iż na koniec zezwolił na połączenie się z piękną kowalcówką, zwłaszcza, że od hojnego dziedzica otrzymał zdublowaną ordynację, a syn jego pisarzę prowentową.

Tak zatytułował swą bajkę, napisaną w Wilnie w 1816 r., a wydaną w zbiorze „Kioski polski” (Paryż 1843), młody wileński poeta Antoni Gorecki. Powodem do przedruku jest krytyka nie tylko ukrytego w pierwodruku pod literką P nazwiska pseudoklasycznego wierszopisa, erudyty i bibliotekarza Jacka Idziego Przybylskiego, z którego twórczości prześmiewano się w gronie bliskich przyjaciół Mickiewicza. Owe dwa tomy Przybylskiego, z lubością zgryzioną przez szczyr, to zapewne przekład „Eneidy” Wergiliusza, wydany w Krakowie w 1811 r. „Sławne z nauk miasto” to oczywiście Kraków, zaś biblioteka to Biblioteka Jagiellońska, której prezydentem do września 1811 r. był właśnie Przybylski.

SZCZUR LITERAT

W pewnym sławnym z nauk mieście, Szczur wlaższy do biblioteki, Grzył spokojnie lat dwadzieście Uczone dzieła Seneki.

Ta obfita strawa przecie
Niewiele posiłku dała.
Tak wysechł, że mu na grzbiecie
Ledwo się skóra trzymała.

Raz tedy literat chudy,
Gdy go uzieli z głodu nudy,
W południowej latem dobie
Wędrował po mieście sobie.

A wtem ogromny i tłusty
Spotyka go szczur znajomy,
Z którym dawniej przez zapusty
Zprzył Przybylskiego) dwa tomy.

Jak się masz? — zawołał — bracie?
Ścisnął miłe koleg dawnego.
— Tak mnie tłusto wyglądasz,
Jak byście zjedli Woltera całego.

— Gdzie tam Woltera, dawno go rzuciłem —
Rzekł tłusciuch. — Nie tamię głowy.
Ot, sobie wlażem do maki skarbowej
I niby trochę utylęm.

WIEŻA BABILOŃSKA

Franciszek Salezy Dmochowski przytacza w swoich „Wspomnieniach od 1806 do 1830 roku” (Warszawa 1959) popularną w czasach Księstwa Warszawskiego anegdotę, wyborne ilustrującą faktyczny stan buforowego państewka utworzonego z łaski Napoleona:

Opowiadano, że jakiś cudzoziemiec przyjechałszy do Warty i Proszę zapytał się:

— Cóż to za kraj?
— Księstwo Warszawskie — odpowiedziano.
— Któż tu panuje?
— Król saski.
— Jakież tu wojsko?
— Polskie.
— Jakież prawa?
— Francuskie.
— A jakie pieniądze?
— Pruskie.
— To jakaś wieża babilońska — odpowiedział podróżny.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Historyk a wielowymiarowość historii

„Jest oczywiste, że dzieje mogą być interpretowane bądź to z punktu widzenia przeszłości, bądź przyszłości. Dzieje jako takie — dziejowe zaszciski, procesy czy wydarzenia — o nich nie możemy też nikogo nie pouczają; one po prostu były. Poucza zaś dopiero ich taki lub inny opis, czyli historia, która rozpoznaje dziejowe zaszciski i relatywizuje je do innych — np. procesy czy zdarzenia dawniejsze do późniejszych, interpretowanych jako ich skutki — a jednocześnie w jakiś sposób je wartościuje, orzekając, czy były one korzystne, czy nie, słuszne lub błędne itd. Owo wartościowanie — jak trafnie zauważa autor — umożliwia dopiero formułowanie jakichkolwiek „pouczeń” i „lekcji” historii. W zależności od tego, jakie to będą wartości i jak zlokalizowane na skali czasu — w przeszłości, teraźniejszości czy przyszłości — te same zaszciski dziejowe mogą posłużyć historii, ściśle różnym historiom, do sformułowania w zasadniczy sposób odmiennych od siebie „pouczeń”.

Ta wielowymiarowość historii tkwi nie tylko w samym procesie dziejowym, w interpretowaniu i wartościowaniu przeszłości jako nauki, ale również w formułowaniu alternatyw dla przyszłości, przy czym osobowość twórcy historyka, uwikłanego w czas teraźniejszy i formułowanie prognoz per-

świata przy pomocy aktywnej, twórczej działalności ludzkiej, po to, by przyszłym pokoleniom ułatwić szansę dokonywania takich wyborów, które przybliżą wizję spokojnej egzystencji materialnej i duchowej w bezpiecznym urzędowym świecie.

A. F. Grabski recenzowaną książkę, nie bez powodu otwiera tytułowym trójkolorem: „Historiografia — teoria — metodologia”. Tutaj właśnie odnajdujemy zbiór studiów, które — aczkolwiek powstawały w różnym czasie — znakomicie komponują się w całość odpowiadającą na pytania o relacje zachodzące między historią a nowoczesnością, między teorią a historią, ujmowanymi w kontekście modeli dominujących w historiografii współczesnej. „W kregu teorii formacji” autor szczególnie uwagę kieruje na historię i jej rolę wobec zagadnień świadomości społecznej, na historię w kontekście dziejowej społeczności, wreszcie na refleksje metodologiczne leżące u podstaw badania tak delikatnych materii jak mechanizmy poruszające świadomością społeczną.

Integralną część książki stanowią studia odwołujące się do modeli badań historycznych i metodologicznych reprezentowanych dawniej („Poprzednicy i prekursorzy”) w polskiej i obcej literaturze przez Karla Lamprecht, Franciszka Bułaka, Marca Blocha czy Henri

Wakacje pod lunami

W ciepłe letnie noce mieszkańcy podwarszawskiej wsi obserwują czerwoną lunę unoszącą się nad Warszawą. To trwa powstanie, dopełnia się bohaterski a zarazem tragiczny los miasta i zamkniętych w jego murach ludzi. Mieszkańcy wioski wydawałoby się są biernymi świadkami rozgrywającej się tragedii, która bezpośrednio ich nie dotyczy, jest gdzieś daleko, choć zarazem tak blisko. I właśnie ta bliskość stanowi motyw przewodni książki Ryszarda Doroby „Wakacje pod lunami”.

Bohaterem jest kilkunastoletni chłopiec spędzający wakacje na wsi i podobnie jak jego rówieśnicy w Warszawie wplątany w tryby wojennej maszyny. A więc jest tu konspiracja, przenoszenie broni, pomoc w przerzutach powstańców do lasu, obserwacja ruchów oddziałów niemieckich, w końcu prawdziwa potyczka uwięzionych z wyściewem partyzantów. Wszystko to jest widziane oczami owego kilkunastoletniego chłopca i jego rówieśników, którzy bardziej z pobudek romantycznego bohatera niżli w wyniku dojrzałej świadomości (podziw dla starszych kolegów będących już w „lesie”, chęć posiadania broni, pragnienie uczestnictwa w walce itp.) zaczynają pomagać partyzan-

tom. Wkrótce jednak początkowa zabawa w „wojsko” dość szybko nabiera cech twardej i bezwzględnej rzeczywistości. Były to przecież czasy przyspieszonego dojrzenia społecznego i politycznego. Czasami dokonywał się niebawem skok: z wieku dziecięcego wprost w dojrzałość, z zabawy w wojsko do udziału w prawdziwych potyczkach i bitwach.

Ryszard Doroba niezwykle trafnie, z wielką znajomością realiów nakreślił portrety owych trzynasto — piętnastoletnich chłopców, którym nie dano w pełni przeżyć i doznać doświadczeń właściwych ich wiekowi. Zbyt nagle i gwałtownie wchodzili w tworzącą się historię.

Wydawać by się mogło, że na wsi oddalonej od centrum administracyjnego, w tym przypadku od Warszawy, życie będzie toczyło się dość bezbarwnym, okupacyjnym nurtem: rolnicy będą orać, siał, dostarczać kontyngenty, chodzić spać wraz z kurami a wstawać przed świtem. Okazuje się, iż w „czasach pogardy” nie można było pozostawać obojętnym na zdarzenia, nawet te rozgrywane się gdzieś daleko od wiejskiej chałupy.

„Wakacje pod lunami” nie stanowią rejestru zaskakujących wydarzeń, niezwykłych czynów,

Nie oświeca i nie grzeje...

Filozofowie wieku oświecenia, a wśród nich Wolter, reprezentujący wraz z Monteskiuszem kierunek zdecydowanie racjonalistyczny, uważani są przez historyków filozofii raczej za pisarzy czy publicystów niż filozofów w ścisłym naukowym znaczeniu. Bo też w istocie, kierując swoje publikacje do szerokiego kręgu ówczesnej inteligencji, nie posługiwali się oni (podobnie jak w dwa wieki później Sartre) aparatem pojęciowym i terminologią nauk filozoficznych, dzięki czemu zresztą łatwiej znajdowali oddźwięk społeczny. Uznaje się przecież powszechnie, że encyklopedyści, w tym także Diderot czy D'Alembert przygotowali grunt pod Wielką Rewolucję Francuską.

Głównymi formami literackimi uprawianymi przez Woltera były dramaty i powieści filozoficzne, te ostatnie zwiastowały zyskały sobie wielką poczytność w oświeconej Europie, czytelnicy byli przez monarchów, jak Fryderyk Wielki czy caryca Katarzyna, choć można sądzić, nie wywarli na nich większego wpływu moralnego. Literatura ta jednak przyczyniła się do zatriumfowania poglądu, iż rozum jest najwyższą miarą prawdy, w tym także prawd moralnych, że dzięki rozumowi dokonuje się nieograniczony postęp wiedzy i poznania.

Co do Woltera, to w imię rozumu odrzucał wiarę w świat nadprzyrodzony, oznacza to, że był przeciwnikiem religii objawionej, nie odrzucając pojęcia Boga, którego istnienia, jak uważał, można trzeba dowiedzieć rozumem. Znamienne dla tej epoki, że w środowisku encyklopedystów kursowało o nim określenie Diderota, jako o... bigocie, gdy tymczasem w czasach późniejszych, np. u nas, Wolter stał się dla środowisk wierzących odstraszcającym przykładem niedowiarstwa, niemal wysłannikiem szatana.

Zresztą, jak sądzę, i dla dzisiejszych Polaków światopogląd Woltera wydawać się musi niesłychanie skomplikowany i nawet mało spójny, z dewocyjnego bowiem stanowiska trudno pojąć człowieka, który wiarę w Boga godzi doskonałe z wyrzeczeniem się wszelkich religii, a rolę kleru ocenia jednoznacznie negatywnie i chyba coś z tej naszej sarmackiej mentalności, ta niemożność wczucia się w racjonalistyczny nurt myśli oddzieliło się na wolterowskiej premierze w Teatrze Studyjnym. (Nie chcę przez to powiedzieć, że spojrzenie Woltera na świat może całkowicie zaspokoić potrzeby współczesnego człowieka).

A więc — trudno dociec, dlaczego wzięto na warsztat akurat adaptację „Zadiga” powieści dość mało klarownej, ustępującej poza tym literacko np. „Kandydowi” czy „Prostaczkowi”, które są utworami odznaczającymi się

znaczna przenikliwością widzenia i błyskotliwym dowcipem. Najwidoczniej też materiał literacki „Zadiga” wydał się francuskiemu adaptatorowi zbyt monotony i ubogi, a zawarty w nim morał zbyt wąty, skoro wzbogacił rzecz wprowadzeniem postaci Filozofii i Moralności, których filozoficzno-moralne komentarze tracą chwilami związek z akcją, łoteż z równym powodzeniem mogłyby obsłużyć adaptację całkiem innego utworu.

Ogólna atmosfera sztuki, a także interpretacja głównych postaci przez aktorów przywodzi na myśl jakieś nadwiślańskie odniesienia, z czym byłoby pół biedy, gdyby było to eksplikowane jasnie, czego wizakże nie dajoby się osiągnąć bez jakichś dodatkowych zmian w tekście.

Owszem, nie brak tu scen o dużej urodzie, które same w sobie są teatralnie atrakcyjne, jak na początku ten różnobarwny i wielce dziwaczny tłumek, ocierający się o poetykę... ekspresjonis-



Foto: Romuald Sakowicz

O monodramie i kobiecie przy okazji nowej premiery

„Naszym założeniem nie było udzielanie odpowiedzi, dlaczego amerykańska poetka Sylvia Plath, u szczytu swojej kariery popełniła samobójstwo (...) Chcieliśmy opowiedzieć o kobiecie”. Takie wyjaśnienie zamieszczają w ulotce autorzy monodramu „Sylvia”, przedstawienia opartego na listach, wierszach i fragmentach powieści Sylwii Plath, jednej z tych kilku niezwykłych i tragicznych kobiet — poetek na krótką chwilę pojawiających się na świecie i w literaturze i istniejących w naszej świadomości jako mit o Kobiecie Prawdziwej. Mit ucieleśniający się w każdej niemal epoce, stając przed naszymi każdymi oczami w coraż to innej postaci począwszy od prawzoru — Safony. I oto wielkiego zadania, przedstawienia nie tyle kobiety, co typu pełnej kobiecości, podjęli się Teresa Radzikowska-Binkowska i Jacek Binkowski na scenie Teatru 77.

Obraz po wejściu do sali — stół ze ściągniętym do połowy obrusem, rzucana na podłogę poduszka, przewrócone krzesło. Wprowadzeni jesteśmy natychmiast w atmosferę zburzonego ładu, niepokoju, postawieni wobec oczywistego faktu, że tutaj już coś zaszło a my znaleźliśmy się w samym centrum wydarzeń, w samym środku napięcia. Efekt interesujący (choć w szczegółach nie dopracowany i przez to tracący wyrazistość, szkoda...) i świetnie współbrzmiały z opowieścią o człowieku, która przecież nie wiadomo jak i kiedy naprawdę się zaczyna. Trzymamy się jeszcze tego nastro-

ju, kiedy głos z taśmy prosto i bez recytacji mówi wiersze Sylwii Plath a pod ścianą nieruchomo stoi ciemna postać kobiety wydobyta z mroku punktowym światłem reflektora. Ta scena zachowuje jeszcze prostotę i skromność, choć już drży balansując na granicy sentymentalizmu. W tym momencie rozbił się pełne światło, na scenę z impetem wbiega Ona (jedyna bohaterka i aktorka przedstawienia) i nadzieje nasze pryskają „jak sen jaki złoty”, by nie ziszczyć się już do końca spektaklu.

Monodram to forma pociągająca i, niestety, niebezpieczna. Pociągająca, bo który aktor nie zapragnie być wreszcie sam na scenie, być jedynym, na którym skupia się uwaga publiczności, powiedzieć o sprawach dla siebie najważniejszych, pokazać wszystkie swoje możliwości nie krepując się narzuconą reżyserską koncepcją. A niebezpieczeństwo? — Jest konsekwencją tych samych atrakcji (?), ale potraktowanych nieco sceptycznie. Sam na scenie, tzn. bez partnerów i scenografii, które to elementy jakże często są bardzo pomocne. Jedyny, tzn. sam na sam z widownią, niezwykle ochoczo przejawiającą ciagoty do nudy. Wreszcie pokazać siebie — to mieć coś do powiedzenia i umieć to wyrazić w języku teatralnym. Stąd jasno wynika, że monodram jest dla wielkich. Przypuszczam za banał, ale coraz częściej zdaje mi się, że winniśmy się nieco potrudzić i z banałów naszych oswojonych wydobyć jaką myśl istotną. Przewietrzyć, odkurzyć a ukłuje nas w oczy świeżość barw.

Ale powróćmy do pozostawionej na scenie bohaterki. Dwie sprawy uderzają od razu. Po pierwsze brak pomysłu na ruch, na konkretne,

tyczną. Owszem, pięknie zakomponowano wspólną przestrzeń sceny i widowni, słowem podejmowano szereg działań pobudzających zmysł estetyczny widza, co jednak nie wyrównało niedostatków przesłania intelektualnego.

A jakież ono mogło być, owo przesłanie? Przecież nie romantyczno-egzystencjalne na materiale bądź co bądź racjonalistycznym? Nielatwo jest przenieść się znad Sekwany nad Wisłę po dwóch wiekach. Chyba łatwiej byłoby cofnąć się znad Wisły nad Sekwanę o dwa wieki, to znaczy spróbować odczytać Woltera, jakim był. Wtedy dopiero przekonałbyśmy się, co ma nam jeszcze do powiedzenia...

Wyszyłoby może z tego, że choć Francja jest najstarszą córką Kościoła, to jednak Francuzi nie stali się bardziej papiescy niż sam papież. A na życiu się rozumieją...

To tyle na marginesie przedstawienia, zamiast recenzji...

JERZY KWIECIŃSKI

„Zadig” — wg Woltera. Adaptacja — Georges Coulanges. Przekład — Jolanta Sell, reżyseria — Wojciech Maryjański, scenografia — Marcin Jarnuszkiewicz, muzyka — Tomasz Bajerski. Premiera w „Teatrze Studyjnym” w Łodzi.

Kronika kulturalna

ODBYŁA się w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi ogólnopolska konferencja nt. „Zbiory numizmatyczne w muzeach polskich” zorganizowana przez Muzeum, Komitet Zbiorów Numizmatycznych i Polski Komitet Narodowy ICOM.

Referaty wygłosił m.in. prof. dr Aleksander Gieysztor, doc. dr hab. Andrzej Mikołajczyk, dr Aleksandra Krzyżanowska, dr Janusz Reyman, dr Józef A. Szmagryk, dr Krzysztof Filipow.

W trakcie obrad (12 marca br.) odbyło się otwarcie wystawy „Pieniądz czasów wojennych XVIII—XX w.”

Te interesująca wystawę można jeszcze zwiedzić w gmachu muzeum.

COTYGODNIOWY koncert w Filharmonii Łódzkiej był ostatnio szczególnie atrakcyjny: wystąpiła znakomita pianistka radziecka Dina Joffe (laureatka IX Konkursu im. F. Chopina). Artystka wykonała II Koncert Fortepianowy c-moll S. Rachmaninowa. Dyrygował Andrzej Straszynski.

Niewątpliwym wydarzeniem muzycznym będzie — zapowiadany na 18 kwietnia — występ zespołu orkiestry filharmonicznej z Tel Awiwu pod batutą Zubina Mehty. Koncert, aby umożliwić jego wysłuchanie większej liczbie melomanów, odbędzie się w sali Teatru Wielkiego a nie w sali Filharmonii.

Poza Łodźą izraelscy artyści wystąpią w Warszawie, Krakowie i Oświęcimiu-Brzezince.

„GLOS-Robotniczy” ogłosił, tradycyjnie już, plebiscyt na najpopularniejsze przedstawienie sezonu w teatrach łódzkich. Na liście pretendentów 21 sztuk, które znajdują się w aktualnym repertuarze. Przedstawienie, które osiągnie największą liczbę głosów zostanie uhonorowane specjalną nagrodą „GR”.

KONKURS dla amatorów plastyków pod patronatem redakcji „Głosu Robotniczego” ogłosiło Centrum Kultury Młodych. Przedmiotem konkursowej oceny będą obrazy sztalugowe pod ogólnym tytułem „Moje miasto”, wykonane w dowolnej technice, nie dające się powielić jako oryginały. Można przedstawić trzy prace nigdzie dotąd nie prezentowane na konkursach i wystawach. Jury przyzna trzy nagrody (20 tys. zł, 10 tys. i 5 tys.) oraz 3 wyróżnienia po 2 tys. zł.

Termin zgłoszenia prac mija 28 marca br. a termin ich przesłania 16 maja br. pod adresem Centrum Kultury Młodych, 93-578 Łódź, ul. Wróblewskiego 28/30 tel. 84-24-02

W SALONIE Sztuki Współczesnej w Łodzi eksponowana jest wystawa grafiki Witolda Warzywy. Organizator: Biuro Wystaw Artystycznych.

KLUB Międzynarodowej Prasy i Książki w Zduńskiej Woli zaprasza na wystawę pn. „Akt kobiecy w ekslibrisie” z kolekcji Tadeusza Czoszmyki. Wystawę otwarto z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet.

DWIE interesujące imprezy odbyły się w ubiegłym tygodniu w klubie „Pod Witrazem” Stowarzyszenia Twórców Kultury w Łodzi. „CAGE — pogromca muzyki” prezentacje idei i muzyki Johna Cage’a (prowadził Jacek Szerszenowicz); spotkanie z redakcją „Więzi”, w którym wzięli udział: Wojciech Wiczerok, Bogumił Luft i Andrzej Friszke. Było to spotkanie z cyklu poświęconego czasopiśmom kulturalnym i literackim.

Następne spotkanie, 11 kwietnia br. z redakcją „Radaru”.

NA PROŚBĘ Państwowego Teatru Lalek „Arlekin” przypominamy najmłodszym i starszym widzom, że codziennie (oprócz poniedziałku) można obejrzeć widowisko kabaretowe dla dzieci i młodzieży pt. „Pan Fajnański” autorstwa i reżyserii Wojciecha Szlachetkowskiego. Lalki i scenografia — Zbigniew Waszczeniuk, muzyka — Grzegorz Dąbkowski.

ORGANIZATORZY ogólnopolskiego konkursu otwartego na współczesną piosenkę dziecięcą (Wyd. Kultury i Sztuki UML, Rozgłośnia PR, Stowarzyszenie Artystyczne) komunikują, że na konkurs zgłoszono 192 piosenki, do konkursu dopuszczono 178 utworów, a do II etapu zakwalifikowano 55 piosenek. Jury pod przewodnictwem Ryszarda Czubczyńskiego przyznało następujące nagrody: I — „Gdzie jest słońce” (Wanda Chotomska i Adam Skorupka), II — „Bo my się lubimy bać” (Grzegorz Wałczak, Krystyna Kwiatkowska), III — „Słoń i biedronka” (Wanda Chotomska i Teresa Niewiarowska). Cztery wyróżnienia przyznano piosence Anny Markowej i Janusza Popaja, Stanisława Karaszewskiego i Witolda Rudzińskiego oraz Pawła Jedrasa i Andrzeja Krauze.

Ponadto nagrodę dyrektora Wyd. Kultury i Sztuki UML zdobyła piosenka „Takie coś na niby” Doroty Gellner i Adama Skorupki a nagrodę prezesa Stowarzyszenia Artystycznego piosenka „Karnawał w zoo” Pawła Jedrasa i Andrzeja Krauze.

Wreczenie nagród odbędzie się 19 marca. Nagrodzone i inne nadesłane na konkurs utwory będą opublikowane w formie śpiewnika.

Już ledwo szłam utrudzona daleką drogą, której większą część odbyłam pieszo, z rzadka tylko i na krótkich odcinkach korzystając z przygodnej furmanki. Szosa, ubita z wapiennego kamienia, rozbielona słonecznym blaskiem upalnego lipca wznosiła się łagodnie i opadała, przecinając złocone zbożem pola, zielone łąki i kartofliska. Szłam mozolnie, jakbym własnymi krokami odmierzając nieskończoność. Według Euklidesowej geometrii, której przestarzałe twierdzenia przyswoiłam sobie w gimnazjum, dwie proste równoległe przecinają się w nieskończoności. Nie wyobrażałam sobie wtedy rzeczy niewyobrażalnych. Dziś niewyobrażalną nieskończoność odczuwałam wzmogłym bólem podbrzusza, stóp i całego ciała. Gdzieś na prostej znajduje się punkt — Jarzębiniec. Tam zmierzałam. Może leży w połowie odległości do nieskończoności? Szosa i kierunek mojej ucieczki to jakby dwie proste równoległe. Uciekałam od rzeczywistości, przed którą nie ma ucieczki.

Jeśli ktoś ciągle przed czymś ucieka — jak to określić?

Biel szosy wibrowała w rozgrzanym powietrzu zmuszając do mrużenia oczu. Osłepiała. Doznawałam zawrotu głowy, oszołomienia. Nie mogłam, nie chciałam okłamywać samej siebie. Myśl o macierzyństwie nie napawała mnie błogostanem. Do głowy cisnęły się niedorzeczne majaczenia. Dlaczego, skoro jestem tak napeczniona jak balon, nie unoszę się nad ziemią? Zaprzęgnęłam lewitować, wprowadzić się w stan nieważkości lub choćby w części zmniejszyć wagę ciała, zaprzęgnęłam stać się czarownicą, którą w ponury średniowieczu poddawano próbie wody i która z takiej próby nie uchodziła wówczas z życiem.

Gdzieś w połowie drogi do nieskończoności, a może tuż u krańca szosy był punkt, do którego zmierzałam. Jarzębiniec.

Roman... łatwo mu przyszło rozstrzygnąć. Powiedział krótko: — Pójdiesz do mojej matki, gdyby... będzie matką także dla ciebie.

Co mogły wyrazić te słowa? Jaką prawdę? Nie można mieć dwóch matek. Uświadomiłam sobie to dopiero teraz, w przededniu narodzin własnego dziecka. Ale to dobre kłamstwo. Przecież całe życie człowiek jest omotyany złudzeniami. Być może one w ogóle warunkują życie. Miałam matkę. Nie mam matki. Będę matką.

Zostanę matką, jeśli dobrnę do Jarzębince. Muszę tam dotrzeć. Muszę wyżyć wszystkie swoje siły, resztki sił aby tego dokonać. Nie zastanawiałam się jak mnie tam przynajmniej. Urodzić. To było najważniejsze. Chciałam się wreszcie pozbyć dźwiganego od tyłu tygodni garbu pod pierśmi. Urodzić w domu Romana, nie na polu. Nie w lesie. Balam się.

W domu rodzinnym Romana okazała mi przychylność czy niechęć? Zadawałam sobie to pytanie wiele razy w ciągu drogi. Nękał mnie niepokój, ale miałam nadzieję.

Przysiadłam na stromiźnie rowu u skraju szosy. Czarne koła wirowały mi przed oczami. Moje oczy... Nie płakałam.

Nasza miłość przyszła w złym czasie. Kryliśmy ją przed ludzką ciekawością. Natrętą i szpiegowską. Nasze zbliżenia były ukradkowe. Kradzioną miłość... wstydliva i gwałtowna.

Roman przygarnął mnie, gdy nie miałam już dokąd uciec. Pojawili się nieoczekiwanie w obozie partyzanckiego oddziału, którym on dowodził. Nie sądziłam, że zostanie jego żoną. Żoną... Miłość jest historycznie wcześniejsza od instytucji małżeństwa. Roman skupiał w swych rękach pełnię suwerennej władzy podziemnego państwa, niepodległego — Polski walczącej. Jak kapitan okrętu posiadał moc stanowienia praw, udzielał ślubów i dawał rozkazy, ferował wyroki. Decydował o życiu i śmierci. Czy uświadamiał sobie w pełni jaki ciężar odpowiedzialności złożony został na jego barki? Nie wiem. Nigdy się nie zwierzał.

Doprowadzona przed oblicze Romana przeczułam, że coś się stanie. Podpowiedział mi to „coś” instynkt kobiety. Byłam ładna. Wiedziałaś też jakie nieszczęścia może spowodować na dziewczynę jej uroda. Ile przysporzy radości i jakimi obdarzy przywilejami. Roman tulił mnie w ramionach szepiąc: — Jesteś piękna. Spoglądał w zachwyceniu, a ja tajałam pod jego spojrzeniem. Po chwilach uniesienia zamykał oczy i jak ślepiec wodził opuszkami po mojej twarzy. Miałam wtedy wrażenie, że utrwała w pamięci mój wizerunek, jakby zamierzał skazać mnie na śmierć. To było jednak przyjemne. Pożądał mnie. Odgadywał to szybko i czułam się skrzepowana.

Inni, jego podwładni, także mnie pożądali. Potrafiłam to odczytać w ich samczych, głodnych oczach. Ich oczy ciągle mnie śledziły, podglądały. Wstydziałam się i... balam. Każdy gotów był mnie gwałcić. Chroniła mnie przed tym upodleniem zajmowana pozycja. Pozycja hierarchii, zwierzości, siły. Byłam kochanką wodza. Porwanie się na jego własność oznaczało zamach na ustanowioną władzę.

On, Roman, był inny. Może inny. Najpierw przygarnął mnie litośnie, potem przypatrywał się w zachwyceniu, później powiedział, że kocha. Od razu uwierzyłam. Bardzo pragnęłam, aby mnie ktoś kochał. Od wielu miesięcy byłam bowiem królikiem umykającym przed nagonką polowania. Roman powiedział, że kocha. Wtedy pojęłam, że jestem zdolna też pokochać. Odważym się miłość. Spadła na mnie niespodziewanie... w takich okolicznościach. To nie było wyrachowanie. Pokochałam. Jego spojrzenie ani się nie wstydziałam, ani balam. Niecierpliwie jaką objawiał przy każdym spełnieniu, gwałtowność każdego zbliżenia pozbawiała mnie tkliwości pieszczot, za którymi tęskniłam, ale nie czułam się gwałconą. Myślałam o nim wtedy, jak o małym przerażonym chłopcu, który we mnie szuka schronienia, a którego dać mu nie mogłam, lecz co najwyżej chwilę zapomnienia. Przedziwne skojarzenie — usprawiedliwiałam tę jego gwałtowność nadając jej algebryczny wyraz: była wprost proporcjonalna do kwadratu niebezpieczeństw, które niosła walka.

Mogło być jednak inaczej. Zupełnie inaczej. Nietrudno to sobie wyobrazić. Miałam jednak trochę szczęścia. Roman mnie pokochał. Gdyby tylko pożądał też bym uległa. Tyle, że bez miłości. Nie miałam innego rozwiązania. Gdyby wyciągnął po mnie rękę jak po przedmiot, potrafiłabym to zniesić. Byłam już pogodzona z losem. Właśnie tak się czułam. Byłam rzeczczą. On, obdarzając mnie uczuciem, ponownie mnie uczyłowieczył.

Mogło być jednak inaczej. Roman działał zgodnie z prawem, które sam stanowił albo poddawał się prawom, które nami wszystkim wtedy rządziły. Był wilkiem. Mógł mnie skazać na los wilczy.

Staralam się uczestniczyć razem z nim w każdej akcji. Rzadko wyrażał zgodę. Każdy strzał napawał mnie lękiem. Każdy świst pocisku, huk granatu mógł mi zabrać Romana. Strach. Przedziwne doznanie. Najpierw bardzo balam się o siebie. Później tę bojaż zastąpiła porażająca zmysły i ciało trwoga o życie Romana. Po każdej potyczce z Niemcami, po każdym zbrojnym starciu odzyskiwałam go na nowo. Wznosiłam już z tych wielokrotnych odzyskań wielki gmach zapłakanej troski. Tak był nasz dom. Staralam się znieść wszystkie trudy bez sarkazm, bez hysterii, tak często właściwej kobietom. Byłam opanowana, chciałam być dzielna do ostatniej chwili. Do chwili, w której zdrętwiałymi różnaczka wargami zwierzałam powieki Romana na martwych nie wyrażających już ani zachwycenia, ani pożądania jego oczach.

Kazał mi iść do swojej matki. Wiedziała, że nie mogę pozostać w oddziale po jego śmierci, jeśli chcę uniknąć przejęcia w stan posiadania innego dowódcy, następcy lub... następców. Musiałam odejść. Uciekałam. Wszak nie byłam żołnierzem. Byłam kochanką, tylko kochanką, żoną jednego z nich.

Kto wie jednak, czy wśród tych na polu zdziczałych mężczyzn nie czułabym się bardziej bezpiecznie niż gdziekolwiek?

Droga szła starucha. Głowa okutana czarnym szalem, tyle że widać skrawek pomarszczonej twarzy.

Uniosłam się z runi przydrożnego rowu. We dwie różnie iść. Łżej i bezpieczniej. Dwie drepające kobiety — stara i młoda, nie wzbudzają zainteresowania i podejrzeń.

— Babciu, daleko do Jarzębince?

Starucha przystanęła. Rozejrzała się.

— Niedaleko, panienczko, niedaleko.

Przeglądała mi się uważnie. Już pewnie spostrzegła nadmierne opięte palto na wydeptym brzocho, bo poprawiła:

— Paniusia do Jarzębince? I ja tam idę.

Ruszyliśmy dalej razem.

— Paniusia musi z daleka — stara zagadnęła badawczo, lecz życzliwie. — A do kogo? Piechotę?

RYSZARD KLIMCZAK

Wyznanie

— Idę do krewnych. Znać, babciu, Żelgowa? — ale zaraz pożałowałam pytania. Moja sytuacja wymagała powściągliwości. Nie należało wyjawiać celu wędrówki każdemu spotkanemu przechodniowi.

— Żelgowa teraz ino z córkami. Toć pewnie, że znam. Kuma. Mąż pomarł niedawno. Będzie pół roku. Syn gdzieś w świecie. Nie wrócił. A inni wrócili. Nawojowali. Kto miał wrócić to wrócił — terkotała stara skrzekliwym głosem. — Jednych Bóg zabiera, drugich nie. Pani musi pierwszy raz w tych stronach? Do rodziny. Nie słyszałam. Ano wojna oddala, wojna zbliża ludzi. Pani musi miastowa.

Postanowiłam unikać tego tematu i raczej wypytwać aby nie być pytana.

— Starsza, Halusia, jakoś do żeniaczki nieskora, choć to już i czas wielki. Będzie jej za dwadzieścia pięć років. Czeka aż wojna się skończy. A o chłopca będzie coraz trudniej. Ładna, jak malowanie. Jagna, jeszcze prawie dziecko.

Staruszka dokładnie wiedziała jak żyją. Jak im się wiedzie. Snuła długą opowieść zadowolona, że ma ją kto słuchać. Chłongłam z uwagą każde słowo, każdy szczegół mógł mi okazać istotny. Miałam przecież stanąć przed obcymi ludźmi, których Roman uczynił moimi powinowatymi, obnażyć przed nimi całą moją nędzę. Już sama myśl o tym upokarzała.

Czy będą mi życzliwe? Czy okażą serce? Nie żyją w dostatku a tu spada na nie jeszcze jeden ciężar. Wojna ludziom wszakże zabiera nie dodaje. Ludziom niebogatym i nieobrotnym. Osa-motnione trzy kobiety. Ja czwarta. Zabiedzona. Obca. Zastanawiałam się co mówić, co czynić, aby od progu pozyskać ich łaskawość. To będzie bardzo trudne. Zamieszkały razem, jeśli mnie przyjmą, przegarną. A czy ja zdołam je polubić? Te trzy kobiety mają mi zastąpić Romana. Roman... tyle minęło już dni. Czy jeszcze go kocham? Bywa, że myślę już tylko o sobie i moim dziecku. Naszym dziecku, które teraz jest wyłącznie moje i tak już będzie zawsze.

— To dobre ludzie — mówiła dalej staruszka o Żelgowej, mojej teściowej... teściowej? i jej córkach. — Nie rozprawiały nigdy o krewniej z miasta. A z jakiego miasta paniusia?

— Ze Lwowa — odpowiadałam bez namysłu, jakbym ledwie wczoraj opuściła rodzinne miasto. A przecież ostatnim miejscem pobytu w długiej ucieczce, moim domem był podlubielski las.

— O, to daleko. A co tam paniusia robiła?

— Studiowałam na uniwersytecie. Dopóki... dopóki...

— Wiem, wiem — przerwała. — Niemcy.

Szłyśmy mozolnie, powoli. Stara z tłumokiem lat, których ciężar przylgł pley w pałak, a ja z tobołem młodości rozpierzającym brzuch.

Podprowadziła mnie pod próg pobielanego domku, stojącego przy drodze niewielkiej osady, czy może większej wsi z gotyckim kościołem w rynekczku i okazałym budynkiem strażackiej rewiży. To Jarzębiniec. Pobielony domek był wtulony w niewielki ogród.



Rys. Janusz Szymański-Głanc

— To tutaj.

Znieruchomiałam przed drzwiami. Usłyszałam niespokojny łomot mego serca, który wydał się głośniejszy niż stukot pałca o drewno zamkniętych na skobel drzwi.

Powitały mnie życzliwym słowem i objęty nieufnym spojrzeniem, jakby serdeczność rywalizowała z podejrzliwością. Ja nie rozporządzałam przekonującym dowodem. Synowa? Bratowa? Jedynym wątpliwym zresztą świadectwem wiarygodności było moje zapewnienie. Może także to, że do nich trafiłam.

Młodość jest nieobliczalna. Było brakiem rozsądku rodzić wtedy dzieci. Roman lepiej niż ja powinien był o tym wiedzieć. Biologiczne prawo zachowania gatunku jest jednak tak potężne, że nawet w warunkach, w których ludzie skazani są na nędzę i poniewierkę, żyją w strachu i upodleniu pojawia się też uczucie miłości. I daje nowe życie. To nowe życie rodzi się wprost na trumnach. Już nie było gdzie rodzić. Tylko na grobach lub obok grobów.

Poród był ciężki. Dla większości kobiet jest czymś naturalnym wręcz zwyczajnym aktem tworzenia, chociaż nierazko ocierającym się o krawędź cmentarna.

To „male” było dla mnie okrutne. Też chciało mnie zabić. Wągle, wycieczona patologia rodzenia wegetowało na pograniczu życia i zamarania. Ciche jego kwilenie nekalo moje serce zięknionym niepokojem. Kochałam je smutnym kochaniem. W bezsenne noce powracały wizje przerażających scen, na które niedawno patrzyłam.

Co los wyznaczył mojemu dziecku? Nie byłam Joanną Orleañską.

Nikt nie jest poza podejrzeniem. Ono też nie. Wnuczek? Bratanek?

Nie chorowałam długo. Każdy cierpiący bez opieki lekarza długo nie choruje. Umiera albo szybko dobrze. Byłam młoda, silna. Nie wychodziłam poza obręb domostwa. Unikałam ludzi.

Napomysłano o kościele. Synka ochrzcił. Pomyślałam: — To może lepiej. Może ich Bóg będzie dla niego bardziej łaskawy. Ale tego drugiego obrzędu nie znałam. Balam się go. Po urodzeniu dziecka, miejscowym zwyczajem, aby oczyścić się z pierwotnego grzechu matka podlegała „wywodowi”. Nie pamiętałam czy to dokładna nazwa tego obrzędu. Odwlekałam kultowy termin.

Synek mój zmarł. Ich Bóg nie okazał się bardziej łaskawy. Nie wyręczył się nawet katem. Mój synek zasnął cichutko, spokojnie. Miał łagodną śmierć. Nie rozpaczalam. Nie mogłam. Widziałam przecież inne obrazy. Być może ludzie wzięli mi to za złe. Nie byli wszak zdolni wejrzeć w moje serce. Może oskarżali?

Odczuwałam na sobie jakby stężone okrucieństwo wojny. Ograbilo mnie ze wszystkich co najbardziej ukochołam. Rozpacz przekształcała się w rezygnację. One, siostry i matka Romana, nie były w stanie również mnie zrozumieć. I nie rozumiały. Nie wiedziały, że zamordowano wszystkich moich najbliższych. Nie mogły i nie powinny się tego dowiedzieć. Nie ujawniłam także przed nimi, że wnuczek i bratanek był pogrobowcem, że straciłam męża a one syna i brata. Chciałam zostawić im nadzieję. Nadzieję... najwyższą ówczesną wartość. Nie miałam siły ani odwagi jej odbierać. To pogłębiało podejrzenie. Bardzo możliwe. Nie dostarczałam listu od Romana. Gdyby żył... Wątpliwości powstają często nawet bez uzasadnionych powodów, a co dopiero... Mogłam tłumaczyć, że bezpieczniej dla wszystkich było nie przesyłać listu od dowódcy partyzanckiego oddziału, przede wszystkim dla nich, adresatów, gdyby pytali. One nie pytały. Temat Romana był objęty znową milczeniem. Może przeczuwały?

Halina uznała, że trzeba mnie wprowadzić do grona znajomych, zaprezentować dalszym krewnym, a także Rólegom Romana. Nie sprzeciwiałam się, chociaż byłam pełna obaw. Ona wiedziała lepiej, żyła w tym środowisku i doskonale je znała. Uchylanie się od towarzyskich obowiązków byłoby złe przyjęte, być może nawet nieprzychylnie komentowane.

Wizyty. Rewizyty. Poznawałam nowych ludzi. Byłam dla nich nową twarzą. Nowa twarz... każdy jej rys, każdy grymas bywa gruntuownie studiowany. Ja lekalam się, że moja twarz okazać się może nie dość dobrą twarzą. Czułam się coraz bardziej samotną.

Spotkania. Rozmowy. Trudno zaprzeczyć, że dzięki nim powoli wyzwalalam się, powracałam do życia w zbiorowości, stopniowo pozbywalam się lęku i nieufności. Powrócił uśmiech na moje usta, pojawiła się skłonność do dyskusji. Kilku kolegów Romana nie kryło swego udziału w konspiracji. Ja tymczasem cierpki smak walki znałam nie z salonowej paplaniny. Nie podtrzymy-wałam tematu. Był dla mnie zbyt bolesny.

Uczestniczenie w prawie że normalnym życiu towarzyskim tej małej społeczności niosło jednak pewne niebezpieczeństwo. Rozmawiałam o tym i zdarzało się, że ogarniała mnie panika. Mój instynkt zasygnalizował fałszywy ton w moim obecnym życiu. Posłyszałam szmer, który obiegł miasteczko: Żydówka.

Jeśli ten szmer wypływał ze źródeł współczucia, to jednak nie pomniejszał zagrożenia. Był niebezpieczny. Postanowiłam udać się do księdza Borsuka, który byłwł czasami w gronie znajomych Haliny. Chciałam żyć. Czy to złe chcieć żyć?

Wyplakałam swój żal, ból i lęk przed nim. Nie chciałam kłamać. Ksiądz Borsuk okazał się serdecznym powiernikiem. Serdeczny — jak to bywa wyleniały przyniotnik, scodzienniały i funkcjonujący bez treści w społecznej obyczajowości. W tamtych czasach — prawdziwa nieklamana serdeczność była zbawieniem, poświęceniem się dla drugiego człowieka, wyprowadzającym z zagubienia.

Z jego rąk otrzymałam sakrament chrztu. Przyjął imię — Maria. Tak nazywał mnie Roman. Nie musiałam już kłamać. Jestem katoliczką. Wierzę w Boga, Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, i w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedynego, Pana naszego. Narodził się z Maryi Panny, umęczon pod Ponckim Piłatem, umarł i pogrzebion, zstąpił do piekieł, trzeciego dnia zmartwychwstał, wstąpił na niebiosa, siedzi po prawicy Boga Ojca wszechmogącego, stamtąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych. Wierzę w Ducha Świętego, święty Kościół powszechny, świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny. Amen.

Wierzę. Chcę wierzyć. W Boga Ojca miłosiernego, który miał Syna zrodzonego z niewiasty za sprawą Ducha Świętego. Ten Syn Boży mezczeńską śmiercią na krzyżu miał odkupić rodzaj ludzki, uczynić ludzi lepszymi. Minęło blisko dwa tysiące lat od tego zdarzenia, a ludzie są tacy jacy są, jakimi byli. A teraz... w o-gromie zbrodni, okrucieństwa i upodlenia nurza się cały świat. Czy ofiara Chrystusa była daremna?

Przyjęłam wiarę w Boga, który okazał się dla swych wyznawców bardziej łaskawy, miłosierny. Łaskawszy niż mój Jahwe dla swoich wyznawców. A Bóg jest jeden, a człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo Boga. Wybrałam Boga, który okazał się litościwszy. Chciałam żyć. To nie jest złe chcieć żyć.

Ksiądz Borsuk zginął od pocisków z esesmańskich pistoletów maszynowych, gdy spieszył na ratunek dzieciom w płonącym domu. Coś dla podpalaczy świata znaczył jeden dom, jedna wioska, jedno miasto? Dzieci było czworo. Płonęły żywem. Każdy kto usiłował je ratować padał pod seriami pocisków. Rodziców tych dzieci zakatowali niemieccy oprawcy za czekome udzielenie schronienia i niesienie pomocy rannym „bandytom”.

Ksiądz Borsuk umarł jak Chrystus. Co prawda nie za chęć zbawienia ludzkości, lecz za usiłowanie ratowania czwororga dzieci. Zginął powodowany ludzkim odruchem niesienia pomocy bliźnim, których ukochoł bardziej niż siebie samego.

Zabrano mi jeszcze jedną najbliższą osobę. Ale już nie byłam sama. Matka i siostry Romana osłaniały mnie tarczą swej opieki. Doczekałam dnia, w którym opalacze świata opuścili w popłochu Jarzębiniec. I oto żyję. Jestem.

Polemiki • Listy • Opinie

„KULTURA I PIENIĄDZE”

Do publikacji pod powyższym tytułem (Ogłosy nr 11 z 13 marca) wkraśli się poważny błąd rachunkowy: sumę ogólną, pozostającą w dyspozycji Wydziału Kultury i Sztuki UML w roku ubiegłym, podałem jako wynik dodania dotacji z Centralnego Funduszu Rozwoju Kultury (1873 406 tys. zł) do ogólnego budżetu Wojewódzkiego Funduszu Rozwoju Kultury, który wynosił 1 891 648 tys. zł. Wynikiem sumowania była kwota 3 765 054 tys. jaką Wydział nie dysponował! Błąd był wynikiem dwukrotnego liczenia niektórych sum: podano mi kwotę ogólną, składającą się z sumy kwot, jakie Wydział oddał do dyspozycji urzędów dzielnicowych, w których to kwotach znalazły się już częściowe sumy z dotacji centralnej...

Wszystkich czytelników za tę pomyłkę przepraszam w imieniu własnym i moich informatorów.

Prawda o ubiegłorocznych zasobach finansowych Wydziału jest taka: były one — mniej więcej — równe tegorocznej kwocie. Co, biorąc pod uwagę inflację, oznacza relatywny, poważny regres. W związku z tym ogólna wymowa mego tekstu zachowuje swoją aktualność, choć sytuacja nie jest aż tak alarmująca, jakby to z porównania liczb wynikało.

ANDRZEJ KAROLCZAK

ŻENUJĄCE SPRAWY

28 stycznia 1986 r. w programie pierwszym TVP emitowany był „Magazyn związkowy”. W czasie oglądania programu moje wspomnienia z pracy ożyły na nowo. Przed kamerami TVP wypowiedzieli się uczeni, prawnicy, dziennikarze i zwykli prości ludzie, także inwalidzi z Międzywojewódzkiej Spółdzielni Inwalidów w Piotrkowie Trybunalskim, mieszkańcy Opoczna. Ież przynajmniej się goryczy w ich słowach.

Zostali skrzywdzeni. Wykorzystano ich ponad siły. Umowa o pracę opiewała na pół etatu, a pracowali bez mała na całym etacie, wyrabiając miesięcznie po 193 godziny. Zaś płace obliczone były według normalnych stawek zasługujących. W tym przypadku zachodzi poważne naruszenie przepisów prawnych. Ale co to może obchodzić administrację, związki zawodowe? Zwykle ich nieczym. Nazwano ludzi nieprzystosowanymi do pracy w kolektywie, „rozrabiakami”, gdy zaczęli upominać się o swoje słuszne sprawy pracownicze, niby zagwarantowane w przepisach K P.

Sam doświadczyłem identycznych poczyną, kiedy to przez niewłaściwą interpretację przepisów prawnych KP — dyrekcja zakładu odmówiła mi płacenia za przepracowane nadgodziny, za trzy lata. Zebrało się razem około 1500 godzin nadliczbowych. Gdybym otrzymał zapłatę w terminie, mógłbym coś sobie dokupić (1978—1980 rok). Inflacja nie była brana pod uwagę. Miałem satysfakcję moralną, że w końcu sprawiedliwość stała się zadaniem i to było dla mnie najważniejsze.

Drugi z kolei program emitowany 25 lutego 1986 r. dotyczył tego samego problemu.

Dwóch inwalidów zostało zwolnionych z pracy. Niby wszystko odbyło się w myśl obowiązujących przepisów prawnych, lecz pozostałe pytanie na które nie usłyszałem odpowiedzi — dlaczego akurat w kilka dni po emisji pierwszego programu? Przedstawiciele Zarządu Spółdzielni Inwalidów uważali, że działali w obronę interesów pracownika, dobrego imienia spółdzielni.

Powszechnie wiadomo, że człowiek, który upomina się o swoje prawa zagwarantowane przepisami Kodeksu Pracy, staje się niewygodny dla kierownictwa zakładu pracy, ale dlaczego Związek Zawodowy zamiast bronić takiego pracownika jeszcze go pogarsza? Tego zupełnie nie jestem w stanie zrozumieć.

Ile już lat dyskutujemy o pewnych przestarzałych przepisach prawnych KP. I nie. Czas się zmienia. Robotnik dzisiejszy, to nie ten sam „robot” z lat pięćdziesiątych, a Kodeks Pracy nie nadaje się za reformą, za czym robotnika w nowych warunkach. Warto, by Ministerstwo Pracy, Plac i Spraw Socjalnych wypracowało odpowiednie wnioski na przyszłość wraz z Związkami Zawodowymi. Wydaje mi się, że niektóre przepisy KP wymagają nowelizacji, nie pasują i nie są przystosowane do rzeczywistości, realiów życia.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

KWIECIEŃ — PLECIEŃ!

Kwiecień jest miesiącem szczególnym nie tylko u nas, ale również w wielu krajach świata. Pierwszy jego dzień był w dawnych latach uważany za nieszczęśliwy. Podobno „Prima Aprilis” to dzień, w którym miał urodzić się Judasz. Być może dlatego w wielu krajach i również w Polsce istnieje zwyczaj, według którego 1 kwietnia zwrócić się pod różnymi pretekstami krewnych i znajomych, a nawet przypadkowe osoby. Różnie się to w różnych krajach nazywa, a u nas już przed setkami lat określano to jako „złodzenie” lub „wodeniem za nos”. Powstały przy tym okolicznościowe wierszyki jak np.:

„Prima Aprilis”
Nie wierz, bo się omylisz,
A jak się omylisz, to nic nie szkodzi.
Kto kogo kocha ten tego zwodził... itp.

W Niemczech mówi się o zrobieniu z kogoś „kwietniowego głupka”, w Anglii: „zrobić z kogoś gąpka”. Pochodzenie tego zwyczaju nie zostało dotychczasdefinitywnie wyjaśnione. Według jednych źródeł ma on symbolizować kapryśność kwietniowej aury, inne źródła sięgają aż do starożytnego Rzymu. Najbardziej rozpowszechniony jest jednak pogląd, że ten zwyczaj wziął się z uroczystości pasyjnych w średniowieczu obchodzonych na początku kwietnia. Ma to naśladować niepotrzebne wodzenie Chrystusa od Annasa do Kaifasa.

Faktem jest, że kwiecień zaczynamy na wesoło i cieszymy się, jeśli uda nam się nabrać kogoś naiwnego. Od tego miesiąca wymagamy słofica i radości. Gdy cała przyroda budzi się do życia i my bez względu na wiek czujemy się jakoś inaczej, po prostu cieszymy się wiosną. Kwiecień to jednak nieodrodny syn swej matki Wiosny i potrafi być jak i ona kapryśny. Figle lubi pisać nie tylko pierwszego dnia, ale często w połowie swego istnienia. Nie przejmujemy się tym.

Kwiecień-plecień, wciąż przeplata
Trochę zimny, trochę lata...

ADAM BIENKOWSKI

NIEZNANY KSIĘGOZBIÓR KRASICKICH Z DUBIECKA

Majątek przez wiele lat należał do rodziny Krasickich, a od połowy XIX w. do rodziny Konarskich. Obecnie jest tu muzeum Ignacego Krasickiego. Ale nie tylko. W oficynie pałacowej mieszka także osiemdziesięcioletnia staruszka — Maria Konarska, ostatnia spadkobierczyni poetyckich tradycji.

Pewnego dnia pracownicy Muzeum-Zamku w Łańcucie otrzymali wiadomość, że w Dubiecku jest do sprzedania „zabytkowe lustro Oddelegowane więc Marię Paterak — kustosa biblioteki zamkowej, aby obejrzała i oceniła eksponat. Pani kustosz dostała służbowy samochód z kierowcą i pojechała do Dubiecka. Właścicielką eksponatu okazała się mieszkanka pałacowej oficyny — Maria Konarska, Staruszka była miła i uśmiechnięta, lecz sprawiała wrażenie trochę niezgrabnej.

— Wie pani, tak pomyślałam, że może to lustro jeszcze na coś się przyda.

Niestety, zwierciadło okazało się bez większej wartości muzealnej. Zarówno mieszkanka pałacyku, jak i pani kustosz były rozczarowane.

— No, a może... — coś pani Marcie przyszło do głowy — czy może są tu jakieś książki? Przecież zawsze trzeba pytać o książki.

Staruszka zamyśliła się, starała sobie przypomnieć. Już dawno nie nie czytała, przecież ma bardzo słabe oczy. Nie, chyba nie tu takiego nie ma.

— No może tylko w tej skrzyni z rupieciami — wskazuje na stojący w rogu drewniany kufel. — Jest tu pełno starych papierów, może i są jakieś książki. — Już dawno chciałam zrobić z tym porządek — dodaje po chwili — no, ale nie miał kto tego wynieść, a ja stara nie dam rady.

Pani kustosz podeszła do skrzyni, otworzyła wieko. Pod sterą papierów rzeczywiście leżały równo poukładane książki.

— Nie zabieramy lustra, ale zabierzemy książki. Pani Konarska była zachwycona. Nie dość, że pozbyła się rupieci, to jeszcze dostanie pieniądze.

Po przewiezieniu skrzyni do Zamku w Łańcucie i rozpakowaniu okazało się, że istotnie książki te są bardzo cenne. Jest to bowiem część biblioteki należącej kiedyś do rodziny Krasickich. Z zachowanej proveniencji wyczytać można nie tylko historie majątku, ale i elementy należące do historii polskiej kultury. Uratowany przypadkowo księgozbiór obejmuje 260 woluminów, w tym 55 starych druków. Książki, które niestannie przechowywano, były w bardzo złym stanie. Po wielu staraniach doprowadzono je do porządku. Bardzo dziwnym wydaje się jednak fakt, że pracownicy muzeum Ignacego Krasickiego nie spenetrowali dokładnie pałacu, nie zapytali wcześniej jedynej mieszkanki, czy nie posiada jakichś pamiątek. I gdyby nie przypadek część zabytkowej biblioteki, przeznaczona do zniszczenia, nigdy by się nie ujawniła.

Stoję przed regałami z dubieckim księgozbiorem. Niektóre egzemplarze zachowały piękne, skórzane oprawy ze złotymi ornamentami. Biorę kilka książek w rękę i przyglądam się kolorowym ilustracjom, starym rycinom. Najwięcej pozycji pochodzi z pierwszej połowy XIX w. Jest to przede wszystkim literatura piękna: dramaty Schillera, Szekspira, cykl dramatu angielskiego w kilkunastu tomach, utwory popularnych autorów komedii, tomiki poezji, beletrystyka francuska, powieści Waltera Scotta, a także pamiętniki Napoleona, pani George Sand. Oprócz tego widzę słowniki, pozycje o charakterze encyklopedycznym, opisy podróży dookoła świata, dzieła historyczne, polityczne i religijne.

Mile i serdeczne dedykacje od Magdaleny Morskiej z Zarzecza, czy Dembińskich z Nienadowej wskazują na liczne kontakty towarzyskie. Z zainteresowaniem przyglądam się tym podpisom. Książka jest przecież często prezentem, podarunkiem dla drugiej osoby, czymś pamiątkowym. Zasygnalizujcie czy czterolistna koniczyna sprawiała, że suche, drobno zapisane karty papieru nagle stają się żywe.

Dubiecka biblioteka jest też dowodem, że np. Aleksander Krasicki utrzymywał przyjazne stosunki z przedstawicielami świata literackiego. m. in. Wincentym Polem, J. I. Kraszewskim. Jego córka Aleksandra Konarska, podtrzymująca rodzinne tradycje literackie, też nie stroniła od ludzi pióra. Entuzjazm dla poezji Teofila Lenartowicza zastawił tu trwały ślad.

Dlatego księgozbiór ten nadal stoi w Łańcucie, a nie w swoim macierzystym Dubiecku? Dlatego nadal nikt się nim nie zainteresował, nigdzie nie zanotowano o jego istnieniu i nie opisano. A przecież dla bibliofila jest to na pewno bardzo cenne znalezisko.

JOANNA SOKOŁOWSKA

CO JESZCZE OPODATKOWAĆ?

Dzięki MALADZE za odwagę i artykuł „III gat. z budą”. Chciał On(Ona?) stanąć(stanęła?) w obronie właścicieli psów.

Po jego przeczytaniu byłem trochę zdziwiona (mille) i zaskoczona, że art. ten „przeszedł” i został wydrukowany. Ostatnio „Ogłosy” stały się trochę „młdawe” i może dlatego nie mają już takiego popędu jak kiedyś. Pamiętam, że aby dostać „Ogłosy” trzeba było już wcześniej zajmować kolejki, a teraz leżą i są nawet zwroty. Nie pomaga nawet „Wielki las”.

Ale wracając do artykułu. Na pierwszy ogień poszły podwyżki podatków od psów. Ale czy to na tym się zakończy? Może ktoś wpadnie na pomysł by opodatkować np. właścicieli kotów, papug, kanarków, czy też innych żyjących stworzeń.

Niedawno czytałam dziełko książkę „O dwóch takich, co ukradli księżyc”. Jest w niej rozdział opisujący państwo, gdzie, a właściwie w którym, za wszystko płacono się podatek. Czy my również do tego zmierzamy?

ANNA MARCINIAK

OD REDAKCJI: Nie chcemy polemizować na temat oceny pisma. Każda traktujemy poważnie. Pragniemy tylko wyjaśnić, że fakt, iż „Ogłosy” dłuższą leżą w kiosku wynika przede wszystkim z tego, że nasz nakład przekroczył już prawie 40 tysięcy egzemplarzy przy zwrotach poniżej 3 procent. I idzie w górę. Będziemy starali się, aby pismo było w całości sprzedawane. Za uwagi dziękujemy.

COŚ MI SIĘ NIE ZGADZA...

Nasz względnie nasycony rynek (powtarzam: względnie, żeby nie było zbędnej polemiki) przeżywa jakieś czkawki. O dżiwie — nie czkawki z braku, lecz czkawki z nadmiaru. Przypuszczam. Jestem przy zdrowych zmysłach, co chyba udowodnię.

Wykluczam przecenę rozmaitych bubli z czasów euforii producentów, zapatrzonych w półki pełne octu (zresztą potem też zniknął) czy kapeluszy i innych utensyliów może przydatnych, lecz nie niezbędnych do życia. Euforii tych, którzy sądzili, że do roku dwutysięcznego Polak kupi i tak wszystko, co zobaczy w sklepie. Nawet owe rozkładające się buty z czasów kartkowych po cenie — no, nie wiem jak się mającej do kosztów produkcji.

Dość jesteśmy na wyższym etapie. Dławiemy się bowiem i ograniczamy produkcję z zupełnie innych przyczyn. Towary dobre i bez wad po prostu „nie idą”. Dlaczego? No, bo ceny są zupełnie dowolne i nie mają nic wspólnego z użytecznością towarów. Nie mówiąc o kosztach produkcji.

Przykład pierwszy. W „Głosie Robotniczym” z 10.02.1986 r. w mrozącym w żyłach kraw artykule czytamy: „Czy koniec łódzkiej persów?”. I dowiadujemy się, że „Dywilan” ograniczył produkcję tylko do wielkości eksportowych, gdyż rynek wewnętrzny jest nasycony. Dywilan leży w magazynach i się kurza. Zaraz potem czytamy, że koszt produkcji jednego metra kwadratowego dywanu najwyższej klasy wynosi około 3.125 zł, zysk — 300 zł, marża handlowa 1.125 zł. Razem, jeśli ująć liczyć — około 5 tys. złotych. Natomiast cena jednego metra w zbycie detalicznym — około 13 tys. złotych, bo różnica, to podatek od luksusu. Pamiętam naprawdę dawno, gdy podatkiem od luksusu obciążano również kwiaty, ale były to czasy niechlebne. Niby nie mnie nie powinno dziwić, ale...

Wstrzymajmy więc produkcję. Zastanawiamy się, jak nie robić uciechy mołom. „Dywilan” będzie miał zastawione magazyny,

zamrożone środki, obrotu nie będzie i podatku (ściągniętego) od luksusu też nie będzie. Sama radość dla fiskusa i strażników równowagi rynkowej...

Przykład drugi. Z radia dowiaduję się (wywiad na temat korzystania z kredytów na nowych zasadach), że ludzie odnoszą się do tego dobrodziejstwa nader ostrożnie. W domyśle — prawie nie korzystają. I zaraz potem prawdziwie zresztą stwierdzenia, że dobór towarów rynkowych raczej nieszczęśliwy. Jakiej wysokiej klasy meble, futra, srebrne wazy (?) itp. Przy tym — 40 proc. wpłaty gotówką, a reszta na dwa lata przy 12-procentowej stopie oprocentowania.

Nie mam wątpliwości, że jeśli ktoś chciałby korzystać z tego kredytu, to raczej na rzeczy pilnie potrzebne, na które nie ma natychmiast pieniędzy. W żadnym przypadku — jako lokata kapitału. Asortyment dostępny w tym trybie nadaje się jednak akurat dla tych, co z pieniędzmi nie mają co zrobić. Nie będę dalej tematu rozwijał, lecz zapytam: czyżby ktoś słabego umysłu sądził, że w ten sposób zlikwiduje nawis inflacyjny?

Przykład trzeci. Słuchałem dyskusji (również w radio) na temat dużej ilości zwrotów sprzętu zmechanizowanego, który wymieniany jest na skutek niemożności napraw z braku części zamiennych. Temat chyba stary jak świat. Nie wspomnę, że za czasów działania mechanizmów nakazowych i rozdzielnich, producent był zobowiązany do zapewnienia odpowiedniej ilości części zamiennych. Dziś mamy dowolność działania i to, co się opłaca. A opłaca się dawać na rynek drogi bubel, który po jakimś czasie przestaje działać niż dbać o drobniaki. Stąd też wieczne „nie przyjmujemy do naprawy żelazek, odkurzaczy, etc.”. Gdy jeszcze przyjrzymy się częstym zmianom konstrukcyjnym, nieraz pod pozorem ulepszeń, a w gruncie rzeczy uniemożliwiających naprawy w granicach kilku lat od daty produkcji...

Czytając, że u naszych sąsiadów z zachodu (NRD) podstawowe rozwiązania mechanizmów obowiązują kilka lub kilkanaście lat. Bez szkody dla tak zwanego postępu technicznego. Stąd u nich nie ma trudności w wymianie części i reperacjach.

My — idziemy naprzód. Zmieniamy co się tylko da i tak często, jak się tylko da. Dla chwały myśli technicznej, a może dla przychodu pomysłodawców? Dla strat gospodarki generalnie.

I dlatego coś mi się w tym wszystkim nie zgadza...

W. AFELT

NARADA

Wczoraj słyszałem w radio, w Porannych Sygnałach, że mają być niedużo kłopoty z bateriami „Centra”, nie ma wkładu dewizowego czy czegoś tam. Jaką kierowniczką z handlu długo i zawile trula, prawie nic nie zrozumiałem, ale wiem, że nie będzie!

Pan, który prowadził program to chytruski! Kapnął się, że mogą go posadzić o sianie paniki i od razu gadał, żeby nie kupować na zapas, bo jak się nawet dostanie dobrą baterię to i tak będzie jak parę tygodni nie poleży, a co dopiero do „Lata z radiem”. Niech gada, a ja wiem swoje. I zaraz poleciałem do stryjskiej Łulki. A on zarządził naradę rodzinną i „burzę mózgową”, czy jak to się nazywa. Takie wspólne kombinowanie, co robić dalej.

Trochę to trwało choć nieraz już musielismy tak radzić. Tacy uczeni faceci mówią „nierównowaga rynku”. Waga, nie waga, a nasza rodzina jakoś sobie daje radę. Ciotka Genka zaraz zdecydowała się zmienić robotę. Pójdzie za ekspedientkę w „Domarze”, bo we włóknie już nie taki interes. Zenek ma pogadać w czasie dyktura pod „Pewexem” jak z zaopatrzeniem w ten towar, no i z kumpami o kursie bonów. Dystyngowany kuzyn Euzebiusz (ten po wyższych studiach, co to jest jakąś szczyzną w handlu) wspominał o przepisach. Żeby niby tak zmienić, że radio będą sprzedawane razem z bateriami, bo gdzie je osobno kupić? No i — jak powiedział — „będzie to stanowiło wyjście naprzeciw dobrze pojętym interesom szerokiego rzesz konsumentów”. Ten to ma gadane, ja bym tak nie umiał! Ale zaraz potem dodał, że trzeba też będzie zmienić system reklamacji. Jak się bateria wyczerpie — klient zwraca radio jako niesprawne i dostaje drugie.

Ta głupia Krycha wrzasnęła, że szybko muszą się starać o następne dziecko, to jako młoda matka będzie miała lepsze dojścia. Ale ja jej Józek szybko obciął, że nie z nim takie numery. Pewno — bo ona wyskakuje z takim pomysłem już chyba szósty raz, a on się nie daje zламać. Twardy facet i choć go nie lubię, to za to szanuję. Bo jaką on by miał rodzinę tak za dziesięć lat?

Stryjenka Stacha nic się nie odzywała, tylko kiwała głową. Jak zawsze, bo ona na te „burze mózgów” przychodzi tylko posłuchać. Robi w miesie i ma zamiar aż do emerytury. To nie śmiesz-chichy i o zmianach nie ma co mówić.

Stryj Lutek też się nie odzywał, ale ja wiem, co on potrafi. Zalatwić i w ogóle. A zresztą ma mnie za pomagiera.

Zastanawiał mnie tylko Karol. Bacznie słuchał i przebieżał palcami na kalkulatorce. Pewnie liczył, ile zarobi na przece-nach tych niesprawnych odborników. Spryciarz! Robi w usługach już tyle lat i nawet nie musi zmieniać branży...

W każdym razie jestem spokojny, że i w tym roku poślucham sobie „Lata z radiem”.

WASZ MAŁOLAT

„PRZYSZLI KONTROLERZY I ZNALEZI...”

W związku z artykułem Redaktora Eugeniusza Iwanickiego pt. „Przyszli kontrolerzy i znalezi...” zamieszczonym w Waszym tygodniku nr 6 z dnia 8 lutego 1986 r. pragniemy poinformować o podjętych działaniach związanych z nieprawidłowościami stwierdzonymi przez Inspekcję Robotniczo-Chlopską na naszej robocie w Łódzkiej Fabryce Koronek „Fako”.

Po otrzymaniu w dniu 12.12.1985 r. informacji o wynikach kontroli, natychmiast na miejsce przybyli: kierownik Grupy Robót Instalacyjnych oraz specjalista ds. bhp. Brygada otrzymała polecenie natychmiastowej wymiany niesprawnego sprzętu spawalniczego. Kierownik roboty został ukarany karą pieniężną za niedostateczny nadzór nad pracą podległej mu brygady. Niezależnie od powyższego nadzór techniczny produkcji podstawowej otrzymał polecenie sprawdzenia i ewentualnej wymiany niesprawnego sprzętu spawalniczego na wszystkich robotach prowadzonych przez nasze zakłady, jak również przypomnienia pracownikom o ich obowiązkach w zakresie bezpieczeństwa i higieny pracy, a w szczególności o stosowaniu sprzętu ochronnego. Polecenia zostały wykonane.

Na marginesie tej sprawy pragniemy wyjaśnić, iż zgodnie z organizacją pracy w EZRM PL, jeden kierownik robót nadzoruje równocześnie kilka brygad pracujących w miejscach często dość odległych od siebie, (np. Łódź, Katowice). Nie może być w takim układzie codziennie na każdej robocie. Oprócz niego roboty pod względem bhp kontroluje zakładowa służba bhp oraz inne osoby przebywające służbowo na obiekcie.

Wszelkie zauważane nieprawidłowości są natychmiast usuwane a ponadto omawiane z pracownikami na naradach produkcyjnych lub szkoleniach.

Powyższe nie jest próbą usprawiedliwienia stanu zastanego na robocie, lecz wskazaniem jak do tego mogło dojść oraz jak takim przypadkom przeciwdziałamy.

inż. MARIAN FIKLEWICZ

Koncert w Buenos Aires

W „Teatro Coliseo” miał wystąpić Litto Nebbia. Muszę przyznać, że jego twórczość była mi obca. W radiu znacznie częściej słyszałem przeboje wykonawców z Europy i USA niż piosenki argentyńskich gwiazd. Również telewizyjne programy muzyczne, takie jak „Videoscopio”, czy „Musica Total” zdominowane były przez zagraniczne sławy. Coraz większą popularnością cieszył się zespół Tears For Fears, podobały się najnowsze płyty Stinga i grupy Dire Straits, podziwiano temperament Bruce’a Springsteena. Swoich zagranicznych ulubieńców mogli Argentyniacy obejrzeć nawet na ekranach kin. Wyświetlano bowiem min. „Desperately Seeking Susan” („Pilnie poszukuje się Suzanny”) z Madonną oraz kolejną część przygód Szalonego Maxa („Mad Maxe”), ze słynną Tiną Turner.

Do centrum jechałem ruchliwą aleją Santa Fe. Słońce niedawno zaszło, pozostawiając za sobą żar, który mieszał się ze spalinami i wiszącą w powietrzu wilgocią. Był piątek, a więc początek weekendu. Przez otwarte drzwi restauracji wdziałem kelnerów roznoszących smakowite potrawy. Niemal czuło się zapach tradycyjnego „asado”. Pod koniec tygodnia najwięcej Argentyniacy spędzają wolny czas poza domem. Trudniej jest wtedy o stolik w restauracji, większym powodzeniem cieszą się teatry, a bilet do kina kosztuje drożej niż w pierwszych dniach po niedzieli. Oglądałem po drodze oświetlone wystawy i kolorowe neony. Przechodnie spacerujący beztrząs po chodniku, zatrzymując się co rusz przed fotografami, wydawali się poruszać szybciej niż słoczone samochody, które w wolnym tempie posuwały się w kierunku dzielnicy rozrywki.

Przed teatrem i w jego przestronnym hallu zastałem sporą grupę młodych ludzi. Nie było wśród nich wielu nastolatków. Przeważali melomani po trzydziestce — publiczność, jakiej można by się spodziewać na koncercie Leonarda Cohena. Wciąż przybyli nowi, witani niezwykle wylewnie przez znajomych, z którymi — jak wywnioskowałem — dawno się nie widzieli. Wszyscy prowadzili ożywione rozmowy nie zwracając specjalnej uwagi na fakt, że minęła dziesiąta, a więc koncert opóźniał się już przeszło pół godziny. Spora sensację wywołała dziewczyna, która zjawiała się w teatrze w stroju niemal plażowym, jakby wyjęta z plakatu reklamującego uroki wakacji na Hawajach. Ale może to właśnie ona wybrała najlepszy ubiór na ten upalny wieczór...

Wreszcie otworzyły się drzwi prowadzące na widownię i zgromadzony w hallu tłum zaczął wlewać się do środka. Scena nie była udekorowana. Po prostu rozstawiono instrumenty, a dokładniej elektroniczny sprzęt, na który składały się min. pianino Yamaha CP70, syntezator Korg i urządzenia imitujące brzmienie perkusji — tworzące jeden zestaw, ustawiony po lewej stronie estrady oraz pianino Fender Rhodes, syntezatory minimoog, Roland i Korg Poly 61 — zgrupowane po stronie prawej. Poczułem się lekko zawiedziony. Chciałem usłyszeć latynoamerykańską gwiazdę, której twórczość — tak przynajmniej mi się wydawało — powinna charakteryzować się lekkością i melodyjnością, a tu miałem przed sobą kilka skomputeryzowanych skrzynek grających, jakich nie powstydziłby się przedstawiciel europejskiego elektronicznego rocka. Tylko egzotyczne instrumenty perkusyjne i oparta o krzesło akustyczna gitara dawały nadzieję na to, że wieczór mimo wszystko nie będzie stracony.

Zająłem swoje miejsce i stworzyłem wydrukowany z okazji koncertu program. „...analizem się na etapie, gdy nie obchodzi mnie, co ktoś mógłby powiedzieć o mojej twórczości” — czytałem słowa muzyka. „Nie dążę wyłącznie do tego, aby moja nowa płyta była lepsza od albumu innego... jeszcze mniej zależy mi na znalezieniu się w awangardzie jakiegokolwiek ruchu. Pragnę, aby muzyka docierała w sposób prosty i bezpośredni...” Nie „nogiem” jakoś pogodzę tej wypowiedzi z zestawem instrumentów, jaki widziałem na estradzie. Postanowiłem jednak nie wyciągać pochopnych wniosków i czekałem na rozpoczęcie koncertu.

Zapalono jupitery i na estradzie pojawił się Litto Nebbia, zajmując miejsce przy pianinie i syntezatorach. Za nim weszli muzycy towarzyszący — pianista Manolo Yanes, perkusista Cacho Tejera i grający na saksofonie Oscar Feldman. Przy burzliwych oklaskach rozpoczął się wspaniały koncert, zawdłużający niepowartną atmosferę zarówno prezentowanemu utworowi, jak i żywo reagującej na każdą nutę, każdy fragment tekstu, publiczności.

I nie był to jednak elektroniczny rock. Już pierwsze takt otwierającego występ utworu świadczyły o tym, że muzyka nie będzie miała nic wspólnego z twórczością grupy Tangerine Dream. Okazało się, iż z grających szaf można wydobyć jak najbardziej naturalne dźwięki. Posłuszne urządzenia przekształcały impulsy elektryczne w nastrojowe brzmienie skrzypiec, to znów odywały się doskonale zgrana sekcja instrumentów dętych. Nad całością panował Litto Nebbia, którego ciepły głos wydawał się płynąć na fali gorących rytmów, wyzaczarowywanych przez muzyka z nowoczesnych syntezatorów.

Prezentowane utwory pochodziły w większości z płyty „Litto Nebbia w Brazylii...”, nagranej w latach 1983—1985 w studiach wytwórni RCA w Buenos Aires i Rio de Janeiro. Kompozycje „Bastidores” („Ramy”) oraz „Serenito como aquellas mananitas” („Czysty jak tamte poranki”) zdobyły już sporą popularność wśród argentyńskich melomanów. Najbardziej entuzjastycznie publiczność witała jednak starsze piosenki, pochodzące z bogatego dorobku twórczego artysty.

Litto Nebbia nie stara się nadążyć za modą. Jest wierny swoim stałym słuchaczom, którzy pilnie śledzą rozwój jego artystycznej kariery. Wykonuje w większości własne kompozycje, oparte na elementach muzyki latynoamerykańskiej, jednocześnie przystosowane do wymagań współczesnego pop. Dużą rolę w jego piosenkach odgrywają teksty refleksyjne, pełne uczucia i wewnętrznej zadumy. Nie stroni przy tym od obcych kompozycji, które często włącza do swojego repertuaru. Słuchając poszczególnych utworów podziwiałem wyczucie, z jakim Nebbia potrafi budować odpowiedni nastrój; wie kiedy zwiększyć napięcie, aby je potem rozładować łagodnym refrenem.

W trakcie koncertu Nebbia rozmawiał z publicznością, zapowiadał piosenki. Interesująco wypadły zwłaszcza te, które śpiewał, akompaniując sobie na gitarze akustycznej. Gdy w pewnym momencie muzyk zapalił papierosa ktoś z sali krzyknął: „On jest szalony. Puść teatr z dymem!” Słuchacze wybuchnęli śmiechem, a rozbawiony Nebbia odgasił szybko papierosa. Atmosfera panowała więc niemal rodzinna. Huraganami braw witano kolejne taktury urzekającej muzyki, a gdy artysta wykonywał najpopularniejsze tematy cała sala śpiewała razem z nim.

Gościem wieczoru był Mauricio Einhorn. Ten znakomity muzyk z Brazylii od pewnego czasu współpracuje z piosenkarzem (wzrost min. udział w nagrywaniu płyty „Litto Nebbia w Brazylii”) i Jego wspaniała gra na harmonijce ustnej wzbogacała prezentowane utwory, stanowiąc jedną z wielu atrakcji niezapomnianego koncertu.

GRZEGORZ WALENDA

ze str. 1

skórzy imigranci. Ich mieszkaniem jest o połowę mniejsze, a zlew w korytarzu. Zlew — przepiękny odlew jak do filmu o starym Paryżu. Ale do brzo jest po przedstawieniu może się gdzieś wykąpać.

Zaparowałam lazienkę. Otwieram okno... no, nie!... tego nie było w kontrakcie... jest z widokiem na wieżę Eiffel!

Kiedy już nie będę miała siły na zwiedzanie — będę sobie otwierała okno w łazience. I pomyśleć, że Paul Verlain wolał nadłożyć drogi, by tego „czegoś” nie musieć oglądać! Zamknęłam swoje drzwi pod dwudziestym. Zbiegam po krętych drewnianych schodach wyścielonych bordowym chodnikiem, który konserżka właśnie czyści elektroluksem: — bonjour madame... — bonjour... — odpowiadam dziś już po raz drugi. Pierwszy życzył mi dobrego dnia sąsiad na balkonie. Wyniósł na dzień donicę z kwiatem.

widać do 80 km w dal. Nie wjadę. Za drogę. Ani też nie wejdę. Mało, że 7 franków, to straciłabym kondycję — zobaczę 80 km w dal — nie zobaczę tego, co wreszcie mam pod nogami.

A pod nogami mam właśnie papierowego ptaka, który mi pod nie wpadł: — może go kupię?

Piekni, długonodzy, wysocy jak fasolowe tyki, czarni młodzieńcy mają dionie pełne takich ptaków. Po nakręceniu sprężynki podrzuca się je w górę. Ptaszki podnoszą się w powietrze, lata — no i lup — spada, jak to pod moje nogi. Nie wiem, po co to komu. Ale taka jest pamiętka z Paryża anno domini 85. Żyć za coś trzeba. Nie kupiłam.

Przy północnej wsporze wieży — popiersie pnia Eiffela, Gustawa Aleksandra. Nie zatrzymuje się tu prawie nikt. Wszyscy chodzą z zadartymi głowami. Może dlatego wymyślił te ptaki?

Przez most przechodzę na prawy brzeg Sekwany, ku dwu-

ostatniego motoryzacyjnego rzutu — i rozłożył się ze sprzętem na bruku — na którym kiedyś struchlały tłum przyglądał się jak odpadają od ciała głowy. Przez moment historia przebiegała mi nerwowym skurczem po karku. Obelisk stoi do dzisiaj.

W MIEJSCU GŁOŚNY.

Maria Antonina, Ludwik XVI, Charlotta Corday, ta co zabiła Marata, Danton, bracia Robespierre i że tak powiem: inni... Ogółem 1119 osób w okresie trzech lat, od 1792 do 1795. Większość prac wykonał kat Sanson.

Teraz można tu zdechnąć od spalin.

Pomiędzy dwoma identycznymi pałacami, w głębi rue Royal — widać już zarys kościoła św. Magdaleny. To w Poznaniu — zdecydował wielki wódz o

niech tam, brylanty podobno postarzają, a szczyt mody to i tak „latos” — plastikowa biżuteria i raczej jablonexowa, a to nie na tej ulicy...

Tutaj poza tym jeszcze jest kilka filii panów Rockefellerów i consortes i sławne biura podróży proponujące egzotyczne wycieczki. Sam plac Vendôme — nie jest już taką bezbrzeżną przestrzenią pełną aut, ale zamkniętym prostokątem do objeżdżania po obu stronach kolumny o tym samym imieniu, zwanej też Austerlitz, jej brązowe okładziny są odlane ze zdobycznych rosyjskich i austriackich armat — i przedstawiają zwycięstwa Francuzów w latach 1805—07, między innymi wkroczenie do Warszawy.

Na szczycie kolumny działa się różnie. Najpierw był posąg Napoleona w stroju imperatora Rzymu. Potem rojalści zastąpili go ogromną lilią. Potem Ludwik Filip umieścił znowu cesarza, ale w palacie radinot. Wreszcie przyszła Komuna i obalila wszystko, razem z kolumną. A po Komunie — Courbet, zresztą poeta, który postawił był wniosek o to obalenie wszystkiego — został skazany na odbudowę wszystkiego i to na koszt własny. Mój Boże! Coż to były za wspaniałe obyczaje! No, i proszę cesarza znowu w gustownym rzymskim wdzianku.

A pod kolumną — właśnie przymarka do wiosny '86. Wiatr historii zastąpił dwa wentylatory ustawiające na sztorc włosy modelki. Biel i czerń. Króćce. Nieco ciśnień. Prawie wszystko ma „sznyt” męskiej koszuli... przyjmie się, czy się nie przyjmie? Na ogół przyjmuje się, i to już na drugi dzień. Najpierw na tych paniach, które zajeżdżają tutaj rolls-royami pod onże właśnie Hotel Ritz! A potem rozchodzi się dalej i dalej, modele trzuczone jak kamień w wodę wiecznej kobiecości rozchodzą się kłębami — zataczają, zataczają, aż dotrą — może nie na tę wiosnę, ale na którejś jej mglenie, zależy jak daleko — do tego kamienia...

No, i przypomniało mi się, że mam pewne zobowiązanie. Wracam do Opery i wiadom w metro. Jadę do XIX dzielnicy. Najbardziej wschodniej. Jednej z najbliższych. Tęgo Paryża, Paryża na czołwie — raczej się nie zwiedza. Jest tu jednak uliczka ze znakiem szczególnym, z szyldem: Hotel Polonais.

TU MÓWI SIĘ PO POLSKU

tak jakby to w ogóle nie było w Paryżu. W całym, cichym barku bez wyszukanego wystroju oparci o bufet popijają ci, co się tu już urządzili z tymi, co latają swój los i tacy, którzy kursują i po świecie, i po własnym życiorysie.

Przejeżdżam wzrokiem po twarzach nad jedynym stolikiem: jak na Górnej, jak na Bałutach — tylko piją co innego. Jedni już tak od lat i przyzwyczaili się do smaku tego, po czym w kraju zapytali by zapewne — czy nie ma czegoś do picia. Drudzy składają dopiero sylaby, by zadając szyku zamówić to coś po francusku. Jedni już jakoś na własnym, inni ciągle od fuchy do fuchy. Najczęściej jedni i drudzy robią to w tapetowaniu.

— Jak wszędzie — mówi barman.

Jak wszędzie na świecie, jedni się urządzili i wyprowadzili ze strychów, ale ci tu najwierniejsi siedzą tak już od lat, a dzieci już ze szkół im powychodziły, a oni ciągle do tego zlew w korytarzu...

Barman ma 23 lata. Od pięciu lat zwija się za kontuar. Chociaż nie, kontuar tutaj to już jego awans, pierwsze lata terminował w arabskich knajpkach. Nie pije. Nie pali. Nie rozkłada się na blacie na pogawędkę. Nalewa, płucze, wyciera. Czasem: nie wyciera... Zbiega do piwnicy po nowe butelki. Im szybciej, tym więcej. Mówi, że: tych tam — to o stoliku — nie rozumie. On — już tu zostanie, bo się przyzwyczail. No, i ma tę swoją Iwonne... Kupił właśnie mieszkanie, daleko za miastem.

— Ale wie pani — cieszy się — jest nawet ogródek. Trzeba tylko to wszystko urządzić. A ceny... Nalewa, płucze, podaje...

TAMARA ROSZAK

Pod dachami Paryża (Korespondencja z Francji)

W hallu, na dole, wielkie kryształowe lustro, jak z Desy, ma ze sto lat i ani nawet ryski. Drzwi wejściowe zatrzaśnięte automatycznie wydają miękkie trrrr za moimi plecami: — pójde pieszko — myślenie sobie, przecież to dwa kroki stąd.

W Paryżu jest jak w górach. Wszystko jest dwa kroki stąd. Jest.

JAK NA DŁONI.

A po drodze dłoń robi się bezmierna. Aleje, rzeka, place, ogrody, trawniki, skrzyżowania, przejścia podziemne — wszystko to trzeba przerobić własnymi stopami. Samo przewiedrowanie przez jezdnię na dużym skrzyżowaniu to — 100 metrów, a jeżeli trzeba pod kątem to już są dwie setki, a właściwie miejsce ciągle to samo. Ale właśnie dlatego, że w tak wielu miejscach nie ma właściwie — nie, nie co by przesłaniało — czyni to co jest tak widocznym, złudnie bliskim.

Podchodziłam do wieży od strony Sekwany. 15000 stalowych elementów połączonych 2,5 milionami nitów — razem 7 tysięcy ton stali. Ludzie stoją w bardzo długiej kolejce do kolejki, żeby wjechać. Dwa pierwsze poziomy to bary i restauracje, trzeci — to punkt widokowy. Podobno stamtąd

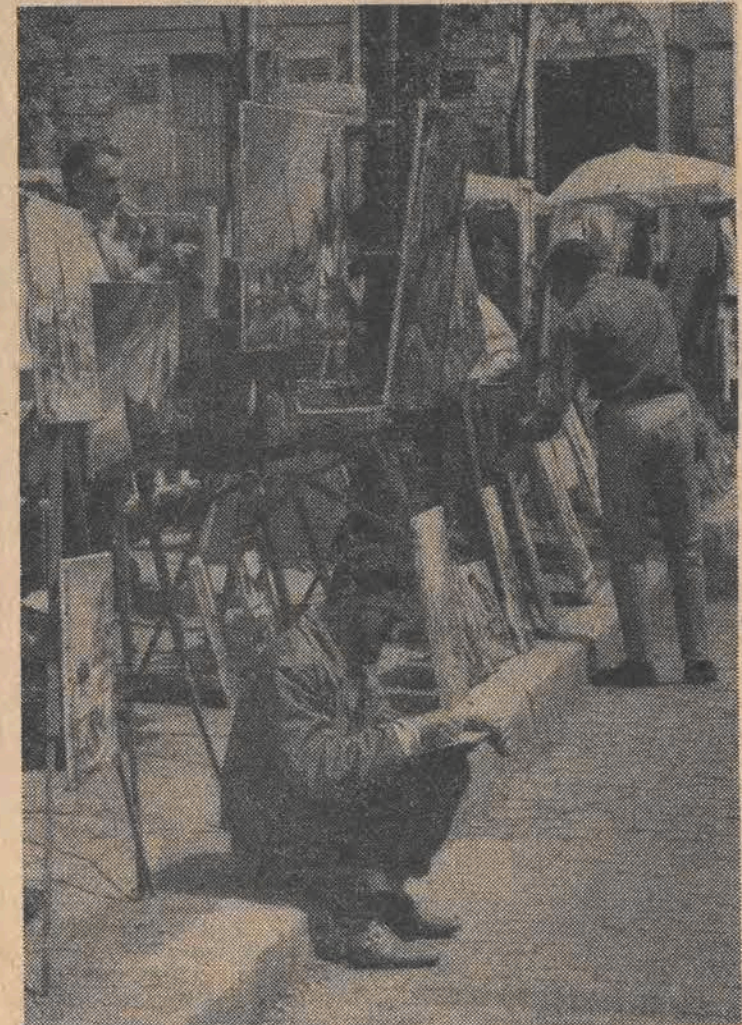
skrzydłowemu pałacowi Chaillot. To są ogrody Trocadéro. Koncert na kilkadziesiąt zaprogramowanych fontann. Przepiękne miejsce. Przepiękne miasto. Przepiękne. Czy na długo jeszcze wystarczyć tej urody?

Ku placowi Concorde idę ulicą, wzdłuż Sekwany, chociaż odrobina świeżości od wody. Rozgrzane duszne spaliny aż unoszą żołądek, mdli, drapie w gardle, szczypte powieki. Sześć sznurów aut w obydwe strony. Może już lepiej było wybrać jakieś boczne ulice, ale chciałam wejść na plac od strony mostu Zgody, co to jest z kamieni ze zburzonej Bastylli.

Rozgrzane duszne spaliny aż unoszą żołądek, mdli, drapie w gardle, szczypte powieki. Sześć sznurów aut w obydwe strony. Może już lepiej było wybrać jakieś boczne ulice, ale chciałam wejść na plac od strony mostu Zgody, co to jest z kamieni ze zburzonej Bastylli.

I znowu to samo oczarowanie: przestrzeń i harmonia zabudowy. Plac zaprojektował architekt Gabriel 230 lat temu specjalnie po to, by tu ustawić posąg Ludwika XV. Potem za Ludwika Filipa wybudowano dwie fontanny i umieszczono tu ten autentyczny starożytny obelisk faraona Ramzesa. To naprawdę jest XIII wiek przed naszą erą. Obelisk jest monolitem. Waży 230 ton i jest darem Kedywa Mahameda Alego. To się nazywa robić prezent. A jak tu, w to miejsce trafił jest wypseudohieroglifowane na jego cokole.

A teraz coś się tam rozleciało u jego stóp, jakieś miejscowe syrence, czy czemuś podobnemu, w każdym razie na totyte model 85 nie wyglądał. Zyciwy koleś ustawił obok swojego, też nie z



A pan prefekt miał rękę silną i bezwzględna. Obsadził się inżynierami. Położył na stole plan miasta. Narysowali dziesięć Paryż. I po dwudziestu latach go mieli. Encyklopedie podają, że zniszczonych zostało wówczas 27 000 budynków. Nikt nie wie dokładnie ile w tym było arcydzieł, przestarych kościołów i ile na drodze stojącego architektonicznego piękna. Ale Hausmann był konsekwentny i jego walec wyrównał grunt pod te zachwycające dziś bulwary, place, gwiazdy i właśnie widoki odsłonięte i perspektywy zamknięte i na to wszystko, co nas dziś zadziwia. Przewietrzył Paryż — dając mu zielenie ogrodów i przestrzeń do komunikacji. Ma za to bulwar swego imienia — już znowu za wąski i tylko patrzeć jak...

Na razie są tu sklepy, sklepy i magazyny.

Całe pieniądze Banku Pekao SA (Piotrkowska 211) na godzinę zakupów — no, może na dwie, żeby zaznać nieco rozkośzy obsługi...

Nie wiadomo kiedy dostarczą tu towar. Nigdy nie robią, przepraszamy: kontrolnych spisów towarów. Musieliby być bardzo chorzy, żeby sobie urządzić wolną sobotę, a chorować — zupełnie się nie kalkuluje. Główna dewiza: puścić klienta z torbami... naładowanymi towarami.

— Ale wie pani — cieszy się — jest nawet ogródek. Trzeba tylko to wszystko urządzić. A ceny... Nalewa, płucze, podaje...

— Ale wie pani — cieszy się — jest nawet ogródek. Trzeba tylko to wszystko urządzić. A ceny... Nalewa, płucze, podaje...

— Ale wie pani — cieszy się — jest nawet ogródek. Trzeba tylko to wszystko urządzić. A ceny... Nalewa, płucze, podaje...

OD OPERY W PRAWO

— wiedzie rue de la Paix i plac Vendôme. Też bogato. Ale głównie jubilersko. Tu brylanty można by szufelką...

Starsi radiosluchacze pamiętają Ciebie doskonale z anteny radiowej; młodzi natomiast o Tobie niewiele wiedzą...

— To prawda. Od kilku lat nie współpracuję już z radiem, na co patrzę w sumie dość spokojnie. Miałem po prostu w życiu taki okres, gdy w radiu pracowałem; teraz przyszedł taki okres, gdy nie pracuję — i tyle. Może to i lepiej, bo gdybym tam pracował, nigdy nie wyruszyłbym chyba na koncertowe trasy. Życie sprawiło, że człowiek się rozwija...

— Śpiewasz i tłumaczysz głównie Leonarda Cohena. Dlaczego?

— Uważam, że powstało w kraju rzeczywiste zapotrzebowanie na ten rodzaj muzyki; staram się więc na to zapotrzebowanie odpowiedzieć. Ten program, który widziałeś („Alleluja” — przyp. autora) jest trzecim z kolei poświęconym głównie Cohenowi. Podobnie jak

pijącą z oddali muzykę. To wszystko trzeba w sobie poczuć i starać się przelać na papier. Jest to bardzo trudne, jednak w miarę pracy nad tekstami jednego poety przychodzi mi to coraz łatwiej.

— Miałeś przyjemność poznać Cohena osobiście?

— Niezwykle dużo dało mi spotkanie z nim. Rozwiał mi ono wiele niejasności, wiele rzeczy musiałem zweryfikować — nawet sposób interpretacji. Widzieć go z bliska, móc z nim rozmawiać, to jednak nie to samo co oglądać go w telewizji...

— Czy Cohen wiedział, że tłumaczysz jego teksty?

— Tak. Przyjeżdżając do Polski wiedział, że wraz z Maciejem Karpińskim tłumaczymy jego poezję. Ba, znał nawet nasze kasety z nagraniami! Jest dla mnie zagadką, w jaki sposób wszedł w ich posiadanie. W każdym bądź razie nagrania znał i zaakceptował! Dziesięć

śpiewanej, lecz piosenki poetyckiej. Każdy z wykonawców będzie — żeby zachować charakter imprezy — śpiewał jeden utwór Cohena, a poza tym ma zaproponować inne rzeczy, będące w tym samym duchu. Może to być jego własna propozycja lub coś innego, ale nie utwory poetyckie, do których napisano muzykę. Chcemy dać szansę śpiewającym poetom, a nie ludziom, którzy chcą śpiewać poezję. Rozumiesz różnicę?

— Oczywiście.

— Wydaje mi się także, że festiwal ten mógłby pomóc naszej muzyce rockowej, której bardzo słabą stroną jest tekst. Obserwujemy obecnie kryzys muzyki tzw. młodzieżowej. Rynek się kurczy, ludzie nie chcą na to chodzić. Dlaczego? Bo jest potworna „miakkość” myślowa tego, co zespoły proponują. Na naszym rynku muzycznym brakuje kogoś takiego jak np. Garry Brucker, kogoś śpiewającego poetyckiego rocka. U nas

W radiu pracowałem od roku 1985 do 1982. Zaczynałem od audycji o charakterze prezenterskim; mówiłem różne bzdury i puszczałem muzykę. Stopniowo zacząłem rozszerzać swą działalność. W radiu robiłem wszystko: od montowania audycji do spikerowania. Nawet miałem taki okres — który bardzo ciepło wspominam — gdy o piątej rano budziłem Polskę ze snu.

— Co sędzisz o obecnym sposobie prezentowania muzyki?

— Wytworzyła się sytuacja, w której ludzie — łagodnie mówiąc — o nie najlepszym guście, mają głos decydujący. Są to prezenterzy preferujący to, co w obecnej muzyce nie jest najbardziej wartościowe. Wyjątki oczywiście potwierdzają regułę.

— Czy zamierzasz nagrać utwory Cohena na płytę?

— Oczywiście. W 1983 r. nagrałem z Porterem album, który był już w sprzedaży w formie kaset. Płyta natomiast powinna ukazać się na rynku już dzisiaj. Jest to raczej skromny album: nagrywaliśmy go w technice live, było mało pianinistów i chodziło nam raczej o rejestrację. W czerwcu 1985 roku nagrałem płytę, której — jak myślę — nie będę się chyba musiał wstydzić. Płyta ta będzie nosiła tytuł „Alleluja” i mam cichą nadzieję, że przed jej ujrzeniem światła dzienne, niż jej poprzedniczka. Mam propozycje nagrania płyty autorskiej, a ponieważ jest w czym wybierać, chciałbym nagrać płytę retrospektywną. Ale to na razie przyszłość.

— Jak przyjmują Cię publiczność?

— Poza nielicznymi wypadkami przy pracy — raczej ciepło i serdecznie. I to nie tylko w wielkich ośrodkach jak Warszawa, Łódź czy Kraków, ale także w małych: Krośnie, Tarnobrzegu, Sieradzu czy Tomaszowie.

— Na trasach koncertowych masz zapewne mnóstwo przygód?

— Najbardziej interesujące są spotkania z ludźmi; to są te przygody. Jedną z przyczyn, dla której jeżdżę, są właśnie owe spotkania. Nie pamiętam imion, nazwisk — są ich tysiące, ale coś zawsze się dzieje. Są to spotkania niezmiennie inspirujące, pogłębiające, są jak narkotyki. W zasadzie nie muszę jeździć ze względów finansowych, jednak po dziesięciu dniach pobytu w domu, coś mnie ciągnie; muszę wziąć gitarę i pojechać.

— Czy twoja twarz jest dla ludzi rozpoznawalna, tak samo jak twój głos?

— O tak, ma to jednak swoje dobre i złe strony.

— Dobrze są dla mnie jasne. Ale złe?

— Czasem ma się ochotę na odrobinę prywatności. Nie jest przyjemnie, gdy np. przychodzę do hotelu i chce ktoś kolację, a ktoś musi się ze mną napić: „Panie Maciu, Pan się ze mną napije...”. Ja wszystko słyszałem. Panie Kofta, Pan jest wspaniały...”

— ???

— Parę razy już pomyliło mnie z Jonaszem. Nawet nie wiem dlaczego.

— Czego najbardziej nie lubisz?

— Gdy ktoś stawia mnie przed faktem dokonanym, gdy nie pozostawia mi możliwości wyboru. Tego nigdy nie wybaczam.

— A dla odmiany, co najbardziej lubisz?

— Ryzyko. Lubię także grać wysoko. Nade wszystko lubię jednak ten dreszczyk emocji, gdy życie znajduje się w niebezpieczeństwie. Myślę, że dzięki takim sytuacjom człowiek wolniej się starzeje.

— Kiedy zobaczymy Cię znów w Łodzi?

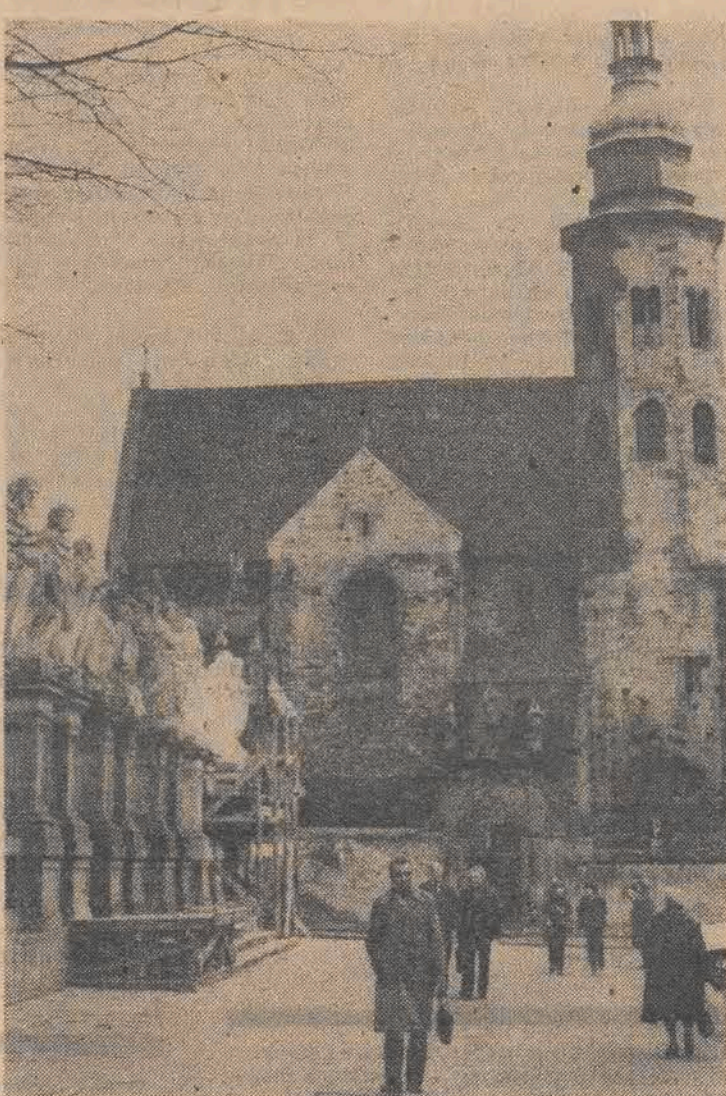
— Telewizja łódzka wyraziła ostrożne życzenie nagrania programu o Cohenie. W programie tym chciałbym wykorzystać materiał dźwiękowy z ostatniej płyty. Zobaczymy co z tego wyjdzie. Nawiasem mówiąc, jeśli nie w Łodzi — to nagram taki program w Krakowie. Pora tym Estradzie Łódzkiej chce wytworzyć mój obecny program, więc zobaczymy się prawdopodobnie w maju.

— A więc do zobaczenia! Dziękuję za rozmowę!

Rozmawiał:
WITOLD WERNER

Kraków

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI



„Najbardziej interesujące są spotkania z ludźmi”

W ostatnich dniach stycznia 1986 r. gościł w Łodzi ze swoim programem MACIEJ ZEMBATY. Po jednym z takich koncertów udało mi się poprosić go o rozmowę. Oto jej zapis:

i poprzednie, cieszy się ogromnym powodzeniem, nawet w tak trudnym mieście jak Łódź.

— ???

— Oceniam miasta jako przyjezdny i wiem, w których gra się lepiej, a w których gorzej. Łódź jest jednym z trudniejszych miast w Polsce — jest to opinia różnych moich znajomych — ja natomiast na Łódź nigdy nie narzekałem.

— Powiedziałeś, że powstało zapotrzebowanie na poezję Cohena. Jesteś przecież jednym z tych, którzy to zapotrzebowanie kształtowali...

— W pewnym mierze tak. Robiłem to konsekwentnie od roku 1976, kiedy to przetłumaczyłem jedną z jego ballad — była to „Zuzanna” i nagrałem ją dla „Zgryzu”. Później Cohen zawsze gościł w moim repertuarze, choć nie przeważał. Nawet gdy śpiewałem z „Mananmem” — jeszcze w starym składzie — śpiewałem go w wersji rockowej. Nie było to jednak najszerzej rozpowszechnione: przeważała bowiem muzyka, a nie słowa. Jesienią 1982 r. postanowiłem zaśpiewać Cohena akompaniując sobie na gitarze. Okazało się, że to czas sprawił iż nareszcie poezja zaczęła trafiać do ludzkich serc.

— Może dwa słowa o samym Cohenie...

— Cohen jest poetą tragicznym. Gdy w latach siedemdziesiątych puszczałem go w radiu, nie był chyba wtedy dobrze rozumiany. Przyjeżdżał po prostu tak jak jest, przyjmowany na całym świecie. Bo Cohen jest za duży na małą klubową salkę, za mały jednak na wielką halę. U nas — przynajmniej w chwili obecnej — jest zupełnie inaczej: nie ma w kraju takiej sali, której by nie wypełnił!

— Jesteś bardziej tłumaczem czy poetą?

— Sprawa nie jest taka jednoznaczna. Dokładne tłumaczenie tekstów jest niemożliwe, miało być również i celem. Takie tłumaczenie może mieć jedynie wartość po dla historyków literatury, jednak do czytania — nie mówiąc już o śpiewaniu — jest bez wartości. Każdy wiersz, który tłumaczę, muszę napisać jakby od nowa. Bo przecież trzeba nie tylko poznać treść utworu, ale i intencje autora — ba, nawet w pewnych momentach utożsamiać się z nim. Należy także poszukiwać w swoim życiu takich sytuacji, w jakich znalazł się autor w chwili pisania danego utworu. Tłumaczę słynny „Niebieski prochowiec” szukałem w swoim życiu podobnych wydarzeń podobnego Betu podobnych przyjaźni. Trzeba było wyobrazić sobie nastrój zimowego wieczoru

lat pracy nad jego poezją znalazło potwierdzenie! To bardzo fajnie, gdy los doprowadzi do takiego spotkania — ważniejszego, co prawda, dla mnie, niż dla niego. Cohen jednak w pełni docenił to, co do tej pory robiłem.

— Co robisz jeszcze, prócz tłumaczenia poezji?

— Piszę sporo scenariuszy filmowych, które — mam nadzieję — zostaną niebawem wykorzystane.

— Czy będą to filmy muzyczne?

— Tylko jeden z nich — i to z początków mojej „karier” scenarzysty — będzie filmem muzycznym. Mam pewne doświadczenia muzyczne, które chciałbym przekazać innym. Znam dość dobrze to środowisko i nie muszę tworzyć fikcji. Mam w pamięci mnóstwo scen i sytuacji i na ich podstawie napisałem ten scenariusz.

— W twoich tekstach jest dużo treści filozoficznych, dalekiego wschodu...

— Od dawna interesuję się kulturą wschodu, byłem tam nawet. Ale przecież nie ja jeden jestem nią zafascynowany. W tej chwili w kraju działa coraz więcej stowarzyszeń religijnych, opartych na wierzeniach wschodu. Z niektórymi z nich utrzymuję nawet stały kontakt. Jest to niewątpliwie częścią ogólnowiatowych tendencji, u nas jest to chyba jakby głębsze.

— Jak oceniasz sytuację polskiej poezji śpiewanej?

— Złe. Jeden jedyny raz byłem na przeglądzie w Olsztynie i nie wybierałem się tam nigdy więcej. Przyjrzałem się środowisku, przyjrzałem się temu, co robiła inni i nie odpowiadało mi to zupełnie. Generalnie rzecz biorąc, uważam, że nie powinno się śpiewać poezji; poezja nie jest bowiem do śpiewania. Poezja śpiewana jest czymś zupełnie odmiennym od piosenki poetyckiej. U nas nie ma niestety śpiewających poetów — poza nielicznymi wyjątkami oczywiście. Do takich wyjątków zaliczyłbym Ewę Demarczyk. Wielką szansę na zmianę istniejącego stanu rzeczy upatruję w krakowskim Festiwalu Piosenki Leonarda Cohena. Odbędzie się już nawet trzecia edycja tego festiwalu. Jest on okazją do spotkania się określonych ludzi, którzy zjednoczeni są w swoim zafascynowaniu poezją Cohena. Wytworzyła się jednak niezdrowa rywalizacja w „ścigananiu” się w Cohenie, niemniej jednak w 1986 roku rola Cohena będzie bardziej inspirująca, gdyż festiwal otrzyma nazwę Festiwalu Piosenki Leonarda Cohena i Piosenki Poetyckiej. Nie poezji

takim wspaniałym człowiekiem jest John Porter, ale on niestety śpiewa po angielsku. Jest to jednak typ człowieka, który jest jednocześnie i kompozytorem, i poetą, a przy tym muzykiem — grającym doskonale na gitarze. Dopóki nie zobaczę człowieka, który będzie polskim poetą rocka — nie będę mógł powiedzieć, że jest dobrze. Co prawda Kora czasami jest bardzo blisko tego o co chodzi, ale — jak sądzę — potrzeba tu raczej mężczyzny.

— Czy muzyka — to twoja tradycja rodzinna?

— Nie, skądże! Tak się złożyło, że kiedyś w dzieciństwie wstawiono mi do pokoju pianino, które moi rodzice wzięli na przechowanie od kogoś, kto nie miał na razie gdzie go postawić. Zaczęłem najpierw na nim brzdąkać, później wzięłem kilka lekcji. Potrafię jeszcze nawet zagrać to i owo. Za gitarę wzięłem się jednak stosunkowo późno, bo coś na niej osiągnąć, bo dopiero w 1977 roku wzięło się to stąd, że postanowiłem się ucieleścić od zespołów akompaniujących mi w utworach Cohena.

— Jak doszło do tego, że zacząłeś pracować w radiu?

— Ucząc się gry na pianinie, jednocześnie kształciłem się w Liceum Sztuk Plastycznych. Uczestniczyłem równocześnie w konkursach recytatorskich, w których zaszedłem nawet dość wysoko. Po maturze zdałem do Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie, do której miałem przyjemność uczęszczać tylko rok. Dziś — z reka na sercu — mogę powiedzieć, że wdzięczny jestem tym, którzy mnie wtedy ze szkoły usunęli. Później zdałem na polonistykę i ten kierunek ukończyłem. Zawsze jednak zżerał mnie bakcył sceny dlatego też na uniwersytecie poczułem się jakby od niej odsunięty. Zrobiłem więc kabaret. Ponieważ byłem kłopoty z tekstami więc zacząłem je pisać sam. Komponowałem, również muzykę. Były to złote lata kultury studenckiej, kabaret więc miał możliwość „pójścia „ostre” do przodu. W tym czasie organizowane były również tzw. studenckie piosenki miesiaca. Przyjechałem tu do Łodzi — i wygrałem. Wygrałem również festiwal imprezy piosenki „Uwielbiam kwiat”. Z tego co wiem, piosenka ta pokutuje jeszcze gdzieś niedługo. Potem był Kraków, gdzie zająłem trzecie miejsce. W tamtych czasach było tak, że laureaci tego festiwalu automatycznie jechali do Opola. W Opolu zaśpiewałem — pamiętam — z zespołem „Tajfuny” i „Alibabkami” piosenkę „A uszy miał ogromne muskularne”. Po występie podszedł do mnie Andrzej Korman i zaproponował mi współpracę.

W Łodzi znajduje się sporo zakładów przemysłowych i produkcyjnych, które używają papieru. Na przykład: Prasowe Zakłady Graficzne, Łódzka Drukarnia Dzielowa, Spółdzielnia Pracy Galanterii Papierowej „Introplast”, Zakłady Graficzne Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych itp. Do produkcji gazet, czasopism, książek, kalendarzy, notesów używany jest papier jako surowiec podstawowy. Dochodzi do tego jeszcze karton. Otóż w czasie drukowania gazet lub książek powstają pewne ilości odpadów, które są do niczego nieprzydatne, i które usuwa się z pomieszczeń produkcyjnych. Te właśnie odpady, wydawałoby się zupełnie bezwartościowe stały się przedmiotem przestępstwa.

Ścinki papieru, kawałki kartonu, a z czasem i całe książki oraz czasopisma, zaprowadziły paru przedsiębiorczych dżentelmenów na lawę oskarżonych, zaś spora grupa innych czeka na swoją kolej.

Wspomniane, bezwartościowe z punktu widzenia drukarni, kawałki papieru są formowane w bele, okracane drutem i wysyłane do składnicy zajmującej się skupem makulatury. Waga jednej takiej beli waha się od 80 kg do 180. Belarze, czyli ludzie zajmujący się prasowaniem takich bel, na każdej z nich oznaczają wagę umieszczając odpowiedni numer oraz nazwę zakładu. Teraz trzeba tylko podstawić samochód, załadować kilkanaście bel i zawieźć do punktu skupu.

Głównym odbiorcą makulatury jest Okręgowe Przedsiębiorstwo Surowców Włóchnych „Włóropol”, posiadające swój magazyn składowania na ulicy Brukowej nr 23. Tu zbiegają się wszystkie trasy samochodów wożących makulaturę. Każda dostawa jest sprawdzana i ważona przez odpowiednią osobę, nazywaną potocznie wagową. Na ul. Brukowej tę funkcję pełniła Bożena Krystyna K. Konwojenci i ładowczycie są zobowiązani do przedstawienia wagowego dokumentu, na podstawie którego przywieźli surowiec, np. może to być kwit

„WZ”, specyfikacja wysyłkowa, kwit „MM”, kwity rozchodu towaru itp. Na tym dokumencie wagowa przystawia pieczęć testową „BNT” z wpisem „waga brutto ładunku”. Równocześnie musi dokonać wpisu do książki wagowej: nazwę dostawcy surowca, datę przywozu, rodzaj surowca, numer samochodu oraz wagę ładunku. Tak więc pojazd jest ważony po raz pierwszy wraz z ładunkiem, następnie raz jeszcze wjeżdża na wagę, ale już pusty. Ten drugi raz jest potrzebny dla ustalenia wagi tzw. tary. Po dokonaniu tej czynności wagowa uzupełnia zapis w książce, oblicza wagę netto ładunku i wpisuje ją do książki, a także w dokumencie dostawcy. Czynność jest prosta, nieskomplikowana, właściwie

W tych zakładach, gdzie papier jest podstawowym surowcem nie było właściwej kontroli nad gospodarką makulaturą, co przejawiało się w tym, iż nie oznakowywano należycie bel, często ich nawet nie liczone i nie sprawdzano, ile się tego wywozi do „Włóropolu”. Ten bałagan wykorzystali belowarze, którzy zwachawszy interes szybko weszli w porozumienie z kierowcami i konwojentami. My wam będziemy dawać więcej bel niż zostało to zapisane w dokumentach rozchodowych, a wy z nami będziecie się dzielić zyskiem.

załadowany samochód belami makulatury jechał więc do magazynu na ulicę Brukową. „Po drodze” jednak wstępował do agenta prowadzącego punkt

mu skupować makulatury od jednostek społecznych, a jedynie od ludności. Sprzedawali ją po cenach, jakie obowiązywały przy rozliczeniach z indywidualnymi dostawcami makulatury. A kiedy już samochody odjechały, Włodzimierz D. owe bele odstawiał do „Włóropolu” lub do „Surowca” po wyższych cenach z marżą handlową jako rzekomo nabyte od ludności. I jakoś nikt w magazynach nie zwracał uwagi na to, że makulatura jest zbelowana i stanowi ścinki produkcyjne, a więc pochodzi z uspołecznionych zakładów produkcyjnych. Ta sama makulatura była dwukrotnie sprzedawana.

W toczącym się śledztwie stwierdzono, że sprzedawano w

łącznie wadze 2.320 kg. Drugi samochód należał do Transportowej Spółdzielni „Akord” a kierowca nazywał się Jan W. Samochód pusty. Okazało się jednak, że kierowca przywiózł Włodzimierzowi D. 60 litrów etyliny 78-oktanowej skradzionej w „Akordzie”. Zaraz też wyszło na jaw, że żona Włodzimierza D. prowadzi takśówkę. Trzeci samochód należał do Spółdzielni Pracy Galanterii Papierniczej „Introplast” i obsługiwał go Marian K. Na samochodzie znajdowało się 300 kg makulatury w belach.

Śledztwo w tej sprawie prowadzi Prokuratura Wojewódzka w Łodzi wraz z Wojewódzkim Urzędem Spraw Wewnętrznych. Ustalono, że w Łodzi od początku 1983 r. do 11 czerwca

tury w miejscu, gdzie lepiej nie chodzić w dzień, a co dopiero wieczorem czy w nocy. Akt oskarżenia zarzuca mu, iż „uczestniczył w zaborze około 113.800 kg makulatury zbelowanej o łącznej wartości około 811.600 zł”. Ponadto nabył od Jana W. 350 litrów etyliny 78-oktanowej, którą to etylinę Jan W. zwycajnie ukradł z firmy „Akord”, w której był zatrudniony jako kierowca. Dalej figuruje Stanisław B., robotnik w magazynie papieru PZG, któremu zarzuca się, że zagarnął 35 ton makulatury wartości ok. 245 tys. zł. Na trzecim miejscu jest Leszek Krzysztof P., kierowca z LWP, który wywiózł co najmniej 37 ton makulatury wartości 259 tys. zł. plus książki na sumę 4 tys. zł. Potem na liście jest Jerzy Kazimierz P., robotnik z PZG, który zabrał makulatury za 210 tys. zł, a książek na sumę 90 tys. zł.

Jedyną kobietę w tym towarzystwie Bożenie Krystynie K., wagowej w Okręgowym Przedsiębiorstwie Surowców Włóchnych „Włóropol” zarzuca się, iż przyjmowała korzyści majątkowe za to, że fałszowała wagę przyjmowanej makulatury. Współoskarżeni mówią, że jeden dał jej w sumie 10 tys. zł, inny, że mniej, jeszcze inny, że wcale nie dawał. Zapewne w czasie rozprawy sądowej kierowcy uściślą wysokości przekazywanych Bożenie Krystynie K. sum za fatygę.

Dalej na liście znajduje się Jan W., kierowca z Transportowej Spółdzielni Pracy „Akord”, który brał udział w zaborze makulatury i który dostarczał etylinę Włodzimierzowi D. Listę zamyka Andrzej J., zatrudniony w PZG na stanowisku zastępcy kierownika magazynu papieru. Jemu prokurator zarzuca, iż zagarnął co najmniej 1.200 kg makulatury wartości 10.800 zł.

Część z wymienionych osób przebywa w areszcie, inni będą odpowiadać z wolnej stopy. Proces niebawem.

EUGENIUSZ IWANICKI

Wierzchołek góry lodowej

rutynowa. Wydaje się, że tu zachachnąć się nie da właśnie ze względu na prostotę całej operacji. Okazuje się, że pomysłowość ludzka nie ma granic, i że najprostszą rzecz można jeszcze bardziej uprościć, jeśli za czynnością upraszczania stoi kilkadziesiąt tysięcy złotych. Ale o tym za chwilę.

Zakłady przemysłowe przywożą makulaturę własnymi samochodami, ale i bywa, że „Włóropol” odbiera ją swoim transportem. Wszystko to, jak również ilości makulatury, cena jednostkowa, rodzaj makulatury, są zawarowane w umowach, jakie „Włóropol” zawiera z poszczególnymi zakładami.

W Łodzi jest sporo punktów skupu makulatury podległych zarówno „Włóropolowi” jak i Spółdzielni „Surowiec”, ale punkty te są zobowiązane do kupna makulatury jedynie od ludności, a nie od przedsiębiorstw.

skupu makulatury od ludności, który to punkt mieścił się prawie pod Helenówkiem, na Zgierskiej nr 225. Właściwie to niezupełnie tak, bo ze Zgierskiej trzeba skrócić w boczną drożkę, wyboistą i na odludziu, gdzie diabeł mówi dobranoc. Agent Włodzimierz D., jakby celowo wybrał takie właśnie miejsce: przecież na dobrą sprawę nikt nie zechce taszczyć kilkunastogramowej paczki na takie zadupie, bo lepiej i wygodniej odnieść ją do jakiegos innego punktu skupu, jakich w Łodzi jest wiele. Natomiast dla samochodu dostarczyć do siedziby Włodzimierza D. nie było problemem. Tym bardziej, że agent nie pytał skąd makulatura, nie chciał widzieć żadnych dokumentów i płać do raczki. I jeszcze dopominał się o dalszą współpracę i polecał się łaskawej pamięci. W takich momentach zupełnie jakoś zapominał o tym, że w umowie stało czarno na białym zapisane, iż nie wolno

ten sposób nie tylko makulaturę, ale i książki kradzione wprost z drukarni, czasopisma, kalendarze itp.

A jak doszło do wpadki? Otóż 14 czerwca 1985 r. funkcjonariusze Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych Łódź — Widzew zatrzymali w punkcie skupu makulatury, właśnie u wspomnianego już Włodzimierza D., trzy samochody ciężarowe. Ową punkt skupu podlegał Spółdzielni Pracy „Surowiec”, której, jak już pisałem, Włodzimierz D. odsprzedał bele kradzionej makulatury. Zatrzymane samochody pochodziły z różnych przedsiębiorstw, ale łączyła je wspólna sprawa: przywieźli „trefny” towar. Jeden z samochodów należał do Prasowych Zakładów Graficznych i obok kierowcy Leszka Krzysztofa P. znajdował się konwojent Stanisław B. Na samochodzie znajdowało się 21 bel sprasowanej makulatury mieszanej i drukowanej o

1985 r. dokonywano systematycznie kradzieży zbelowanej makulatury na szkodę jednostek gospodarki uspołecznionej, a w przypadku Prasowych Zakładów Graficznych kradzieży także książki i czasopisma z działu introligatorni.

W tej sprawie dotknęto zaledwie wierzchołka góry lodowej, i wiele jeszcze pracy czeka zarówno milicję, jak i prokuraturę. Już teraz, kiedy wszystko jest jeszcze w toku, prokurator prowadzący śledztwo jest zmuszony dzielić na grupy oskarżonych, wobec których sporządza oddzielne akty oskarżenia. Ile jeszcze będzie takich aktów? Pokażę najbliższą przyszłość. Jedno jest pewne: takiej sprawy jeszcze w Polsce nie było.

W pierwszym „rzucie” stanie przed sądem 7 osób. Listę ich otwiera Włodzimierz D., ów przedsiębiorczy agent, który stworzył punkt przyjęć makula-

Delbek

WŁADYSŁAW MAŁKA

1.

Delbek siedzi przy stoliku, w czapce z daszkiem wciśniętej na łysą czaszkę i w jesionce długiej do kostek. Łagodnym wzrokiem spogląda na dwie kobiety raczące się ekspresową herbatą. Kiedy herbaty jest jeszcze dużo, oczy Delbeka wyrażają pełne wyrozumiałości oczekiwanie, gdy ubywa tej coraz bardziej i zanosi się na to, że zostanie wypita do końca, wyszczona do ostatniej kropelki. Delbek zrezygnowanym ruchem ręki ściga czapkę z głowy i z rozmachem kładzie ją na krześle. Odwraca się do tamtego stolika bokiem i tak wymownie siedzi podparty na łokciu. Siedzi ich jakby dwoje: on i jego czapka. Po chwili, z kieszeni jesionki wyciąga zmietną gazetę, obraca ją w rękach, po czym odrywa palcami niewielki skrawek i wkłada do ust. Zuje wolno, demonstracyjnie, na koniec przetyka. Wielkie jak śliwka jabłko Adama przesuwają się po chudej szyi: w górę i w dół. Kobiety przy stoliku nieruchomieją. Delbek ponownie odrywa strzęp gazety, a jego palce rozpoczynają nieśpieszną wędrowkę do ust. Powtarza to raz za razem. Nie można mieć już wątpliwości, że Delbek zaczyna jeść gazetę. Czy człowiek może załapać gazetę? Gdyby go o to zapytać, Delbek podniósłby swoją mikroskopijną głowę, ale nie odpowiedziałby żadnym słowem.

2.

Delbek jest niewielkiego wzrostu, najwyżej metr sześćdziesiąt, a jego głowa jest, nieproporcjonalnie mała w stosunku do i tak znikomiej reszty. Wyraźnie w przypadku Delbeka natura zatraciła dobry smak i umiar, nagalopowała się w umniejszaniu zewnętrznej powłoki Delbeka. Niestety, gdyby tylko tej! Reszta na twarzy Delbeka wypisła życie. Ale co to jest życie? Delbek podobnie jak wszyscy nie umiałby na to odpowiedzieć.

3.

Dziwne słowo: Delbek! Może znaczyć dużo, albo zupełnie nie. Gdybyś wiedział, co w sobie zawiera! Jaką treść? Jaką tajemnicę? Del-

bek mówi o sobie: „Jestem Delbek z domu Delbek”. I nie więcej. Uśmiecha się przy tym, jakby zrobił coś niezwykłego, coś, na czym niełatwo się poznać. Jest w tym jakiś spyt, dziwna psota, słowo-szyfr albo słowo zupełnie puste, pozbawione żdźbła sensu. Na kartce papieru piszę naśladowując druk: DELBEK. Podtykam mu to pod nos, ale on spogląda na kartkę bez zainteresowania. Nie wie. Lecz jego oczy umykają gdzieś w bok, widzę, że skryłby się w tej chwili gdzieś w ryś się dziurze, przepadł na trochę. Dobrze! Nie wracajmy do tej sprawy.

4.

Delbek przestępuje z nogi na nogę, nie powie, o co chodzi, ale ja już wiem. Idę w stronę bufetu. Nie muszę się oglądać, czuję jego wzrok na swoich plecach. Wielka chwila! Ozdobna kanapka ładuje na talerzyku. Niepotrzebnie. Trzeba ją po prostu zawinąć w serwetkę. Tak. Teraz jest dobrze. „Masz Delbek” — mówię. Kanapka znika w kieszeni jesionki.

5.

Delbek na przystanku, na końcu tłumy ludzi stłoczonych u wejścia do pośpiesznego autobusu. Autobus na przedniej szybie ma tablicę z napisem: Łódź—Lublin. Delbek czeka cierpliwie, aż wszyscy wejdą do środka, on zrobi to na końcu, kiedy wszyscy zajmą już swoje miejsca. Ale gdy ludzie są już w środku, moszczą się na swoich siedzeniach, Delbek nagle znika, zapada się jakby pod ziemię. Po pewnym czasie widzę, jak oparty o balustradę schodów przed budynkiem dworca przysłga się odjazdowi autobusu. Na wardze ma biały ślad. To kawałek serwetki, w którą zawinięta była kanapka.

6.

Delbek w białym szalikowi owiniętym wokół kołnierza jesionki, jak Utrillo tragiczny, pośród stada gołębi, które okupują dworzec. Nie patrzy jednak na gołębie — skrzętnie, kręcąc się pod nogami, podejrzliwym wzrokiem przysłga się ludziom siedzącym na ławce i zjadającym hot-dogi. Gotów jest stać tak choćby godzinę. A w końcu wyjmie gazetę i zacznie ją jeść, ludzie zaś zniechęceni jej na ławce.

7.

Park. Chodnikowe płyty upstrzone ptasimi odchodami. Ich intensywny, przykry zapach. Przedmiedzona trawa, spawająca wrażenie że trawniki dotknięte są jakąś chorobą. Delbek

na jednej z ławek, w dziwnej pozycji, podobny do ptaka, który wsadza głowę w pióra i zastęga w ten sposób. Głowa Delbeka jest właśnie pochylona, wetknięta w połę jesionki. Widać szyję, bardzo chudą i przenikliwie białą. Na sąsiedniej ławce siedzą dwie prostytutki, ich wiek może być tajemnicą dla każdego. Pała papierosy i toczą wzrokiem za każdym, kto tędy przechodzi. Są chude, niezgrabne i tak brzydkie, że wzbudza to litość albo śmiech. Nie przeszkadza im ptasie guano, które jasnoszarą smugą ciągnie się całą długością chodnika. Na Delbeka nie zwracają uwagi.

8.

Delbek podnosi niedopalek papierosa rzucony przez kobietę, która zaczyna biec w stronę autobusu. Jest to właściwie cały papieros. Jego uśnik zabarwił się czerwienią szminki. Delbek najpierw przeornie rozżarza papierosa, a następnie wyjmując go z ust, przygląda się uśnikowi. Czy myśli o wargach młodej kobiety, ciepłych, wilgotnych, odsłoniętych wokół uśnika? Czy ślad, który zostawiła szminka jest dla niego niczym więcej, niż jaskrawą barwą, niewielką plamką na białej bibuście? Jego gest, z jakim po chwili raczy się papierosem, jest nieco teatralny, Delbek gra kogoś z długim papierosem w palcach.

9.

W holu dworca wielka, oszklona skarbonka wypieniona w 1/3 bilonem i banknotami. Banknoty są raczej drobne: dwudziestozłotówki, pięćdziesiątki, co najwyżej setki. Delbek tkwi w odległości kilku metrów, ustawiony en face do skarbonki, nie interesując go pieniądze spoczywające na jej dnie — czeka na moment, gdy ktoś podejdzie do niej i przez wąski otwór wrzuci coś do środka. W takim momencie Delbek uśmiecha się, kurczy całym ciałem, chichocze, tocząc wzrokiem po ludziach, którzy patrząc na skarbonkę starają się przybrać twarz w obojętność niemal doskonałą. „Delbek — mówię — przydałaby się tobie taka forsza?” Delbek kręci głową i kuli się zdtawiony śmiechem. „Ciekawe, co go tak rozmieszyło” — myślę.

10.

Delbek nigdy nie ma przy sobie torby, choćby jakiegos zawiniątka — sterczy z rękami w kieszeniach, w których co najwyżej jest jakaś gazeta podniesiona z ławki, z kosza na śmieci — jedyny rekwiizyt dla zademonstrowania ludzemu sytemu, mającym dokąd jechać, że z nim jest diabełnie krucho. Delbek chętnie poszedłby na kompromis, nie jest szalbierzem wciągającym

na lep swojej sztuczki naiwność ludzką. Kiedy zaczyna żuć zadrukowany, gazetowy papier nie jest to żaden cyrkowy numer w rodzaju: „Przed wami człowiek jedzący gazetę!” On to robi naprawdę, nasycia żołądek podobnie jak inni swoimi hot-dogami albo dymiącą na papierowym talerzyku rybą. Kompromis polegałby na tym, że każdy pozostawiłby coś na serwetce, na talerzyku, nie zmiąłby wszystkiego do końca, dzielił się z Delbekiem. To w gruncie rzeczy ze złości, z nieporozumienia, w ruch idzie gazeta. Nic innego Delbek nie może zrobić. Świat jest niedomyślny.

11.

Pewne rzeczy mają dla Delbeka wartość i znaczenie, a inne zupełnie nie. Tych pierwszych jest znacznie mniej niż tych ostatnich. Inna jest także geografia miasta — są w niej miejsca ważne i takie, które dla Delbeka mogłyby nie istnieć. Nie mają żadnej racji bytu. Noga Delbeka na nich nie stanie, nie pojawi się jego płaska jak talerz czapka na głowie niepokojąco małej, nie przypłylnie brzydkich zapach, który ciągnie się za nim długi, niedyskretna smuga i odwraca ludziom głowy. Dobre miejsce, to takie, gdzie jest niemal pewne jak w banku, że długi papieros spadnie na ziemię, do kosza wylądować nie zjedzony do końca rogal, a szklanki ciemnieją na dnie od nie dopitej herbaty. Takie miejsca mają dla Delbeka wartość, takie rejestruje on w swojej pamięci.

12.

Kiedy pytam Delbeka, gdzie mieszka — pokazuje ręką na park, na zakurzone, pociemniałe od dymu i spalin mury kamienic. Lecz ten gest jest niepewny, ręka waha się i zaraz skręca całkiem w bok, w stronę budynku dworca i dalej, gdzie są splątane szyny, które przebiegają się przez horyzont. Delbek jest zakłopotany — on mieszka wszędzie.

13.

Delbek chciałby wyruszyć w daleki świat, tak jak codziennie czynią to tysiące ludzi. Na razie odprawia jedynie pociągi, spogląda za oddalającym się stukotem kół, gdy na peronie nie ma już nikogo, nawet mężczyzna w czerwonej czapce, który przebrnął przez tory, otwierając sobie stalowe furtki przeznaczone jedynie dla niego. Delbek zostaje do końca, póki pociąg nie zniknie, z zagadkowym półumieśnikiem na twarzy. Kiedyś, wsiądzie w swój pociąg.

1

Nagle
zastępstwoRzeczpospolita
konkursowa

Wśród animatorów życia kulturalnego i artystycznego istnieje od dawna przekonanie, że jedna z skuteczniejszych metod ożywiania twórczości wszelkiej, artystycznej niesłuchanie, a także bodźcem do zintensyfikowania tzw. pracy kulturalno-oświatowej, są konkursy. Jest to przekonanie nieuzasadnione jak dotąd żadnym racjonalnym argumentem — choćby tylko statystycznym.

Jest natomiast niewątpliwe, że konkursy powodują powstanie szeregu mniej lub bardziej udanych prac „na zadany temat”. Tematy zadane są bardzo różnorodne: od „najogólniejszych” typu „walka o pokój” do takich, które determinują bardzo wąsko, zarówno treść jak i formę konkursowych utworów. Przykładem anegdotalnym jest konkurs na fraszkę o Zdunskiej Woli, ogłaszany już kilkakrotnie (jeśli mnie pamięć nie myli) przez — pełny najpiękniej woli (zdunskiej) zdunskowski działacz. Nie znam najlepszych, nagrodzonych fraszek, nie twierdząc wcale, że są złe. Jest natomiast wynikiem tego konkursu niesłychanie osobliwy fakt kulturowy: na temat Zdunskiej Woli powstało w ostatnich dwóch — trzech latach więcej fraszek niż na temat wszystkich pozostałych miast Polski (nie wliczając Warszawy i równie stołeczne go jak stolicę Krakowa). Przyszły literaturoznawca zżmie sobie głowę i nigdy nie dojdzie przyczyn, dla której fraszkopis polskie w latach osiemdziesiątych szczególnie należały talent, czy co tam fraszkopis nateża, żeby akurat fraszkopisać o Zdunskiej Woli, a nie o Białej Podlaskiej albo Makowie Mazowieckim? Jeśli nawet dotrże do informacji, że było to wynikiem konkursu, to nadal nie będzie wiedział, czemu był konkurs na fraszkę o Zdunskiej Woli, a nie na komedie o Gorzowie Wielkopolskim (badź co bądź wojewódzkim) albo na sonet o Krasniku Lubelskim czy na erotyk o Szamotulach.

Coś w rodzaju konkursomani obserwuję zwłaszcza w ostatnich miesiącach. Weźmy — dla przykładu — tylko kilka ostatnich numerów „Ogłosów” i prześledźmy informacje o ogłoszonych bądź zakończonych konkursach:

Numer 5 z 1 lutego br. — zakończył się Ogólnopolski Konkurs Otwarty na Grafikę, odbyły się finały IV Wojewódzkiego Turnieju Poezji Patriotycznej.

Numer 6 z 8 lutego — zapowiedziano Ogólnopolski Przegląd Studenckich Teatrów Debiutujących (Przegląd ma charakter konkursu). Ogłoszono konkurs literacki, organizatorzy — Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, związki zawodowe i redakcja „Naszego Życia”.

Numer 7 z 15 lutego — ogłoszono konkurs poetycki „O dżban czarnoleskiego miodu” — organizatorzy — Biblioteka Wojewódzka, Urząd Miasta i ZW ZSMP w Radomiu.

Nr 8 z 22 lutego — Wręczone nagrody w konkursie tygodnika „Szpilki”.

Nr 10 z 8 marca — Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, związki zawodowe i redakcja „Naszego Życia” ogłosiły konkurs plastyczny p.n. „Moje wyobrażenie „Pokój”. Urząd Miasta Gdyni przypomina o ogólnopolskim konkursie literackim. Przedłuża się termin składania prac. Z względu na „duże zainteresowanie konkursem” (?).

Wklejając numerze znajdując czytelnik informacje o konkursie dla amatorów plastyków.

Z premiedytacją, tendencyjnie i całkowicie nieobiektywnie nie umieszczam na tej liście ani dorocznej nagrody „Od-

głosów”, ani zakończonego ostatecznie konkursu dziennikarskiego, w którym dwie nagrody zdobyli moi redakcyjni koledzy (gratuluję!).

Nie protestuję przeciw żadnemu z tych konkursów. Ani przeciw poważnemu konkursowi na grafikę, ogłoszonemu przez BWA, ani przeciw bardzo interesującemu konkursowi „Szpilek”, ani nawet przeciwko konkursowi, na który pewnie nie napłynęły żadne prace (w Gdyni). Nawet nie mam nic przeciw konkursowi pod pokracznym tytułem: „Moje wyobrażenie „Pokój” (O co chodzi panowie organizatorzy? Nie można było wykombinować jakiegoś polskiego, czytelniejszego i poprawnego hasła?).

Niepokój budzi ilość tych konkursów i ich częstotliwość. Niepokój budzi też ich niska ranga. Nie ma co ukrywać, że i wysokość nagród (np. pierwsza nagroda mniejsza niż średnia pensja!) nie świadczy o doniosłości i wadze tych imprez.

Może się mylić? Może ludyczny charakter naszej epoki rodzi zapotrzebowanie na wszelkie konkursy? Przecież telewizyjny „Jarmark” prowadzi coś w rodzaju nieustającego, ogólnopolskiego konkursu na... cokolwiek! Można pisać się umiejętnością zagwizdania „Tanca z szablami” Chaczaturiana, można zrobić małe, uścisnąć dym uszami albo założyć nogę na szyję i już się jest (na dwie minuty, ale zawsze) gwiazdą telewizyjną.

Były już pomysły na „Rzeczpospolitą spółdzielczą”, na „Rzeczpospolitą samorządnią”. Może być też „Rzeczpospolita konkursowa”.

A mój znajomy literat ma starannie posegregowane wiersze i opowiadania. Sledzi czasopisma i gdzie tylko ogłoszą konkurs, on już posyła. Wiersze rewolucyjne na „Rubinową Hortensję”, fraszki do Zdunskiej Woli, liryki „czysta” do Radomia, na „Dżban Czarnoleskiego miodu”. Często trafia. Dużo częściej niż w totalitku!

ANDRZEJ KAROL

2

Spojrzenie
znad
szachownicyPrzebudzenie
ze snu

1.

Gdy założy zimne wiatry, a temperatura zaczęła zmierzać w stronę zera absolutnego, uznałem, że wzorem co roztropniejszych zwierząt najlepiej jest aferę przespać, a obudzić się wtedy dopiero, gdy przyroda poczyni sposobić się ku wiosnie. Zbrojny w doświadczenia szachowe zrobiłem nawet pierwszy ruch, kierując się po skośnej czyli diagonali w stronę łóżka, gdy tak zwany organizm złożył protest, sygnalizując, że po pierwsze to on nie jest przyzwyczajony, zaś po wtóre nie zaopatrzylem go odpowiednio wcześniej, w zwalę tuszuszki vel sadła, którymi mógłby się zasiląć, gdy ja będę pochrapywał.

Dobre sobie — sadio w dzisiejszych czasach! Nadto, do cholery, kto tu właściwie rządzi, czy człowiek z wolną wolą i umiejętnością rozróżniania złego od dobrego, czy rozpaskudzony organizm, który uwielbia rozmaite użytki i być może dlatego nie chce zapasować w miły sen zimowy, że zapaliłby papierosa albo nawet napił się wódki.

— Kto śpi, ten nie grzeszy — powiedziałem organizmowi, a jednocześnie sięgnąłem po bardziej pryncypialne środki perswazji i nie napaliłem w piecu, ponieważ słyszałem, że oziębiony organizm pokorniej, zgadzając się prawie na wszystko. Mój okazał się jakiś rogaty, bo wciąż nie chciał iść do łóżka, aż skończyło się zgnilym kompromisem i musiałem mu

przyobieć, że wstaniemy ostatecznie o czasie do czasu. On — aby podjąć, ja — iżby w tym czasie coś poczytać albo poglądnąć w telewizję.

2.

Gdy przebudziłem się po raz pierwszy (badź wysnilem, że się budzę) wzrok mój padł na „Politykę”, która prezentowała sylwetki polskich multimilionerów. Oczywiście niby i wcześniej wiedziałem, że w kraju nad Wisłą są ludzie mający niepomierne więcej forsy niż inni, ale nie mówiłem, że o tym głośno, tak jak nie wywołuje się duchów w środku białego dnia. A tu proszę — wszystko zostało napisane, nawet z nazwiskami, choć bez adresu i kodu pocztowego.

Rozmarzony postanowiłem dołączyć do towarzystwa, odrzucając wszelkie metody opisane przez „Politykę”, jako kłopotliwe i wymagające kapitału zakładowego, którego nie posiadam. Podobnie skreśliłem z repertuaru Toto-Lotka, niefortunnie bowiem skreśliłem, obstawiając natomiast rubrykę w jakimś poczytnym „Expressie” za tytułowaną „POSZUKUJEMY SPADKOBIERCÓW w służnym przeświadczeniu, że jeżeli różne ministerstwa istotnie szukają jakiegoś P., to go koniec końców znajdą, nawet jeżeli ja będę się w tym czasie przewalał z boku na bok.

3.

Gdy przebudziłem się po raz drugi lekki komisyjnie włączam telewizję, a w okienku natychmiast pojawił się jakiś fałszywy beczelnie malujący red. Dariusza Dorożewskiego znanego mi chwałebnie z „Ogłosów” oraz prywatnie. Na Darka nie dam powiedzieć tego słowa, ponieważ ma miły sposób bycia, nado przewodzić mnie parę razy samochodem wysadzając w oznaczonym miejscu żywego, choć przestraszonego, a przecież mógł postąpić wręcz odwrotnie i wówczas nie ja byłbym spadkobiercą, lecz zupełnie ktoś inny.

Chciałem już zdzwonić do telewizji z awanturą, gdy ukazała się plansza, z której wynikało, że nikt nikogo nie malował, a red. Dorożewski wystąpił oświadczyć. Co więcej, jak opowiedział mi potem na młacie, czyni to od dłuższego już czasu zyskując uznanie matron oraz niewinnych pańienek.

Nie jestem akurat panią, trudno więc żądać, abym się dołączył do tego rozanielonego grona, faktem jest jednak, że gdybym obudził się o głupi kwadrans później prześlaliby rozbiłszy supernowej, a machając ręką koledze nie wiedziałbym, komu macham, czyli machał z pozycji nieświadomego.

4.

Po raz trzeci wylazłem z łóżka, gdy śnieg już tajał, uznałem tedy, że czas obudzić się na dobre. Nakarmiłem organizm, przewertowałem komplet „Expressów” nie znajdując nieszczęśliwego P. na wiadomej liście, aż wreszcie usiadłem przed telewizorem pusząc się w duchu, że po tamtej stronie mam tak zadawione znajomości.

Na ekranie z tego ni z owe go wpakowała się wszelako niejaka Tara, niezbyt roztropnie milionerka z dalekiej Australii, która po to tylko wyrwała się z paszczy krokodyla, aby wleźć w nowo tarapaty. Nie doogładałem, przynajmniej filmu do końca, a słowa, które wykrzykiwałem nie nadają się do przytoczenia ze względu na obyczajność publiczną, jest wszakoż rzecz niegodna, iżby rozbijać w pył i proch najświętsze marzenia naszego życia, ukazując okrutny los milionerów i milionerek, którym wszyscy dookoła usiłują podłożyć tak zwaną swinie, jeżeli nie coś gorszego.

Skoro tak — powiedziałem sobie twardo — to ja się nie bawię. Nie zakładam interesu, nie gram w totka, a nawet rezygnuję z zostania spadkobiercą, wszystkim konsekwencjami obciążając Ministerstwo Finansów, które nie będzie miało z kogo ściągnąć podatku.

I w ten oto sposób — odaty ze złudzeń, lecz nieugięty — powróciłem w objęcia sierniczej rzeczywistości, to jest pardon, w objęcia „Ogłosów”.

JERZY P.

3

Horror
w łazience

Byli ministrowie, profesor Zdzisław Krasinski — którego bardzo miło wspominam — potknął się na chrupiących bułeczkach. Sądził, że uda mu się namówić piekarzy, aby piekli chrupiące bułeczki, ale nie — jak wiemy — z tego nie wyszło. Teraz „Express Ilustrowany” podjął się nie mniej ambitnego zadania, i postanowił namówić kogo trzeba, aby po południu też w sklepie było świeże pieczywo. Z piekarzami sprawa była najprostszą, gdyż oni i tak pieką chleb i bułki, które leżą i czekają na transport do rana.

W miniony piątek (14 marca 1986 roku), „Express Ilustrowany” donosił dumnie, że udało mu się namówić kogo trzeba i już od 17 marca 1986 roku — zapamiętajcie tę datę! — w niektórych sklepach świeży chleb i także bułki będą też po południu.

Popołudniówka pisze nie bez zastrzeżeń satysfakcji, że „piekarze ze „Spolem”, transportowcy z PTHW i handlowcy ze „Spolem” doszli wreszcie do wspólnych uzgodnień. No i dzięki temu będzie znów w Łodzi to, co było dawniej, świeże pieczywo w sklepach po południu. Zwycięstwo! Gazeta odniosła wielki sukces. Wcale nie kpię. Wręcz przeciwnie, jestem pełen uznania. Dla gazety oczywiście!

Malkontenci zaraz ruszą z pretensjami, dlaczego tylko w wytyczonych sklepach, dlaczego akurat w tych, a nie w innych? Malkontentom nikt i nigdy nie dogodzi. Nawet starając się nie ma po co. Ponieważ mój zawód upoważnia mnie też do malkontentstwa zmuszony jestem do zadania kilku pytań i wyrażenia jednego zdziwienia.

Otóż zdziwiło mnie niepomierne, że mój chleb i moje bułki — wcale nie chrupiące — zależą od trzech instytucji: piekarzy, transportowców i handlowców. Piekarz zatem nie piecze chleba dla mnie, czy dla kogoś innego, tylko dla transportu, który ten chleb odbiera. Piekarz nie wie, gdzie i do kogo ten chleb dociera. Smakuje czy nie? Zupełna anonimowość, jeśli nawet kartka jest na chlebie, to i tak nic mi to nie mówi.

Zdziwiło mnie poza tym, że to „Express Ilustrowany” musiał zająć się dostarczaniem świeżego chleba po południu do sklepów. A gdyby „Express Ilustrowany” chwalał mu za to — tym się nie zajął, to nadal jedlibymy czerstwy chleb. No, bo przecież piekarz piecze chleb dla transportu, transport go wozi do sklepu, a klient w tym łańcuchu w ogóle się nie liczy. O klienta musiał zatroszczyć się „EI”, a nawet nie związek konsumentów. Zdziwiałem!

Coraz bardziej mi się wydaje, że u nas różni ludzie robią jakby nie to, do czego zostali powołani. Handlowcy w zasadzie urzędują, transportowcy wożą, a dozorczy jakby w ogóle wyginęli tej zimy i zapewne zajmują się uzdrawianiem jakiejś dziedziny naszego życia, a nie sprzątają brudu, jaki coraz gęściej zaczyna zarastać nasze ulice, place, klatki schodowe. Jeśli dokładnie przeanalizować czynnik składający się na to, co płacimy jako czynsz, to jest tam również pozycja za wywóz śmieci. Coraz częściej nie mogę wejść do śmietnika, bo MPO jakby zapomina o naszym osiedlu. Ale pieniądze pewnie bierze ryczałtem!

To nie jest wcale takie śmieszne. W „Standarcie Młodych” przeczytałem jak publicystka tego pisma Krystyna Nazare-

wicz najpierw chciała, aby ją telewizja przeraziła nadawanym horrorem, ale nie z tego nie wyszło, później poszła do łazienki, aby umyć się przed snem i dopiero był prawdziwy horror. W łazience siedziała sobie para... szczurów. Telewizja jakby też nie robiła tego, do czego ją powołano. Skoro już zapowiada, że w kinie nocnym będzie horror, to niech ludzie trzęsą się ze strachu, a nie żeby szczury telewizję wyręczały.

Otóż, jak wynika z doniesienia Krystyny Nazarewicz w Warszawie szacuje się, że na jednego warszawiaka przypada od 1 do 4 szczurów. Przyjmujemy kompromisowy szacunek — 2,5 szczura na jednego mieszkańca. I założymy, że w Łodzi jest podobnie. Wios jeży się na głowie. Na dodatek trzeba wiedzieć, że jedna para szczurów daje w roku tysiąc potomstwa. Następnie że szczurzy są inteligentne i dzięki tej inteligencji potrafią robić poważne szkody — na przykład przegryzać kable telefoniczne i elektryczne. A poza tym roznoszą zarazki: czerwonki, duru brzusznego, dżumy, żółtaczkę, choroby Heinego-Medina i cholera jeszcze wie co. Ze szczurami trzeba walczyć. Nie można ich polubić.

Ba, ale jak?

Produkowane trucie na szczury są mało skuteczne i jest ich mało. Poza tym nie pomagają żadne trucie, jeśli jest brud, wszędzie wala się pełno resztek jedzenia, a wadliwe budownictwo pozwala szcziurom penetrować nawet wieżowce.

Po pierwsze — trzeba zacząć dbać o czystość. Skończyć z bałaganem, niechlujstwem, lekceważeniem porządku, zasad higieny. Po drugie — to samo. Po trzecie — też i zacząć produkować skuteczne trucie. I stosować je tak, aby szczurzy nie miały do wyboru nic innego.

Późno już! Trzeba iść do łazienki, umyć się przed snem. A może tym razem pójść spać brudny? Jeśli w łazience siedzą dwie pary szczurów i czekają, aby urządzić mi prawdziwy horror, bo w telewizji nudy?

ZENON POROWATY

4

Sport

Kochanka
utyłana
w błocie

Zbliżają się mundialowe rozgrywki w Meksyku, rośnie zainteresowanie piłką nożną. Nawet Studio 1 nadało transmisję z meczu między Węgrami a Brazylią. Węgarzy okazali się groźną drużyną i gładko pokonali Brazylijczyków 3:0. A Antoni Piechniczek, odpowiadając na pytania Wiesława Horabika z lubelskiej „Kameny”, między innymi Brazylię typował jako kandydata na mistrza świata, choć jednocześnie przypominał, że jego faworyt od 16 już lat nie zdobył tego tytułu. Może po niedzielnym meczu w Budapeszcie na liście najgroźniejszych wpisów trzeba będzie węgierskich piłkarzy?

Wiesław Horabik zastrzegł lojalnie, że jego wywiad z Antonim Piechniczkiem jest nieautoryzowany. Może to i lepiej, bowiem trener polskiej reprezentacji będzie mógł w domu wszystko zwałid na lubelskiego dziennikarza, gdy pani Piechniczka wcale nie przepytuje o... kochankę. Oto, co bowiem powiedział Antoni Piechniczek:

— „Porównując pracę selekcjonera reprezentacji narodowej z pracą trenera klubowego, odwołam się do obiegowych określeń: kochanki. Z żoną wszystko jest normalne, prozaiczne, codzienne, obliczone na długą metę — to reprezentacja; z kochanką zaś atrakcyjne, nowe, ekscytujące i zmienne — to klub”.

Dobrze chociaż, że trener reprezentacji zastrzegł się, że są to obiegowe pojęcia. Ale pani Piechniczekowej takie zastrzeżenie może nie wystarczyć. No i reprezentacja może też być z takiego porównania niezadowolona. Zresztą już niektórzy z kadry są niezadowoleni.

W „Sportowcu” wypowiedział się na temat reprezentacji Dariusz Wdowczyk, a uzupełniał go Dariusz Kibicki, obaj z warszawskiej Legii. Ich opinia o stosunku trenera do nich jakby potwierdzała, że Antoni Piechniczek nie ma serca do reprezentacji albo przynajmniej do niektórych piłkarzy.

— „W ciągu całych dwunastu dni — mówi Dariusz Wdowczyk — nie było takiej chwili, żebyśmy usiedli naprzeciw siebie i w cztery oczy rozmawiali o mojej grze. Trener potrafił skrzykować mnie przy innych graczach za brak zaangażowania, ale nie wpadł na pomysł, żeby mi powiedział szczerze, co mu się naprawdę we mnie nie podoba”.

— „Po co do klubu? (porównywa — B.M.) — uzupełnia Dariusz Kibicki. — Wystarczy do reprezentacji olimpijskiej u trenera Obrebskiego. Tam było miło, koleżeńskie, można było bez obawy porozmawiać, każdy się dobrze czuł. A na kadraję żałuję, że z całkiem innym nastawieniem. Raczej, żeby coś odbębnić”.

A kochanka? Jaka jest ta wymarzona Antoniego Piechniczka kochanka, czyli liga klubowa? Można o niej powiedzieć bez zbyszniej przesady, że jest utylana w błocie. W przenośni i dosłownie. Dosłownie dlatego, że zaczęto grać jeszcze na lodzie i śniegu. Boiska były zamrażnięte. Trudno to nazwać grą w piłkę nożną. Była to raczej piłka na śniegu. Gdy tylko zezłazł mróz, puscili piły boisk i zrobili się błoto. Czy nie można byłoby poczekać z tymi wczesnymi meczami do prawdziwiej wiosny?

Okazuje się, że nie można, bo terminy są — jak to się mówi — tak napięte, że wszystkie musi się skończyć przed mistrzostwami w Meksyku, aby reprezentacja mogła się dobrze przygotować. Nie oszukujmy się zbytnio — przygotowania do mistrzostw świata w Meksyku muszą się też odbywać na ligowych boiskach. Piłkarze przewidziani do kadry muszą być przygotowani do gry w klubach. Innej rady nie ma. Później — już na zgrupowaniu — można będzie tylko doskonalić to, czego nauczą się i czym wykaza w klubach. A tymczasem liga jest jakaś taka nismrawa. Graja, ci wspaniali chłopcy, jakby im się nie chciało, albo im nie zależało.

Na przykład taki Ruch, który jesienią nie grał tak źle, wiosną przegrywał nawet z najslabszymi. Pozycję ma wprawdzie dobrą, bo pięte miejsce, ale mogłoby przecież powstać z najlepszymi, którzy znów wcale nie są tacy najlepsi. Widzów też gra wiosną jakoś cieniutko.

W takich sytuacjach mogą rodzić się brzydkie podejrzenia. Były już przecież różne niedziwne cudów. Ja — oczywiście — nikogo nie podejrzam. A fe! Byłoby to bardzo brzydko, tym bardziej, że nie mam na to żadnych dowodów. Ale i PZPN ich nie ma. Na tym, co się komuś wydaje, albo co mówią na trybunach nie można polegać. Żeby więc zdobyć dowody PZPN wymyślił „brygady tygrysy”. Mają takie grupy sprawiedliwych zjawiać się niespodziewanie na boisku, mieć oczy i uszy otwarte, wszystko dokładnie spenetrować, a co zauważą, to zaraz zapisać i zameldować, gdzie trzeba, czyli do PZPN.

Otóż nie wierzę w żadne „brygady tygrysy”. W Łodzi też takie powołano, żeby porządek w mieście zaprowadzić. Zima napadało śniegu co nie-miara, dozorczy nie sprzątały i „tygrysy” sobie z nimi nie potrafiły poradzić. Czyż poradzą sobie ze sportowymi działaczami w bojach solidnie zahartowanymi? Boję się, że wąpię.

BOGDA MADEJ

Budka telefoniczna była dobrym miejscem na rozmowę, pod warunkiem, że taka rozmowa nie trwała długo. Odszedł szybkim krokiem i znowu stanął w bramie w takim miejscu, że mógł widzieć tę budkę. Czekał pół godziny, spodziewając się, że wkrótce pojawi się samochód policyjny albo inny z ludźmi, którzy rozpracowywali takich jak on. Zostawił na słuchawce odciski swoich palców, na szczęście zaraz po nim telefonowała jakaś starsza kobieta, potem długo rozmawiał młody człowiek w zamieszowej kurtce.

Pojechał metrem do centrum miasta i wszedł do wielkiego domu towarowego. Tam było kilkanaście automatów telefonicznych.

- Czy to pan Feldman?
- Dlaczego nie przyjeżdżasz — błagalnie powiedział Bunder.
- Czy nie pojmujesz, co się stało?
- Nie — tym razem chciał podtrzymać rozmowę.
- Zdjęli ze mnie nadzór policyjny i zostałem sam. Tamci nie dają mi spokoju. Potrzebna mi twoja pomoc. Oni już chyba znają tę ulicę, ale jeszcze nie wiedzą, który to dom. Widziałem ich dziś rano. Jechali samochodem wzdłuż ulicy.
- Możesz chyba jakoś wyjść?
- Obawiam się, że obstawili ulicę.
- Masz drugie wyjście.
- Ktoś jest w ogrodzie. Tak mi się zdaje.

Bulłow odłożył słuchawkę, znowu przerywając Bunderowi. Rozmowa trwała wystarczająco długo, aby można było ustalić skąd dzwonił do Bundera. Bulłow wmieszał się w tłum kupujących i obserwował wejście do magazynu. Robił to przez pół godziny. Aparat telefoniczny, przez który połączył się z Bunderem, nie wzbudził niczyjego zainteresowania.

Zastanawiał się na ile szczerzy był strach Bundera. Wszystko, co tamten mówił brzmiało prawdopodobnie. Nawet to, że prosił Bullowa o pomoc. Bunder miał na pewno przy sobie broń, w tym samym domu był jednak chyba sam jeden. Przy pomocy Bullowa mógłby się wydostać, gdyż tamci nie znali Bullowa, który mógł ubezpieczyć Bundera. Tak, należało uwierzyć Bunderowi, ponieważ zgadzało się to z tym, co mówił mu podczas ich rozstania. Pracował także dla bogatej, ale tandetnej firmy. Nie udało im się i teraz na Bundera usiłowali zwalić winę. Póki znajdował się pod nadzorem policyj, pozostawał bezpieczny. Ale nadzór zdjęto, co zresztą potwierdzono w firmie Bullowa. Teraz można się z nim było rozprawić. Dlaczego Bunder tego nie przewidział? Dlaczego nie uciekł gdzieś daleko, ale wciąż kreślił po tych samych szlakach? Wniosek sam się narzucał: Bunder poszedł na policję i sygnął tamtych, co do jednego. Policja powiedziała mu, że wszyscy siedzą i już nic mu nie grozi. Lecz to nigdy nie była tak, że synpie się wszystkich. On, Bulłow, to też nie „wszyscy”. Bulłow to jeszcze nie cała firma.

Pojechał metrem cztery przystanki i w małym sklepie z rupieciami kupił wojskowy nóż sprężynowy. Nie chciał zjawiać się u Bundera z gołymi rękami, choć — jeśli to była pułanka — ten nóż mógł być dołączony do aktu oskarżenia. Po wyjściu ze sklepu spojrzął na zegarek: minęła druga po południu. A więc już sześć godzin zwodził Bundera. Od sześciu godzin mógł być u niego, tylko że chłód, który odczuwał w sobie paraliżował kroki.

Wsiadł w taksówkę i kazał się zawieźć na ulicę, gdzie stała owa willa. Jechał wystarczająco długo, aby pomyśleć, że być może wypadnie mu ryzykować życiem dla Ivo Bundera. Czy wolno mu to było zrobić? Czy — jeśli nawet wyciągnie Bundera z opresji — tamci nie zapamiętają sobie Bullowa i nie zaczną go ścigać jako współnika Bundera? Po co mu to? Czy miał za mało wrogów? Lubił Bundera — nie więcej i nie ponad to. Czy „lubić” kogoś oznaczało narażać dla niego własne bezpieczeństwo? Co zawdzięczał Bunderowi, który ośmielił się pójść na policję i dał mu przeżyć tyle chwil prawdziwego strachu. „Niech sobie sam radzi!” — zdecydował i kazał taksówkarzowi przejechać wzdłuż ulicy, gdzie stała willa. W pobliżu nie zauważył żadnego samochodu, ulica była zupełnie pusta, nawet bez przechodniów. Zresztą, padał rzęsy deszcz.

Wsiadł z taksówką i dwie przecznice dalej i pieszko ruszył w powrotną drogę do willi. A jednak musiał spotkać się z Bunderem i wyjaśnić sytuację. Takie było polecenie firmy. Tak nakazywał jej interes. W firmie wiedzieli, co ryzykują wysyłając Bullowa — a jednak to zrobili. Jego wpadka, a nawet być może śmierć została wkalulowana w tę podróż i spotkanie z Bunderem. Ostatecznie, sam sobie wybrał taki zawód, a nie inny. Mógł zostać leśnikiem albo strażnikiem łowieckim. Czy kiedykolwiek żył bezpiecznie, nawet jeśli to „bezpiecznie” wyglądało inaczej, bo rano pokojówki i hotelowe sprzątaczk, wkładały się do hotelowych numerów, szantażował tego lub cwego. Od początku było wiadomo, że w każdej sytuacji ryzykuje wolnością, a nawet życiem. Dlatego uczono go nie tylko jak ślaść w barach, jak udawać pijanego, o co i jak pytać, na co zwracać uwagę. Posiadał również umiejętność walki oraz świadomość, że kiedyś można zetknąć się z najgorszym.

Willi Bundera sąsiadowała ze zrujnowanym budynkiem, który kupiła jakaś firma budowlana i zamierzała postawić tam duży dom mieszkalny. Robot jeszcze nie zaczęto, ogród dziczał, przez wyłanane w jednym miejscu kraty ogrodzenia można się było dostać na sąsiednie posesje, a stamtąd przez mur na tyły willi. W dziedzińcu ogrodzie zazwyczaj bawili się dzieciaki, ale w tej chwili zbliżała się czwarta po południu, być może odrabiała lekcje, a poza tym padał deszcz. Bulłow minął rozwaloną starą sadzawkę na złote rybki, przedarł się przez kolczaste krzewy i wszedł na mur willi. Zeskoczył na grubą warstwę butwiejących liści ogromnego kasztanowca i przykucałszy rozejrzał się po ogrodzie. Bunder twierdził, że ktoś jest w tym ogrodzie, teraz jednak już go tutaj nie było na pewno. Ogród zajmował niewielki skrawek gruntu, kilka drzew i krzewów — już bezlistnych. Nikt nie mógł się ukryć przed wzrokiem Bullowa. Tak więc Bunder kłamał, twierdząc, że ktoś czyha na niego w ogrodzie. Należało się wycofać z tego miejsca i znowu zatelefonować do Bundera.

W żadnym oknie willi nie paliło się światło; pora była wczesna. Zresztą, jeśli Bunder czuł się osaczony, nie zdradzałby światłem swojej obecności.

Na tyłach domu znajdował się taras z rozwalającą się balustradą z misternie uformowanych cementowych słupków. Schody na taras pokrywał mech i mokre liście. Kilkomna susami Bulłow dopadł schodów, na palcach wspiął się na taras i zbliżył się do oszklonych drzwi, prowadzących do wnętrza domu.

Nie miał przy sobie kluczy i już sięgał do paska w spodniach, aby wydobyć zakrzywiony drucik, gdy nagle stwierdził, że drzwi są odrobnie uchylone. Ktoś wchodził wtedy lub wychodził, nawet nie racząc zamknąć za sobą drzwi. Bezszelestnie zbliżył się do drzwi i ukrył się za balustradą. Potem wśliznął się pod taras, gdzie kryły się drzwi do piwnicy. Z piwnicy też można się było dostać do środka domu.

Zobaczył ukręconą łomem kłódkę na drzwiach obłożonych z farby i raptem zdał sobie sprawę, że chyba przyszedł za późno. Po prostu, za późno. Ktoś dostał się do tego domu przez piwnicę i wszedł drzwiami na taras. Kiedy się to stało? Przed godziną? Przed dwoma godzinami? Zaraz po tym jak ostatni raz rozmawiał z Bunderem? Tylko że Bunder to nie był byle chłystek. Już go tu zapewne nie zastali.

W tym domu nie było nikogo. Mówiło mu to coś, co nazywał intuicją albo doświadczeniem.

Wrócił powoli na taras, bezszelestnie uchylił drzwi i wszedł do pustego pokoju z odpadającą od ścian złotawą tapetą. Drzwi z pokoju na korytarz też okazały się otwarte na oścież. Ale w tym pokoju panował lekki półmrok, a korytarz zalegał ciemnością. Stojąc w drzwiach był najłatwiejszym na świecie celem dla strzału albo rzuconego noża. Wejść tam? I po co?

Stał i nachyliwał; z wnętrza domu nie dochodził żaden odgłos. Słyszal jedynie szum deszczu za otwartymi drzwiami na tarasie. Wjął nóż i ostrze wyskoczyło bez szmeru. Zdjął kapelusz i na wyciągniętej ręce, na ostrzu noża wysunął go w ciemny korytarz. Nie padł strzał, nie się nie poruszyło. Rzucił kapelusz w ścian korytarza i nie usłyszał żadnego innego szmeru poza cichym upadkiem kapelusza.

Nabrał ostatecznej pewności że ta willa nie kryła nikogo. Ci, o których wspominał Bunder, albo zostali przez niego wymyśleni.

Wielki las

(37)

ZBIGNIEW NIENACKI

ni, albo Bunder im uciekł. Bunder to nie był wazonik na kwiatki, aby go zabrać ze sobą lub roztrząsać.

Przypominał sobie, gdzie w korytarzu jest kontakt elektryczny. Namacał go i pod sufitem rozbłysła zakurzona żarówka. Bunder leżał przy drzwiach wyjściowych na ulicę, z podkurczoną lewą ręką. Prawą miał odrzuconą w bok. O kilka centymetrów od jego palców znajdował się pistolet. Ktoś zadzwonił do frontowych drzwi i Bunder do nich chciał podejść. Ktoś drugi krył się już w korytarzu i strzelił mu w tył głowy. Z tego miejsca, gdzie teraz stał Bulłow.

W willi nie było nikogo, jeśli nie liczyć martwego Bundera. Bulłow podszedł do trupa, ujął odrzuconą w bok prawą rękę Bundera. Była miękka, jeszcze nie nastąpiło stężenie pośmiertne. Kieszenie marynarki i spodni zabitego zostały wyciągnięte i wywrócone. Obok trupa wałowało się mnóstwo drobniaków z tych kieszeni oraz leżał też otwarty portfel. Zapewne pozostawiono dokumenty Bundera, wzięto zaś jedynie pieniądze, aby upozorować rabunek.

Bulłow nie bał się trupów ani widoku zamordowanych. Na pierwszym roku szkolenia kazano mu odwiedzać prosektoira, oglądać twarze ludzi zastrzelonych i zmasakrowanych. Nie chciał jednak zobaczyć twarzy Bundera, która leżała w kałuży krwi. Schylił się z zamiarem, aby sięgnąć po otwarty portfel, ale dostrzegł na nim wąską strzałkę światła. Frontowe drzwi też pozostawiono uchylone i przez szczelinę zaglądał tu pasek błasku dnia. Nie sięgnął więc po portfel; znowu owo coś, co w nim zawsze było czujne, nakazywało jak najszybciej opuścić to miejsce. Niczego ciekawego nie spodziewał się znaleźć w portfelu Bundera. W nim wszystko było kłamstwem, a przede wszystkim dokumenty. Nigdy nie dowie się także, co tak naprawdę Bunder powiedział policji.

Wyszedł frontowymi drzwiami, zbiegł po kilku stopniach prosto w gromadkę zebranych na ulicy kilku kobiet i wyrostków.

— Dzieci widziały jak ktoś się zakradał od tyłu do tego domu — zwróciła się do Bullowa jedna z tych kobiet. — Czy tam nie się nie stało?

— Nie — odparł Bulłow, przywołując na twarz swój zawodowy uśmiech. — Zresztą w tym domu nie ma niczego cennego, proszę pani.

Deszcz moczył mu włosy i dlatego uświadomił sobie, że stoi z gołą głową. Kapelusz zostawił na korytarzu niedaleko zwłok Bundera. Każda z tych kobiet zapamiętywała dokładnie jego twarz.

— A jednak ja widziałem jak dwóch facetów zakradali się tam od tyłu — hardo rzekł jakiś chłopak. — Dwóch ludzi w skórzanych kurtkach.

— Już ich tam nie ma — odparł Bulłow i ruszył przed siebie. Drzwi frontowe nie miały zatrzasku. Nie zamknął więc ich, nie miał zresztą klucza. Dlatego przyspieszył kroku. Zanim jednak zniknął za rogiem ulicy, obejrzał się za siebie. Ten sam chłopak właśnie zbliżał się po schodach do frontowych drzwi. Za chwilę je otworzy i zobaczy trupa.

Na następnej ulicy napotkał wolną taksówkę i kazał się zawieźć do centrum miasta. Potem przejechał dwie stacje metrem i wyszedł na jednokierunkową wąską ulicę z zaparkowanymi po dwóch stronach samochodami. Znalazł się tutaj przypadkiem — jeszcze nie wiedział, co powinien dalej zrobić, dokąd pójść. Zapadał zmrok, jasne włosy Bullowa stały się czarne od deszczu. W prefekturze policyjnej robili już być może jego pamięciowy portret jako jednego z zabójców Bundera. O tamtych, którzy go naprawdę zabili, dowiedzieli się jedynie, że nosili skórzane kurtki.

Samochody stały ciasno jeden za drugim. W jednym miejscu nie paliła się lampa uliczna. Zobaczył tam nowego renaulta z piłką na siedzeniu obok kierowcy. Chwytał za klamkę i usta-piła pod naciskiem jego dłoni. Po kilku minutach już odjechał, stwierdzając z zadowoleniem, że wóz ma pełen bak benzyny. Bez pośpiechu wygostał się na autostradę i skierował się do Dębowej Alany. Plan ucieczki przyjął pierwszy jaki mu przyszedł do głowy, choć po jakimś czasie doszedł do wniosku, że wybrał najgorszą możliwość. Należało przyjąć, że Bunder nie zdradził Bullowa i wrócił na Square Saverin, tam zmienić swój wygląd, przejechać kilka dni, a potem nawiązać kontakt z ludźmi, których zwerbował do pracy w firmie. Panieżenie bał się jednak czekania w mieszkaniu przy Square Saverin, nieustannego nasłuchiwanie każdego szmeru za drzwiami, dzwonka u drzwi. Nie to było jednak najgorsze, bo swój strach mógł przecież jakoś przezwyciężyć. Najgorsze, że nie musieli po niego przychodzić, ale

właśnie oczekiwać aż ochłonie i zaczną nawiązywać zerwane kontakty. A wtedy wziąć nie tylko Bullowa, lecz i wszystkich pracowników firmy. Rzecz jasna — jeśli Bunder zdradził miejsce jego zamieszkania.

Prowadząc wóz po autostradzie, jakoś nie przeżywał śmierci Bundera, mimo że go kiedyś lubił i tyle ich łączyło wspólnych radości. Odczuwał nawet coś w rodzaju ulgi, że Bunder został zabity, drugi raz nie przekroczy skrzyżowania, aby wejść do gmachu policji. Nawet umierając od kuli nieznane go zabójcy, jeszcze raz skrzywdził Bullowa, przekreślił jego drogę życiową. Firma nigdy przecież nie zatrudni człowieka, którego rysopis znalazł się w gazetach. Był więc tutaj ostatni raz, jednakże — to też dziwne — nie odkrył w sobie żalu, choć jeszcze nie tak dawno nie wyobrażał sobie, że można żyć inaczej niż dotąd. Być może odkrył, że istnieje dla niego jeszcze jakiś inny świat wraz ze swoimi własnymi sprawami. Innymi słowy posiadał jakieś znakomite „lewe papiery” na zupełnie inną osobę, a może nawet osobowość. Oczywiście, nawet gdy wydostanie się stąd cały i zdrowy, nie pozwoli mu wrócić na miejsce strażnika łowieckiego, do Horsta, Weroniki, Izabelowej klaczy; firma jest na to za ostrożna. Tego był jednak pewien, że potrafi sobie stworzyć inny świat i żyć innymi niż tutaj sprawami, co kiedyś wydawało mu się nieprawdopodobne i dlatego tak mocno przeżywał swoje zesłanie do lasu.

Śmierć Bundera przyjął obojętnie. Potem jednak zaczął odczuwać coś w rodzaju mściwej satysfakcji. „Tak naprawdę to ja go zabiłem” — pomyślał. Gdyby bowiem natychmiast po swoim telefonie z lotniska pojechał do Bundera, pomógłby mu w bezpiecznym opuszczeniu willi. Obecność drugiego człowieka obok Bundera odstraszyłaby na ten dzień jego prześladowców. Ale Bulłow nie pojechał do Bundera, kluczył po mieście kilka godzin i kilka razy dzwonił, aby go upewnić, że jednak się pojawi. Prawdopodobnie właśnie to pomogło zabić Bundera. Bo gdyby tamten nie wiedział, że Bulłow jest w pobliżu i zaraz przybędzie, prawdopodobnie nie siedziałby w swojej willi, tylko usiłował czmychnąć. Może zatelefonowałby po jakiegoś kumpła, a chyba miał ich wielu. Czekał jednak cierpliwie i doczekał się zabójców. „Sam sobie byłeś winien” — myślał prowadząc samochód. „Niepotrzebnie poszedłeś wtedy do gmachu policji. Jak mogłeś przypuszczać, że człowiek, który przeżył paniczną ucieczkę z własną żoną, gdy wrócił, obdarzy cię takim samym zaufaniem, przyjdzie na spotkanie z tobą tak jak ty do gmachu policji?”

Po jakimś czasie skonstatował:

„Lubiłem go i dlatego musiałem uciekać. On lubił mnie i dlatego doczekał się zabójców. A ja znowu muszę uciekać”.

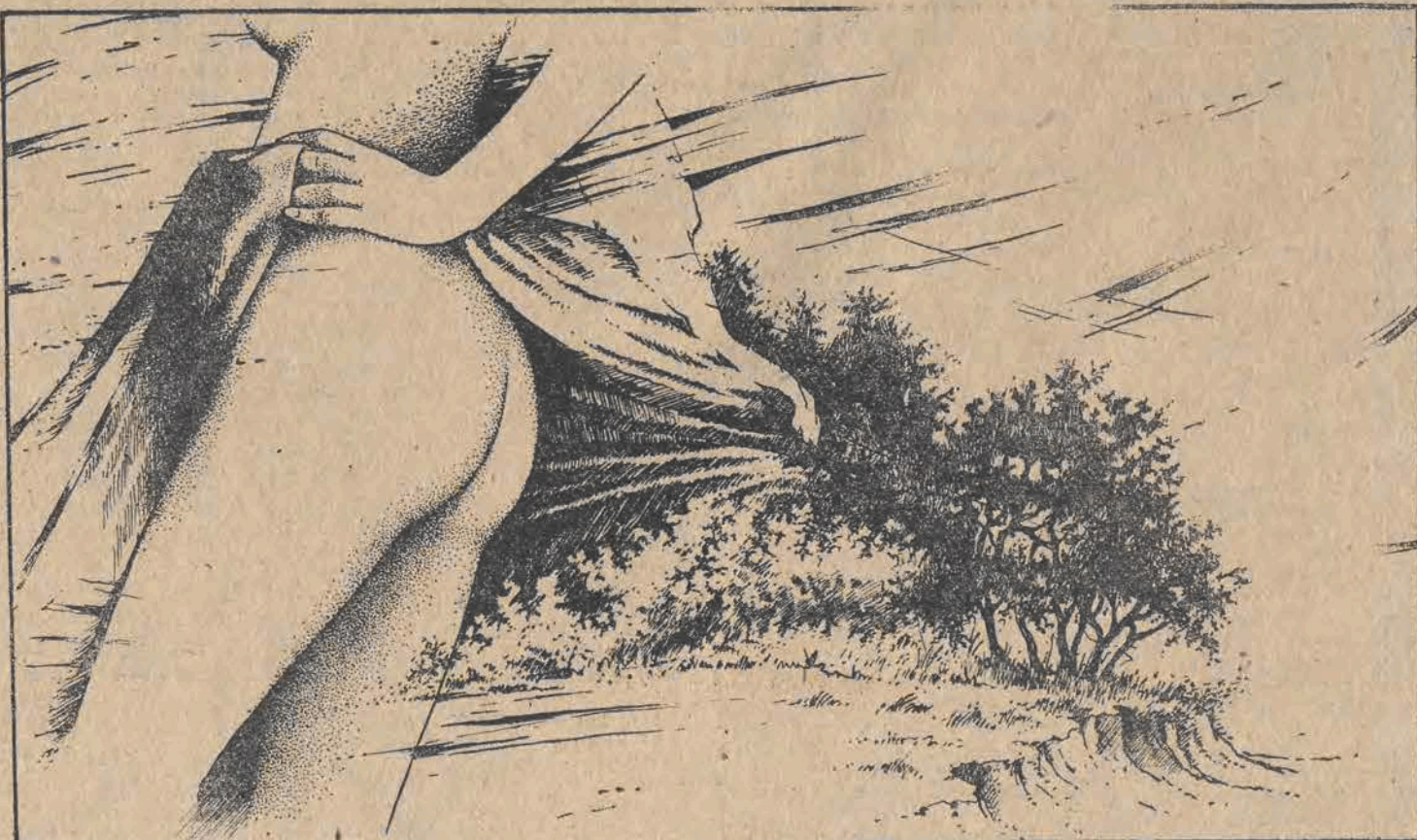
Zrozumiał, że od dawna już przestał lubić Bundera. Być może stało się to w chwili, gdy sprowadzonego do Horsta psa nazwał Ivo i zaczął go tresować. Odtąd lubił już tylko Ivo — udułatego psa, którego być może nigdy nie pogłaszcze.

W motelu Dębowa Alana Hans Weber przyniósł mu gazetę z pamięciowym portretem Kristophera Bullowa. Portret był duży, wzmianka o zabójstwie Claude Imberta bardzo skąpa. Ivo Bunder miał lombard — to śmieszne. Ile nazwisk używał ten człowiek, ile interesów prowadził, dla ilu firm pracował? Zginał właściciel lombardu, prawdopodobnie na tle rabunkowym, tak kończyła się notatka w gazecie. Jego zabójców poszukiwano chyba znacznie gorliwiej niż w przypadku jakiegoś innego właściciela lombardu. Sprawę przejęła nie tylko policja, ale i różne firmy, ponieważ Claude Imbert pracował dla wielu firm. Trafiać na człowieka, którego rysopis widniał w gazecie — to znaczyło odnaleźć koniec jakiejś nowej nici, a takiej szansy nikt tak łatwo nie zaprzepaszcza.

Hans Weber chciał zabić Bullowa, mimo że jeszcze nie wiedział o zabójstwie Ivo Bundera. To było słuszne, ponieważ Bulłow przejechał do niego skradzionym samochodem. Weber zapewne również pracował dla jakiejś poważnej firmy — Bulłow był dla niego niewiele znaczącym kółkiem w dużym mechanizmie. Czy domyślił się, że Claude Imbert to Ivo Bunder. Nie okazał tego po sobie — może rzeczywiście znał jedynie Ivo Bundera, który do jego motelu przyjeżdżał z różnymi kobietami albo różnym kobietom i mężczyznom zalecał to miejsce, motel z pokojami, w których znajdował się podsłuch. Do obowiązków Webera należało obsługiwanie aparatury podsłuchowej oraz prowadzenie motelu. Claude Imbert nie nie znał dla Webera — przynajmniej na razie. Potem być może tropem Bullowa posła kogoś do Dębowej Alany, kto będzie go chciał znaleźć. Ale wtedy Kristopher Bullow znajdzie się już bardzo daleko...

Późnym popołudniem Kristopher Bullow maszerował znajomą ulicą wzdłuż kanału, kierując się w stronę Dapperstraat. Nie szedł tedy chyba przez prawie rok — wszystko jednak pozostało znajome. Dlatego natychmiast zauważył, że w kanale nie cumuje już stary statek, na którym oprócz kilku narkomanów mieszkała Yvette ze swoim mężem. Malajczykiem o trudnym do wymówienia nazwisku. Statek zapewne zabrano stąd i pocięto na złom, miasto oczyszczało się z melin i brudów. Yvette wraz z mężem musiała się przenieść gdzieś indziej. Dokąd? To mogło nie mieć znaczenia, ale równie dobrze od takiego szczegółu zależała wolność, a nawet życie człowieka w sytuacji Bullowa. Poczuł w sobie chłód — oznakę niepokoju. „Do diabła, nie zlikwidowali chyba także i sklepu z rowerami i mieszkania nad sklepem?” On, Kristopher Bullow był przez cały czas nominalnym właścicielem tego wszystkiego. Nie zależało mu ani na sklepie ani na tym mieszkaniu, a jedynie na małej skrytce w łazience, gdzie schował swój stary paszport z brodą i wąsami. W kieszeni namacał Bullow klucze do domu; mogły okazać się bezużyteczne.

CDN



Rys. Janusz Szymański-Glanc